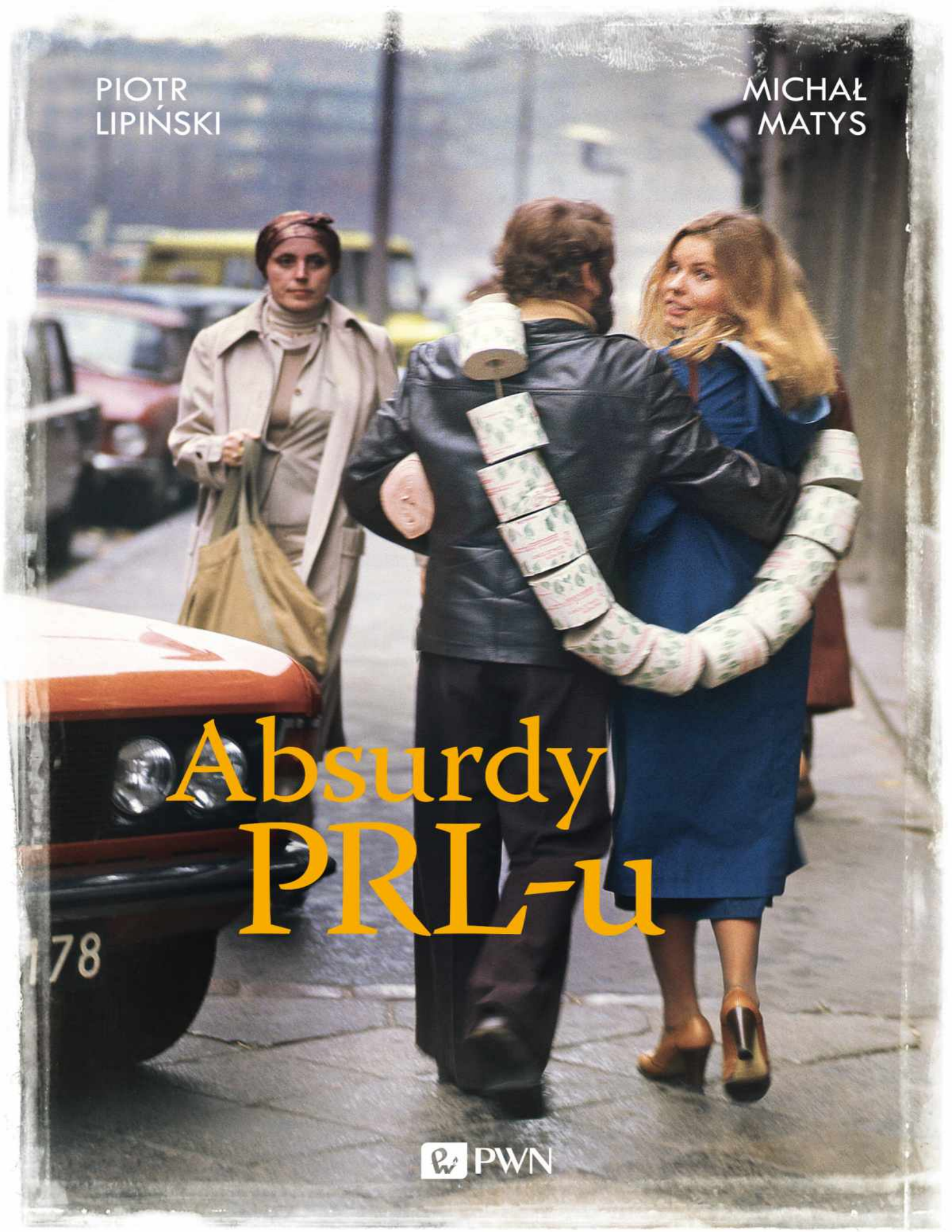
PIOTR
LIPIŃSKI
MICHAŁ
MATYS
Absurdy
PRL-u
178
PWN

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIOTR LIPIŃSKI MICHAŁ MATYS

Absurdy PRL-u

PWN

Tytuł: *Absurdy PRL-u*
Autorzy: Piotr Lipiński, Michał Matys
© Copyright for the text by Piotr Lipiński, Warszawa 2014
© Copyright for the text by Michał Matys, Warszawa 2014
© Copyright for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., Warszawa 2014

Dyrektor wydawniczy: Monika Kalinowska
Redaktor prowadzący: Katarzyna Kucharczuk, Dąbrówka Mirońska
Redakcja: Monika Pujdak-Brzezinka
Korekta: Zofia Kozik
Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Fotoedycja: Katarzyna Kucharczuk
Fotografia na okładce: Forum/Jerzy Michalski
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Michał Latusek

ISBN 978-83-7705-684-4 (ePub)
ISBN 978-83-7705-685-1 (Mobi)

Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o.
02-460 Warszawa, ul. Gottlieba Daimlera 2
tel. 22 695 45 55
www.dwpwn.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

SPIS TREŚCI

WSTĘP. NAJWIĘKSZA ZAGADKA PRL

1. DLACZEGO W PRL-u BRAKOWAŁO PAPIERU TOALETOWEGO?
Trzeba było na nią polować, a potem wystać w kolejce. Wszyscy jej pożądali, szczególnie gdy udawano się tam, „gdzie nawet król chadza piechotą”. Szara rolka papieru toaletowego stała się królową PRL-u.

2. KTO POKAZAŁ TYŁEK JAROSZEWICZOWI?
W Łodzi krąży legenda o tym, jak włókniarki pokazały gołe tyłki premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi. Jak było naprawdę?

3. KTO ZJADŁ MIĘSO?
Mięso w PRL-u miało moc szczególną – obalało rządy. Co takiego kryło się w kiełbasie zwyczajnej, że raziła nadzwyczajną siłą? Dlaczego szynka potrafiła wyprowadzić ludzi na ulice?

4. PEWEX – ZAGADKA CINKCIARZA
Jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek PRL był Pewex, sieć sklepów, w których płaciło się dolarami. A jednym z najbardziej popłatnych zawodów – cinkciarz. W jaki sposób dolar stał się drugą walutą PRL-u?

5. PODWÓJNE ŻYCIE WŁADY BYTOMSKIEJ
PRL potrzebował bohaterów. Takich jak Włada Bytomska, przedwojenna komunistka, która zginęła w tajemniczych okolicznościach. W PRL-u zaczęła swoje drugie życie.

6. JAK WYROŚLI BADYLARZE?
Za najbogatszych w PRL-u uchodzili ci, którzy uprawiali sałatę,

ogórki i pomidory. Polacy patrzyli na nich z zazdrością i podziwem. Władze ich nienawidziły, ale tolerowały. Dlaczego warzywa zapewniały fortunę?

7. NAPAD STULECIA
Jedna z największych PRL-owskich zagadek kryminalnych to napad na oddział banku w Domu pod Orłami w centrum Warszawy. Zastrzelono dwóch strażników. Sprawców nigdy nie wykryto.

8. NIEWOLNICY PRL-u
Co się działo z nastolatkami, którzy nagle znikali na polskich ulicach? Gdzie szukali ich rodzice?

9. JAK WEDEL STAŁ SIĘ SYMBOLEM PRL-u?
Za datę powstania Polski Ludowej przyjęto 22 lipca 1944 roku. Komuniści postanowili upamiętnić ten dzień w nazwie najważniejszego zakładu przemysłowego. Wybrali fabrykę czekoladek.

10. ZAGADKA ZNIKAJĄCEGO CUKRU
Cukru w PRL-u pożądano w szczególny sposób. Był to pierwszy towar sprzedawany na kartki. Jaką tajemnicę krył cukier? Jakie było jego drugie życie?

11. DLACZEGO SYRENKA NIE PODBIŁA ŚWIATA?
Mówili o niej „skarpeta”. Ale miała też inne wcielenie: Syrenę Sport uznano za najpiękniejsze auto „zza żelaznej kurtyny”. Czy władze PRL-u nie chciały polskiego auta?

12. CO SIĘ STAŁO Z POLSKIM BILLEM GATESEM?
Genialny polski informatyk zbudował znakomity komputer. Ale władze PRL-u wolały radzieckie maszyny. Wynalazca zaczął hodować świnie. Czy Polska mogła zostać cyfrową potęgą?

13. TAJEMNICA BRUTALA I PANI WALEWSKIEJ
Pani Walewska jeździła koleją do Związku Radzieckiego. Brutala spotykano w pubach. Jak przetrwali PRL-u?

14. WIELKA UCIECZKA
Dwudziestoletni chłopak uwolnił swego ojca z zesłania w tajdze. Jak uciekli ze Związku Radzieckiego?

15. KTO WYMYŚLIŁ BLOKI?
Budowanie z cegieł przypomina układanie klocków. Z wielkiej płyty – stawianie domku z kart. Pierwszy w kraju blok z wielkiej płyty powstał w Nowej Hucie, kolejne – na warszawskim osiedlu Jelonki. Dlaczego wszyscy w PRL-u chcieli mieszkać w blokach?

16. JAK UPADAŁ PRL?
W ostatnich dniach istnienia PRL-u gazety donosiły o wielu zagadkowych wydarzeniach. Jak dziś je wytłumaczyć?

O KSIĄŻCE

BIBLIOGRAFIA

Zdjęcia

WSTĘP

NAJWIĘKSZA ZAGADKA PRL

Pociągi zatrzymujące się w polu, aby pasażerowie mogli kupić bimber od okolicznych mieszkańców. Szklarnia-wieża o wysokości 54 metrów, która miała zaopatrywać w sałatę cały Górny Śląsk. Mięso sprzedawane w toalecie Pałacu Kultury i Nauki, oraz… kara śmierci wykonana za nielegalny handel mięsem. Spróbowaliśmy zajrzeć za kulisy PRL-u. Czasem to komedia i groteska, a czasem czarny kryminał, nie zawsze z dobrym zakończeniem.

To był dziwny kraj. Szary, zakurzony i brudny. Pozbawiony kolorów. Ale pod burą powierzchnią tkwiły paradoksy i pozbawione wszelkiej logiki historie, których nie wymyśliłby żaden, nawet szalony, scenarzysta filmowy.

Do napisania tej książki zainspirował nas 9-odcinkowy serial dokumentalny „Zagadki tamtych lat”, który kilka lat temu przygotowaliśmy dla Programu 1 TVP[1].

Zagadki w PRL-u stanowiło niemal wszystko – większość zdarzeń trudno było wyjaśnić. Skąd wzięli się badylarze i cinkciarze? Jak powstała syrenka – auto z silnikiem od pompy strażackiej? Dlaczego symbolem PRL-u miały być wedlowskie czekoladki, które przechrzczono na czekoladki „imienia 22 lipca”?

Zagadkami okazały się też odkryte przez nas historie. Kto porywał z ulicy nastolatki i zmuszał je do ciężkiej pracy? Dlaczego „polski Bill Gates” hodował świnie? Czemu łódzkie włókniarki pokazały gołe tyłki premierowi? Jak udało się zorganizować brawurową ucieczkę z sowieckiego łagru? Kto zamordował przedwojenną komunistkę Władę Bytomską?

Największą zagadką jest jednak to, że PRL w ogóle był w stanie działać. Jerzy Urban, były rzecznik prasowy rządu, przyznaje, że symbol klęski PRL-u to… nieustanny brak papieru toaletowego. Zbigniew Messner, były premier, przekonuje, że PRL-u nie udało się zreformować, bo… bimbrownicy zużywali cały dostępny na rynku cukier i trzeba było wprowadzić kartki.

Zgadzamy się z profesorem Wojciechem Morawskim z warszawskiej SGH, który ma dylemat. Na swoich wykładach opowiada o PRL-u na wesoło, ale jednocześnie odczuwa wyrzuty sumienia. Bo PRL był tak śmieszny, że aż straszny. Na szczęście 25 lat temu polscy komuniści podjęli najmądrzejszą w swoich dziejach decyzję – oddali władzę i zawierzyli demokracji.

Piotr Lipiński
Michał Matys

ROZDZIAŁ 1

DLACZEGO W PRL-u BRAKOWAŁO PAPIERU TOALETOWEGO?

PIOTR LIPIŃSKI

Trzeba było na nią polować, a potem wystać w kolejce. Wszyscy jej pożądali, szczególnie gdy udawali się tam, gdzie król chadza piechotą. Szara rolka papieru toaletowego stała się królową PRL-u.

– Gruba, twarda – zapamiętała Krystyna Goldbergowa, redaktorka w wydawnictwie Iskry.

– Ja nawet nie umiem nazwać jej koloru – wspomina profesor Michał Głowiński, literaturoznawca.

– Czasami taka niebieskawa – opisuje Andrzej Zasieczny, właściciel wydawnictwa CB.

– Kalecząca niektóre zady – stwierdza Jerzy Urban, w latach 80. rzecznik prasowy rządu. – Albo dla oszczędności tak miękka, jakby cienką bibułką usuwać nieczystości.

– Rolka papieru toaletowego była w Polsce Ludowej mrocznym przedmiotem pożądania – zapamiętała aktorka Zofia Czerwińska. – Stała się królową PRL-u.

CYWILIZACJA KOMUNIZMU

Jak przystało na królową, trudno było ją zdobyć.

W PRL-u brakowało nie tylko mięsa, cukru i sznurka do snopowiązałek – ale też papieru toaletowego. Filmowcy z Polskiej Kroniki Filmowej przeprowadzili śledztwo i ustalili, że na głowę – choć raczej nie o głowę chodziło – Polaka przypadało rocznie siedem rolek. Czyli około metra papieru toaletowego dziennie.

Trochę mało.

Ale właściwie dlaczego w socjalistycznej Polsce brakowało czegoś tak prostego? Mieszkający na emigracji pisarz Leopold Tyrmand zastanawiał się w swojej książce „Cywilizacja komunizmu[2]”:

Dlaczego kraje komunistyczne, zdolne do produkcji elektrowni atomowych i pojazdów kosmicznych, nie są w stanie wyprodukować dostatecznej ilości papieru toaletowego dla swych mieszkańców, pozostaje zagadką, z której rozwiązania zrezygnowały już najśmielsze i najtęższe umysły.

Czy dziś uda się rozwikłać tę zagadkę?

LISTEK ALBO DWA

Kiedy go zaczęło brakować?

W połowie lat 50. w centrum Warszawy wyrósł podarunek Związku Radzieckiego – Pałac Kultury i Nauki, nazwany imieniem właśnie Józefa Stalina. Symbolizował nową epokę – socjalizm. Wszystkim miało się żyć lepiej.

Codziennie Pałac odwiedzały tysiące Polaków. Olśniewały ich wielkie rzeźby przedstawiające robotników, a ze szczytu Pałacu dech w piersiach zapierała panorama stolicy. Niektóre kobiety onieśmielone marmurami klękały i zaczynały się modlić, na co pracownicy reagowali zdecydowanie: „To nie kościół, to jest Pałac!”.

Na dole, w nieco mrocznych podziemiach symbolu, znajdowały się dwie toalety dla zwiedzających. Na stołeczkach przy wejściach siedziały panie,

w PRL-u popularnie zwane babciami klozetowymi.

– Panie pytały wchodzących: przepraszam bardzo, na grubo czy na cienko? – opowiada Hanna Szczubełek, kronikarka Pałacu Kultury i Nauki. – I wydawały odpowiednią ilość papieru toaletowego: jeden listek albo dwa.

RÓŻANIEC, GIRLANDA, KORALE

Papier toaletowy nasiąkł polityczną „odwilżą” w 1956 roku – wówczas oficjalnie można było powiedzieć, że Polakom w ubikacjach nie wystarczają gazety, ale pragną czegoś więcej.

Polska Kronika Filmowa, która do tej pory śledziła postępy budowy Nowej Huty, nakręciła materiał o papierze toaletowym. Kiedy na ekranie pokazywała się kobieta niosąca kilka rolek, narrator żartobliwie czytał:

Co to? Patrzcie! Proszę pani, proszę pani, gdzie pani zdobyła ten skarb? Powtarzając słowa Wiecha, życzymy sobie wszyscy, by ten papier przestał być papierem wartościowym.

Tymczasem ten papier wartościowy zwany był już towarem deficytowym. W PRL-u jednak wszystko stało na głowie, nawet słowa – pojawił się „centralizm demokratyczny”[3] i „jarskie flaki”.

– W normalnym świecie towar deficytowy to taki, który nie przynosi dochodu – tłumaczy profesor Michał Głowiński. – Czyli taki, którego nikt nie chce kupować. A w Polsce Ludowej przymiotnik „deficytowy” oznaczał co innego – towar, którego brakowało i wszyscy chcieli go kupić.

Polacy żartowali – *co to jest: idąca ulicą kobieta niesie deficyt w deficycie? Szynka owinięta w papier toaletowy!*

– Pożądanie królowej PRL-u nigdy się nie zmniejszało – pamięta aktorka Zofia Czerwińska. – To nie było jak ze starą żoną. Papier toaletowy był zawsze młodą pożądaną żoną.

Aby zaspokoić swoją potrzebę, królową trzeba było upolować: najpierw namierzyć, a potem wystać.

Krystyna Goldbergowa wspomina:

– Stałam w kolejkach po papier toaletowy, jak go rzucili do kiosków.

Królową pożądano szczególnie wówczas, gdy zasiadano na „królewskim tronie” – jak wówczas nazywano muszlę klozetową. Zapewne w związku z powiedzeniem, że WC to miejsce, gdzie nawet król chodzi piechotą.

Socjalizm wprowadził w życie ideę równouprawnienia płci, przynajmniej jeśli chodzi o poszukiwanie papieru toaletowego. Polowały na niego i kobiety, i mężczyźni.

Profesor Michał Głowiński opowiada:

– Mój ojciec, odkąd przeszedł na emeryturę, zajmował się bardzo energicznie zakupami. W PRL-u to było jedno z zajęć emerytów – polowanie na towary deficytowe. Ojciec miał sporo czasu i udawało mu się papier toaletowy kupić. Potem dawał mi w prezencie.

Tak zrodziła się jedna z ikon PRL-u – Polka lub Polak na ulicy z zawieszonymi na szyi rolkami papieru toaletowego.

Krystyna Goldbergowa, redaktorka:

– Wracaliśmy do domu z koralami pod tytułem papier toaletowy.

Zofia Czerwińska, aktorka:

– Nosiło się girlandy z papieru toaletowego. Z dumą!

Hanna Szczubełek, kronikarka:

– Nazywało się to różańcem. Wieszało się na szyi dziesięć rolek.

Tajemnica kiełbasy

A skąd władza miała swój papier toaletowy?

– Przydziałów papieru toaletowego nie było – stwierdza z uśmiechem Jerzy Urban, ówczesny rzecznik rządu. Nie pamięta jednak, skąd u niego w domu brał się papier toaletowy.

Pewien działacz PZPR wysokiego szczebla, który dziś chce zachować anonimowość, wspomina: – Jeździłem na skup makulatury, żeby papieru toaletowego nie załatwiać po protekcji. Wcześnie rano wychodziłem z domu z naręczami gazet i upychałem je w bagażniku samochodu. Jeszcze przed pracą jechałem pustawymi ulicami do skupu makulatury. Prasy wiozłem całe mnóstwo, bo zajmowałem się kontrolowaniem wydawnictw. Za dziesięć kilogramów gazet zdobywałem rolkę papieru toaletowego.

Profesor Zdzisław Sadowski, ekonomista, wicepremier zajmujący się gospodarką u schyłku PRL-u, zauważa:

– To była forma handlu wymiennego. Można było zawieźć makulaturę do punktu sprzedaży i dostawało się za to parę rolek papieru toaletowego. To już był postęp, kiedy dopracowaliśmy się takiego rozwiązania.

Polacy tymczasem żartowali, że w sklepach nie ma papieru toaletowego, bo jest w kiełbasie.

JAJCZARSKA KONKURENCJA

Ustalenia władzy, dlaczego brakuje papieru toaletowego, były proste: papieru brakuje, gdyż jest go za mało.

A co zrobić, żeby było więcej? Rozwiązanie okazało się równie proste: mniej zużywać. Jak? Na przykład pisząc mniejszymi literami.

W województwie gdańskim w szkolnych zeszytach zmniejszono odstępy między linijkami. Dzieci więc wzmacniały gospodarkę socjalistyczną, kreśląc drobniejsze litery.

Telewizja chwaliła pomysł: „Dzięki temu zeszytów zużywa się tu o połowę, to jest o 10 ton mniej, a dzieci piszą ładniej i szybciej”.

Niestety, pozostałe 48 województw nie zmniejszyło linijek wzorem województwa gdańskiego. Papieru wciąż brakowało.

Władze sięgnęły po ostateczne rozwiązanie – powołano komisję.

Powstała w latach 60. i nazywała się Komisją Racjonalizacji Druków przy Polskim Komitecie Normalizacyjnym. Prasa donosiła: z formularza „żądanie zapłaty” usunięto dwie rubryki, a efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania – rocznie zaoszczędzono 102 tony papieru.

W każdym resorcie powołano więc specjalną komórkę racjonalizującą zużycie papieru. Już wkrótce Ministerstwo Rolnictwa zaoszczędziło 20 ton papieru, zmniejszając rozmiar „książki dziennej PGR”.

Po 20 latach działania Komisji papieru wciąż brakowało. Jej sekretarz w wywiadzie dla „Życia Warszawy” w latach 80. piętnował druk kolorowego folderu zakładów Predom, bo przecież odkurzaczy i tak nie dawało się nigdzie kupić. A także druk „Instrukcji numer jeden obiegu

dokumentów i opakowań jajczarskich”, zawierającej 22 wzory formularzy, na których rejestrowano każde jajko w drodze od kury do sklepu.

Do wstrzemięźliwości papierowej nawoływał sam premier Piotr Jaroszewicz podczas zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej: „Pomimo poprawy w zaopatrzeniu musimy jednak wobec stale rosnących potrzeb nadal oszczędnie gospodarować papierem, tekturą i opakowaniami”.

PZPR obradowała w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki.

– Wszyscy się śmiali, że podczas zjazdów partii papier był perfumowany, sprowadzany z zagranicy i drukowany w specjalne ornamenty – opowiada Hanna Szczubełek, kronikarka Pałacu. – Ale to tylko takie plotki i pogłoski. To był normalny papier, tyle że było go pod dostatkiem.

WINNY KAŻDY POLAK

Kto odpowiadał za niedobory papieru toaletowego? Kiedy w sklepach brakowało mięsa, cukru, rajstop albo butów, winny był kułak albo spekulant. Trafiał do więzienia, piętnowała go prasa i Liga Kobiet.

Telewizja podejrzewała, że papier toaletowy wykupują drobni handlarze, którzy potem sprzedają go na bazarach po zawyżonych cenach. Wytłumaczenie było jednak głębsze.

Winny powinien poczuć się każdy Polak! I to wcale nie dlatego, że zużywał zbyt wiele papieru toaletowego. Ale dlatego, że …zbyt mało oddawał makulatury.

Zofia Czerwińska zapamiętała pewnego profesora na poważnym stanowisku, który starał się wywiązywać z powierzonych zadań najusilniej, jak potrafił. Jego dzieci już dorosły, a profesor wciąż trzymał w domu dziecięcy wózek. Raz w miesiącu pakował do niego makulaturę zebraną od wszystkich sąsiadów i pchał wózek do punktu skupu surowców wtórnych. Za oddaną makulaturę odbierał rolki papieru toaletowego, które po powrocie do kamienicy sprawiedliwie rozdzielał między sąsiadów.

Tymczasem wicepremier Zdzisław Sadowski przez okna swojego domu obserwował pracę pobliskiego punktu skupu makulatury. Zapamiętał zwały makulatury, które leżały na deszczu i nikt się nimi nie zajmował.

W skupie pracował Wiktor Ostrowski. Głównie belował gazety, ale przy okazji razem z kolegami przeglądał książki oddane na makulaturę – wielu skompletowało interesujące biblioteczki literatury historycznej.

– Najwięcej w skupie było dzieł Lenina – wspomina Ostrowski. – Propagandową makulaturę oddawały biblioteki z zakładów pracy.

Lenina nikt do domu zabrać nie chciał, z reguły więc od razu szedł na pulpę. Ale raz Lenina przygarnęła pewna kobieta.

– Wyrywała z niego kartki i owijała jajka, którymi handlowała – wspomina Wiktor Ostrowski. – Wszyscy się zastanawiali, czy milicja nie zatrzyma jej za to, że profanuje święte księgi.

PAPIER TYLKO DLA PISARZY

W PRL-u papieru brakowało nie tylko do wycierania, ale też do pisania.

Profesor Michał Głowiński, literaturoznawca, wspomina: – W Warszawie były dwa albo trzy sklepy, w których sprzedawano papier do pisania na maszynie po okazaniu legitymacji Związku Literatów Polskich. To był wielki przywilej. Na raz pisarz mógł kupić maksymalnie dwie ryzy papieru.

Papieru brakowało też na efekty pracy pisarzy – nakłady książek często były mniejsze niż zapotrzebowanie czytelników.

– Stałem w kolejkach pod księgarniami PIW-u i PAX-u po różne książki – wspomina Andrzej Zasieczny, dziś właściciel wydawnictwa CB. – Kolejki to były grupy towarzyskie, dyskutowano w nich o literaturze. Trzeba było zaprzyjaźnić się z paniami obsługującymi księgarnie, dostawały kwiatki, czekoladki i dyskretnie wsunięty numer telefonu, żeby zadzwoniły, jak będzie dostawa interesującego tytułu.

Papier na książki rozdzielało centralnie Ministerstwo Kultury. Gdyby komuś przyszło do głowy, że może założyć własne wydawnictwo i wydać jakąś książkę, to oczywiście, po pierwsze, nie dostałby na nią papieru, a po drugie, dzięki bezpłatnej służbie zdrowia zostałby skierowany do zamkniętego zakładu opieki psychiatrycznej – ten sposób leczenia odchylenia ideologicznego spopularyzowała medycyna radziecka.

– Wszystkie wydawnictwa dostawały przydziały papieru na książki, które zamierzały wydać – opowiada Krystyna Goldbergowa, która

redagowała książki w wydawnictwie Iskry. – Plan był rzeczą świętą – Ministerstwo musiało wiedzieć, na jakie książki daje papier.

PODETRZEĆ SIĘ URBANEM

Władza dzieliła papier na dwa rodzaje – zwykły, czyli na przykład toaletowy, i papier „polityczny”. Ten drugi służył do druku czasopism i książek.

Bez papieru nie udałoby się pewnie obalić komunizmu – bo papier był wówczas głównym nośnikiem informacji. Władza nad papierem to jak dziś władza nad internetem.

W połowie lat 80. szara rolka stała się orężem w ręku podziemia. Do ustępów trafił ówczesny rzecznik rządu Jerzy Urban. Na podziemnym, nielegalnym papierze toaletowym wydrukowano jego twarz. Uwieczniony wspomina:

– Każdy kawałek co kilka centymetrów miał moją mordę na sobie.

Papier wyprodukował kolega szkolny Jerzego Urbana, który wyemigrował i owym papierem zakpił z ówczesnych władz PRL-u.

– Byłem raczej w miłości własnej zadowolony z tej popularności – opowiada Jerzy Urban.

W marcu 1984 roku, na konferencji prasowej, jeden z korespondentów zagranicznych zapytał o ów polityczny papier. Urban odpowiedział, że niestety nie podaruje korespondentowi nawet rolki, bo zbyt je sobie ceni.

– Ja go oszczędzałem – opowiada Urban. – Co prawda dostałem od producenta spory zapas, ale na co dzień używałem zwykłego, a ten zawieszałem, jak przychodzili goście.

W drugiej połowie lat 80. do państwowej Telewizji Polskiej – jedynej, jaka wówczas istniała – napisał listowną prośbę inwalida z Dolnego Śląska: „Jestem niewidomy, obszedłem całą Legnicę – 3 miesiące i nie mogę dostać kremu do golenia. Przychodzą do mnie lekarze i pytają, dlaczego się nie golę, więc powiadam, dlaczego. Proszę o skierowanie, ażebym mógł kupić krem do golenia. Jeszcze raz pana błagam”.

Tydzień później napisał raz jeszcze, dzięki czemu wiemy, że ówczesna telewizja mogła spowodować dostawę kremu do golenia: „Dziękuję

z całego serca, życzę dużo zdrowia. Ja nie chodzę i nie widzę 6 lat. Bardzo dziękuję, ponieważ otrzymałem krem do golenia, tylko mam trudności z papierem toaletowym”.

15 PROCENT DO NIEMIEC

Czy władza mogła rozwiązać problem papieru toaletowego?

Jerzy Urban raz jeszcze zmierzył się z problemem niedoboru papieru toaletowego, kiedy napisał do niego pewien polski inżynier pracujący w Niemczech. Inżynier przeczytał, że w Polsce brakuje 15 procent papieru toaletowego. Zmierzył suwmiarką papier niemiecki i okazało się, że ten jest węższy od polskiego właśnie o 15 procent – o czym zawiadomił listownie rzecznika rządu.

– Wystarczyłoby noże w maszynach, które krojąpapier na rolki, ustawić trochę węziej i już byłby dostatek papieru – opowiada Jerzy Urban. – Wobec tego ja, jako rzecznik rządu, uznałem, że trzeba zawiadomić instytucje odpowiedzialne za papier. Usłyszałem, że nie mogą zwęzić papieru toaletowego, ponieważ nie pozwala na to Polska Norma. Zirytowałem się i zadzwoniłem do komitetu, który zajmował się normami, i zapytałem: skąd się wzięła Polska Norma? Czy wy siadacie na sedesie i patrzycie, jaki powinien być papier, żeby palców nie ubrudzić? Powiedzieli, że to zbadają. A jak już zbadali, to dali mi odpowiedź, że Polska Norma wzięta została z… norm niemieckich. I na tym całe błędne koło się zamknęło – puentuje Jerzy Urban.

Łatwo w tym miejscu dojść do wniosku, że problem braku papieru toaletowego – podobnie jak problem braku mięsa, cukru oraz sznurka do snopowiązałek – był niemożliwy do rozwiązania w komunizmie. Niestety, nie jest to prawda. W latach 80. niemieccy i czechosłowaccy socjalistyczni sąsiedzi nie cierpieli na takie braki.

SURREALIZM SOCJALISTYCZNY

Za sprawą krasnoludków królowa stała się dziełem sztuki.

W drugiej połowie lat 80. na polskich ulicach pojawiły się krasnoludki z Pomarańczowej Alternatywy. Przewodził im Waldemar Fydrych, zwany Majorem – twórca teorii surrealizmu socjalistycznego. Uznał, że rzeczywistość PRL-u jest tak absurdalna, że sama w sobie stanowi dzieło sztuki.

Na wrocławskich ulicach pojawiła się ulotka: „Kto się boi papieru toaletowego? Czy za pomocą papieru toaletowego można pogłębić socjalizm? Czy papier toaletowy jest sprzymierzeńcem, czy wrogiem rewolucji światowej?”.

Na ulicy Świdnickiej we Wrocławiu pojawili się ludzie w pomarańczowych czapeczkach obwieszeni papierem toaletowym.

– Jeździłem na rowerze, byłem obwieszony girlandami z papieru toaletowego, a milicjanci mnie gonili – wspomina happening Waldemar Fydrych. – Próbowali jakoś spacyfikować ten papier toaletowy, zatrzymywali ludzi, rewidowali w torbach, czy posiadają papier toaletowy.

W artystycznej rzeczywistości socjalistycznej pogubili się zagraniczni aktorzy, którzy akurat przyjechali na przegląd teatralny do Wrocławia. Nie potrafili się zorientować, czy milicjanci to część happeningu, czy są prawdziwi.

– Ulicą toczył się chłopak owinięty w wielką kulę papieru – opowiada Waldemar Fydrych. – Milicjanci próbowali go wepchnąć do radiowozu, ale kula utknęła w drzwiach. Między ludźmi biegał pies z kokardą z papieru toaletowego. Obszczekiwał milicjantów, którzy nie mogli się do niego zbliżyć, a ludzie mu bili brawo. Tyle że ci, którzy oklaskiwali psa, trafiali do milicyjnej „suki”.

TEORETYCY KOMUNIZMU NIE PODCIERAJĄ

A właściwie dlaczego, po ludzku mówiąc, brakowało papieru toaletowego? Po ludzku mówiąc – wyjaśnić się nie da.

– Wielkość produkcji papieru była określona z góry, przez plan centralny – tłumaczy wicepremier Zdzisław Sadowski. – Nie było wolnego rynku, więc nie mógł zarządzać produkcją papieru toaletowego – i innego zresztą też. Ludzie potrzebowali więcej papieru toaletowego, ale to nie stanowiło wystarczającego sygnału dla fabryk, żeby zwiększyć produkcję. Sygnałem był plan centralny. A ten trzymał się ideologii, nie zaś rzeczywistości.

Podobnie było na przykład z kolejami – ludzie chcieli jeździć pociągami sypialnymi, lecz kolej na to nie reagowała i biletów zawsze brakowało. Ludzie więc stali po bilety w kolejce całą noc, żeby potem pojechać wagonem sypialnym.

Leopold Tyrmand w „Cywilizacji komunizmu” przedstawił własne wyjaśnienie. Według niego planową gospodarką komunistyczną kierowała zasada ważności, a nie potrzeby. Ludzie co prawda potrzebowali papieru toaletowego, ale teoretycy komunizmu nie przywiązywali wystarczającej wagi do niego. Ważniejsza była walka o pokój niż o łazienkę. Komunizm mógł się obyć bez papieru toaletowego.

Jerzy Urban, ówczesny rzecznik rządu, przyznaje się do klęski:

– Papier toaletowy, a ściślej jego brak, stał się symbolem nieudolności, niewydajności, niesprawności już nie tylko rządu jako zespołu ludzi, ale wręcz ustroju. I słusznie, bo tak to było.

ROLKA JAK OJCZYZNA

Po przełomie 1989 roku w sklepach pojawił się kolorowy papier toaletowy, parkany i mury oblepiły się papierowymi ulotkami i reklamami, księgarnie utonęły w powodzi tytułów.

Ale skąd właściwie wówczas wziął się papier? Z prywatnych firm, których wcześniej nie było.

Po 1989 roku na papierze nie tylko można było zarobić, ale także wolno było zarobić. Uchwalona w 1988 roku ustawa o działalności gospodarczej pozwoliła na masowe powstawanie firm prywatnych. Wcześniej, w PRL-u, zarabianie pieniędzy było nietaktem wobec socjalizmu.

Wyjaśniając zaś sprawę ideologicznie – papier pojawił się w sklepach, bo komuniści odkryli, że zamiast papierem rządzić, można dzięki niemu

zarabiać. Były rzecznik rządu zaczął wydawać swój prywatny tygodnik, dzięki czemu trafił do pierwszej setki najbogatszych Polaków.

– Z papierem było coś takiego jak z mięsem – przypuszcza wydawca Andrzej Zasieczny, który swoją firmę założył w 1989 roku. – Do pewnego momentu mięsa w Polsce nie było, aż nagle stało się go tak dużo, że właściwie nie można już było na nie patrzeć. I podobnie było z papierem.

Wicepremier Zdzisław Sadowski czuje się dziś zmieszany:

– Jako człowiek wychowany w PRL-u byłem przyzwyczajony do oszczędzania papieru i współczesna rozrzutność w produkcji i stosowaniu papieru trochę mnie przeraża.

Być może jednak rozrzutność wkrótce się skończy – wraz z kolejnym etapem w historii papieru „politycznego”, czyli zmierzchem ery papierowych gazet. Czytelnicy bowiem coraz częściej szukają wiadomości w internetowych, a nie papierowych wydaniach gazet.

Nic jednak nie zapowiada końca ery papieru toaletowego. Chociaż akurat ten szary, PRL-owski papier toaletowy zawsze był trudny do zdobycia i taki pozostał do dzisiaj. Ze sklepowych półek wyparł go papier kolorowy i delikatny. Papier przypominający PRL-owski można jeszcze niekiedy spotkać w polskich pociągach.

Krasnoludek Waldemar Fydrych opowiada:

– Znam pewną hrabinę w Paryżu, która kiedyś mieszkała w Polsce, i jak ktoś z Polski jedzie do Francji i do niej dzwoni, to ona prosi, żeby przywiózł szary papier toaletowy. Polski szary papier toaletowy, bo on jej najbardziej ojczyznę przypomina.

ROZDZIAŁ 2

KTO POKAZAŁ TYŁEK JAROSZEWICZOWI?

MICHAŁ MATYS

W Łodzi krąży legenda o tym, jak włókniarki pokazały gołe tyłki premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi. Jak było naprawdę?

Miało się to zdarzyć w czasie strajku w lutym 1971 roku.

– Słyszałem, że tkaczka, pani Kubiakowa, pokazała pupę i pan premier musiał czmychać stąd jak niepyszny – opowiadał Wojciech Słodkowski, nieżyjący już łódzki dziennikarz, w PRL-u opozycjonista. Ale z Kubiakową stracił kontakt, a kobiet o tym nazwisku są setki, jeśli nie tysiące.

Poszedłem tropem legendy o gołym tyłku pokazanym premierowi. Piotr Jaroszewicz, ówczesny premier PRL-u, po spotkaniu z włókniarkami 14 lutego 1971 roku natychmiast wyjechał. Dzień później spełnił wszystkie ich postulaty. Był to jedyny w historii PRL-u strajk całkowicie wygrany przez robotników – zanim powstała Solidarność.

Spotkanie odbyło się w zakładach bawełnianych im. Juliana Marchlewskiego w Łodzi.

– Jaroszewicz był bardzo zdenerwowany. Potem kazano wszystkim opuścić salę – relacjonowała mi Iwona Smurzyńska, wówczas tkaczka. Ale stała w tłumie, była daleko i nie widziała, co się stało.

– Wiem, że premierowi Buzkowi pokazał tyłek ten z Big Cyca… No wie pan, ten z tego zespołu muzycznego. Ale żeby zrobiła to nasza prządka? Naprawdę nie pamiętam – dziwiła się Maria Filipowicz, także obecna na sali.

– Wie pan, jakie są kobiety polskie. Nie ma z nimi lekko. O nie! Zadrzeć – nie daj Boże! Są nieobliczalne – tłumaczył Wojciech Lityński, przywódca strajku w zakładach. – Mówi się „przemysł lekki”, ale nie było w nim lekko.

KARNAWAŁ W FABRYCE

Gdy w grudniu 1970 roku szef partii Władysław Gomułka ogłosił drastyczne podwyżki cen żywności, włókniarki nie zastrajkowały. Najważniejsze było, aby zarobić na rodzinę. Na ulice wyszli stoczniowcy. Milicja i wojsko otworzyły ogień. Padli zabici.

Gomułka musiał odejść. Na jego następcę wybrano Edwarda Gierka. Zręczny mówca, potrafił być przekonujący. W styczniu 1971 roku pojechał na Wybrzeże i wygłosił słynne przemówienie do stoczniowców. Obiecał, że naprawi błędy Gomułki, i zaapelował: „Pomożecie?”. Usłyszał aplauz i zakończył konflikt.

Gierek potępił Gomułkę, ale nie wycofał się z ogłoszonych przez niego podwyżek.

– Była w tym niekonsekwencja, może nawet nasza hipokryzja – przyznał Józef Tejchma, który w nowej ekipie rządzącej awansował na wicepremiera oraz ministra kultury i sztuki.

Wydawało się, że nowej władzy nic już nie zagrozi. Ale właśnie wtedy zbuntowały się włókniarki. 10 lutego 1971 roku zastrajkowała przędzalnia odpadkowa w fabryce im. Juliana Marchlewskiego.

– Bezpośrednią przyczyną była wiadomość, że płace za styczeń będą niższe od grudniowych średnio o 200–250 złotych – mówił mi łódzki historyk doktor Krzysztof Lesiakowski.

– Szukano oszczędności i być może redukowano premie. W ostatnich dniach władzy Gomułki i pierwszych dniach Gierka podejmowano

chaotyczne decyzje. Drobne zdarzenie mogło być zapalnikiem – tłumaczył Józef Tejchma.

Strajk zaskoczył część ludzi władzy. Najlepszy dowód, że w tym czasie planowali zabawę karnawałową w XIX-wiecznym pałacu sąsiadującym z fabryką przez ścianę. Historyk Lesiakowski znalazł taką informację w dokumentach Służby Bezpieczeństwa. Sytuacja jak z „Ziemi obiecanej" Władysława Reymonta, gdy robotnicy patrzą zza ogrodzenia na zabawy fabrykantów.

SCENOGRAFIA DLA WAJDY

Józef Tejchma, późniejszy wicepremier i minister kultury, był w delegacji rządowej, która przyjechała na rozmowy ze strajkującymi w Łodzi. O pracy kobiet w fabryce zrobił notatkę w dzienniku: „To piekło!".

Rozmawialiśmy w jego warszawskim mieszkaniu w pobliżu Starówki. Przysłuchiwało się nam odlane z brązu popiersie ministra. Dar Mariana Koniecznego, wybitnego artysty rzeźbiarza, który w czasach PRL-u seryjnie wykonywał pomniki wodza rewolucji, Włodzimierza Lenina.

Tejchma opowiadał, że po powrocie delegacji do Warszawy Biuro Polityczne Partii podjęło „desperacką decyzję".

– Postanowiliśmy pozwolić kobietom zjeść zupę w czasie przerwy śniadaniowej – wspominał.

Prządki i tkaczki nie mogły odejść od maszyn, bo trzeba by było je zatrzymać. Partia uważała, że zmniejszyłoby to produkcję.

– Gdy zastrajkowaliśmy, to był jeden z postulatów, aby tkaczki mogły pójść na śniadanie – potwierdzała Maria Filipowicz.

Józef Śreniowski, były opozycjonista i członek Komitetu Obrony Robotników, który zbiera relacje dotyczące protestów w PRL-u, komentował, że szefowie partii komunistycznej byli „wysferzeni" – oderwani od życia zwykłych robotników.

– Przyjechali ze stolicy do Łodzi, która była Polską B, i nagle zobaczyli coś pierwszy raz – uważa Śreniowski.

Fabryka, zbudowana w XIX wieku przez genialnego Żyda Izraela Kalmanowicza Poznańskiego, była najnowocześniejsza na terenie imperium carskiego. Stała się prawdziwym miastem w mieście: z wewnętrznymi uliczkami, kościołem i osiedlem dla robotników. W PRL nadano jej imię Juliana Marchlewskiego, komunisty, który chciał przyłączyć Polskę do ZSRR. Ale sama fabryka niewiele się zmieniła.

– Fabrykant zostawił ją w lepszym stanie, niż była w 1970 roku. Tu były dziewiętnastowieczne warunki pracy – mówił Józef Śreniowski.

Potwierdzał to Lityński:

– Były u nas dwie samoprząśnice z 1800 któregoś roku. Każda miała tabliczkę z dokładną datą. Dziwił się każdy, kto przyjeżdżał z ministerstwa. Dlatego tabliczki wyszlifowano na gładko, aby nikt nie wiedział, ile maszyny mają lat.

Andrzej Wajda wykorzystał łódzkie zakłady, w tym dawną fabrykę Poznańskiego, do nakręcenia w 1974 roku „Ziemi obiecanej” według powieści Władysława Reymonta.

– W czasie premiery Wajda powiedział, że nie musiał budować planu filmowego, bo zastał żywy, nietknięty – relacjonował Śreniowski.

Łódzcy dygnitarze byli zgorszeni opinią Wajdy.

13-LATKA PRZY MASZYNIE

Kobiety na tkalni wpychały sobie watę do uszu, aby nie ogłuchnąć od łomotu.

– Nie byłam w stanie usłyszeć własnych myśli. 120 decybeli było na pewno! – mówiła Iwona Smurzyńska.

Zapamiętała rozpylacze na sufitach. Puszczano przez nie wodę, aby bawełna nie była zbyt sucha. W powietrzu unosił się bawełniany pył.

– Jeśli któraś z nas nie uczesała się, to miała białego baranka na głowie – opisywała.

Maria Filipowicz poszła do fabryki, gdy miała 13 lat.

– Musiałam przynieść jakieś pieniądze do domu. Aby iść do szkoły średniej, trzeba było mieć warunki. Taki był czas! – opowiadała.

Maria Filipowicz nie była wyjątkiem. Według zachowanych statystyk na początku lat 50. w fabryce pracowała setka nieletnich dziewcząt – komunizm nie okazał się lepszy od XIX-wiecznego kapitalizmu. Potem otwarto przyzakładową szkołę zawodową, w której młode dziewczyny przez większą część tygodnia – w ramach „praktyk” – pracowały w fabryce.

Prządka musiała dźwigać wały z nawiniętą na nie przędzą. Trzeba było ją przynieść do maszyny z magazynu.

– Trzy wały zwykle niosła na ramieniu, a czwarty w ręku. Każdy wał to jakieś dwadzieścia kilogramów. Przędza nie była lekka – wspominał Lityński.

Gdy kobieta poszła po wały, a w maszynie zerwała się nitka, musiała wracać biegiem.

– I tak biegała przez osiem godzin, a nie tak jak piłkarz: dwa razy po czterdzieści pięć minut! – porównywał Lityński.

– Mnie to nie spotkało, ale osoby dłużej pracujące miały nogi w basiorach, takich strasznych żylakach. Powstawały od biegania, stania oraz ciągłego pochylania się nad maszyną – mówiła Filipowicz.

Aby robotnice poruszały się szybciej, wymyślono, że będą jeździły na wrotkach. Na pomysł wpadła Michalina Tatarkówna, szefowa partii komunistycznej w Łodzi, która sama była prządką, zanim zaczęła karierę działaczki.

– Pamiętam, że dziewczyny jeździły na wrotkach. Ale to było niebezpieczne. Jakby któraś się rozpędziła, mogła wpaść między krosna i połamać sobie nogi. Chyba ktoś się zastanowił, że może dojść do wypadku, i z wrotek szybko zrezygnowano – opowiadała Maria Filipowicz.

Aby zwiększyć wydajność, partia komunistyczna wymyśliła „socjalistyczny wyścig pracy” wśród robotników – kto wyprodukuje więcej i szybciej. Przodowników pracy nagradzano orderami.

W archiwach Telewizji Polskiej odnalazłem czarno-białe filmy propagandowe z powojennych lat. Na jednym z nich przodownica pracy Wanda Gościmińska wzywa przez fabryczny megafon: „Ja, łódzka prządka, wykazałam swoją pracą, że obsłużyć można nie jak dotychczas 540 wrzecion, ale 810. Wzywam was, łódzkie prządki, do współzawodnictwa. Obywatele polscy czekają na koszule, sukienki i bieliznę pościelową!”.

Na innym filmie widać młodą dziewczynę biegającą między rzędami maszyn. Lektor czyta: „Osiemnastoletnia Halina Lipińska zwyciężyła w młodzieżowym wyścigu pracy, obsługując jednocześnie sześć krosien. Brawo, panno Halinko!”.

CHLEB Z „ŻEBERKAMI”

Józef Śreniowski zapamiętał wyniki badań nad najwyższą w kraju śmiertelnością noworodków w Łodzi w latach 70.

– Wiele kobiet zostało porzuconych przez partnerów. Do końca ciąży nosiły po schodach węgiel i wodę – mówił Śreniowski.

W archiwum lokalnej telewizji można odnaleźć, nakręcone w 1980 roku, wstrząsające relacje włókniarek.

– Mój organizm nie wytrzymał na nocnej zmianie i miałam poronienie – opowiadała jedna z nich.

Wyjaśniała, że robotnice zwykle ukrywają ciążę, aby pracować i zarobić więcej na akord.

Irena Dryll, która w 1971 roku jako młoda dziennikarka relacjonowała strajk w łódzkiej prasie, tłumaczy, że w tamtym czasie w całej Europie prawo już zabraniało, aby kobiety w fabrykach pracowały na nocną zmianę.

– A nasze prządki i tkaczki pracowały! Rano wracały do domu kompletnie wykończone – opowiadała.

Poranna zmiana zaczynała pracę o piątej. Aby zdążyć, trzeba było wstać co najmniej o czwartej. Kobiety idące na popołudniową zmianę na trzynastą stały rano w kolejkach po mięso.

– Płace nie były zbyt wysokie. Tym, co mieli rodziny, ledwie starczało na przeżycie – twierdziła Smurzyńska.

– Chleb z „żeberkami” to było pożywienie robotnika. Żeberka to cebula, która pękała, gdy się ją kroiło. Do tego cienka herbata ze słoika – relacjonował Wojciech Słodkowski.

DLA PREMIERA KASZANKA

Przywódcą strajku w przędzalni odpadkowej został 33-letni śrubownik (mechanik od drobnych napraw) Wojciech Lityński. Zaważył przypadek. Zaledwie tydzień wcześniej pojechał do Gdańska na mecz ligowy łódzkich hokeistów.

– Szwagier łapał na bramce – wspominał Lityński.

Nocowali razem w hotelu Monopol naprzeciwko dworca kolejowego Gdańsk Główny.

– Wszystko widziałem na żywo, jeszcze ciepłe było… – opowiadał.

Wybite okna wystawowe, gąsienice od czołgów wtopione w asfalt, spalony Komitet Wojewódzki Partii.

Relacja Lityńskiego poruszyła fabrykę w Łodzi. Gdy zastrajkowała, głównymi postulatami były: podwyżka płac i poprawa warunków pracy we włókiennictwie oraz cofnięcie podwyżek cen żywności, od których wszystko się zaczęło na Wybrzeżu.

Do strajku szybko przyłączały się inne łódzkie zakłady.

14 lutego 1971 roku do Łodzi przyjechał nowy premier Piotr Jaroszewicz. Spotkał się z działaczami partyjnymi w gmachu łódzkiej opery. W archiwum telewizyjnym w Łodzi znajduje się nagranie jego przemówienia. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że mogłaby to być groteskowa parodia wystąpień wielu współczesnych polityków: „Czy my nie widzimy i nie rozumiemy tych postulatów, które zgłaszają załogi zakładów przemysłu bawełnianego w Łodzi? My to wszystko widzimy i rozumiemy. My widzimy znacznie więcej problemów” – cedzi słowa Jaroszewicz.

Z opery delegacja rządowa pojechała do fabryki im. Juliana Marchlewskiego. Blisko tysiąc włókniarek zebrało się na sali konferencyjnej.

– To spotkanie z Jaroszewiczem było tragiczne. Tuż przed stołem prezydialnym na podłodze usiadły kobiety. Gdy Jaroszewicz zaczął mówić, wyciągały swoje śniadania. Kanapki obłożone najtańszymi gatunkami kiełbasy, pasztetową, kaszanką, czarnym. Kładły je na papierach i mówiły: „Częstujcie się!” – opowiadała tkaczka Iwona Smurzyńska.

Premier próbował pójść w ślady Edwarda Gierka. Tłumaczył, że nastąpiła zmiana rządu, który wszystko naprawi, a następnie zapytał: „Pomożecie?”. Ale nie usłyszał: „Tak”.

– Odpowiedzią było: „My wam nie wierzymy! Odsunęliście Gomułkę, objęliście władzę i będziecie robić to samo” – wspomina Józef Tejchma.

GIERKOWI NIE POMOGŁY

Dziennikarka Irena Dryll relacjonuje, że do kobiet wyszedł Jan Szydlak, sekretarz Komitetu Centralnego Partii: „Kobitki, czy popieracie nowe władze, nowy rząd, towarzysza Gierka?”.

Cała sala huczała: „Taaak! Popieramy!”. Szydlak na to: „My, nowa ekipa, zastaliśmy straszną sytuację, nie mamy pieniędzy. Wrócicie do roboty?”. „Nieee!”. Szydlak więc od początku:

„– Nie ma na podwyżki, ale my to załatwimy, tylko trochę poczekajcie. Popieracie towarzysza Gierka?

– Taaak!

– A nowy rząd?

– Taaak!

– A nową ekipę partyjną?

– Taaak! Popieramy.

– Wrócicie do roboty?

– Nieee!”.

Potem kobiety zaczęły mówić o tym, że nie mają za co żyć.

– Była to lawina nagromadzonych latami pretensji. To nie był dialog, a wybuch, krzyk – opowiadał Józef Tejchma.

– To poruszało. Wiele osób płakało. Gdy teraz o tym mówię, to mam kluskę w gardle – relacjonowała Smurzyńska.

Wojciech Lityński zapamiętał, jak szef partyjnych związków zawodowych, Władysław Kruczek, uciekł za parawan.

– Pozostali pozwieszali głowy i ani be, ani me – mówił Lityński.

– Ci, co siedzieli za stołem prezydialnym, kiedyś zawsze potężni, najważniejsi, stali się słabi, upokorzeni. A ci z hali produkcyjnej, te strajkujące kobiety, stały się mocne, silne, potężne – przyznał Tejchma.

– Nastąpiło kilka godzin totalnej demokracji, wolności i totalnej anarchii – wspominał.

Spotkanie zakończyło się zamieszaniem. Według dokumentów z Instytutu Pamięci Narodowej, do których dotarł historyk doktor Krzysztof Lesiakowski, premier ponownie namawiał do przerwania strajku. Jedna z kobiet wyrwała mu mikrofon. Doszło do przepychanki. Jaroszewicz w pośpiechu opuścił salę.

Nazajutrz, 15 lutego 1971 roku, rząd cofnął podwyżki cen żywności. Nowa ekipa przestraszyła się, że strajk w Łodzi przeniesie się na inne miasta i trudno będzie go ugasić.

– Jak się rozejrzeli, zobaczyli te emocje, to podwinęli ogony i wrócili do Warszawy. Bali się zrobić w Łodzi to samo co na Wybrzeżu – mówiła tkaczka Maria Filipowicz.

O północy włókniarki wróciły do pracy.

– Tak się lekko każdy poczuł… – wspominał Wojciech Lityński.

Dokonali tego, czego nie udało się stoczniowcom.

TAJEMNICA PUPY

Gdy w 1980 roku powstała Solidarność, krążyły opowieści o zwycięskim strajku sprzed dekady.

– Słyszałem wtedy legendę o tym, jak rozwścieczona tkaczka zadarła spódnicę i pokazała Jaroszewiczowi tyłek – opowiadał opozycjonista Wojciech Słodkowski.

Robotnicy z ulic sąsiadujących z fabryką powtarzali legendę wieczorami przy wódce. Do pokazania premierowi pupy przyznawało się wiele kobiet.

– W latach 80. Ewa Dering, nieżyjąca już historyczka, spisywała relacje z łódzkich strajków w 1971 roku. Włókniarki licytowały się: „To ja pierwsza pokazałam!”, „Nie! To ja pierwsza”. Jakby to świadczyło o przywództwie – twierdził Śreniowski.

Przywódca strajku Wojciech Lityński w ogóle nie widział, aby ktoś wypiął się na Jaroszewicza. Zastrzegał jednak, że na sali konferencyjnej ciągle coś się działo, a on był tam tylko dwa razy.

Incydentu nie zapamiętała Iwona Smurzyńska ani Maria Filipowicz.

– Ale nie zdziwiłabym się. Ktoś mógł zdobyć się na coś takiego – przyznała Smurzyńska.

– Możliwe, ale gdzieś dalej ode mnie – domyślała się Filipowicz.

Legendę wyjaśnił mi historyk doktor Krzysztof Lesiakowski.

12 lutego 1971 roku, dwa dni przed Jaroszewiczem, do fabryki im. Marchlewskiego przyjechał wicepremier Jan Mitręga. Do później nocy namawiał do zakończenia strajku.

– To właśnie jemu jedna z pracownic miała pokazać pośladki. Dodajmy, że gołe – mówił historyk z lekkim zażenowaniem.

Incydent opisał Mieczysław F. Rakowski w swoich „Dziennikach politycznych”. Według niego sprowokował go towarzyszący wicepremierowi Władysław Kruczek, szef partyjnych związków zawodowych:

Podczas spotkania Kruczka z włókniarkami jedna z nich zadarła spódnicę i pokazała mu goły tyłek. Tyle miała do powiedzenia szefowi związków zawodowych.

– Rakowski musiał mieć sprawdzone wiadomości. Pewnie tak było. Mogła to zrobić jedna czy druga. Mogły też krzyczeć: „Pocałujcie nas w d…! – dziennikarka Irena Dryll nie jest zdziwiona.

– Jeśli przez ileś godzin, a nawet dni, w fabryce siedzą niepracujące kobiety, wkurzone do białości i przychodzi do nich ktoś, kto ma kupę racjonalnych, ale gładkich argumentów, to one mają te argumenty właśnie tam, gdzie pokazały – mówi.

Irena Dryll opisywała strajk w „Dzienniku Łódzkim”. Dziennikarze mężczyźni bali się pójść do fabryki.

– Nigdy nie wiadomo, co zrobi naprawdę wkurzona prządka. Może weźmie cewkę i kogoś pieprznie – wyjaśnia Dryll.

Według niej włókniarka to specyficzny typ robotnika.

– Mentalność kobiety jest taka, że jeżeli już zdecydowała się na strajk i wiedziała, czym ryzykuje, to nie mogła odejść z pustymi rękoma. Bez odwołania podwyżek cen żywności nie wiem, co by się działo… – mówiła.

ZAPOMNIANA LEGENDA

Dla Józefa Tejchmy to, co zobaczył w Łodzi, stało się przyczyną pytania o sens ustroju.

– Choć zajmowałem się sprawami kultury i nauki, to przecież nie byłem ślepy i głuchy ani tępy – mówił Józef Tejchma.

– To był desperacki bunt głodowy. Prawdziwe wystąpienie na śmierć i życie, bo inaczej nie dało się przeżyć – uważał Śreniowski.

Historyk doktor Krzysztof Lesiakowski oszacował, że był to jeden z największych strajków w powojennej historii Polski. Brało w nim udział ponad 60 tysięcy ludzi. Dla porównania – to mniej więcej tyle, ile strajkowało w całym kraju w czerwcu 1976 roku.

– To był taki przedsionek do strajków w latach 1980–81 – uważa Irena Dryll. Przypomina sobie, że wśród setek postulatów zgłaszanych przez poszczególne zakłady był postulat, aby można było założyć niezależne związki zawodowe.

– To był absolutnie historyczny postulat, wyprzedzający Wydarzenia Sierpniowe! – dziennikarka jest o tym przekonana.

Strajk włókniarek w Łodzi został jednak niemal całkowicie zapomniany. Nie istnieje w pamięci zbiorowej Polaków.

– W Łodzi nie ma nawet tablicy pamiątkowej, przy której odbywałyby się obchody rocznicowe – mówił historyk doktor Lesiakowski.

Powodów może być kilka. Po pierwsze, w Łodzi na szczęście – nie tak jak na Wybrzeżu – nie było ofiar śmiertelnych. Po drugie, przywódcami byli zwykli robotnicy, którzy nigdy nie zaistnieli w polityce. Po trzecie, buntowi robotników nie towarzyszyli inteligenci, którzy go opisywali. Stąd dziś trudno znaleźć wiarygodne relacje.

Oficjalnie za strajk w 1971 roku nikt nie został ukarany. Ale przędzalnia odpadkowa, na której się zaczął, została zlikwidowana, a jej budynek wyburzony. Władze bały się powtórki.

Przywódcy strajku zostali zmuszeni do odejścia z fabryki.

– Partyjniaki dzień w dzień zaczęli przychodzić. Rok męczyli, żebym zapisał się do partii. Ale mnie ta organizacja nie interesowała – opowiadał mi Wojciech Lityński.

Aż przyszła sobota, gdy śrubownicy czyścili maszyny. Gdy Lityński swoje wyczyścił, pojawiło się dwóch majstrów. Zaprowadzili go do personalnej. Tam usłyszał: „Od dziś nie ma pan wstępu” i nic więcej.

Z trudem znalazł pracę w zakładzie energetycznym. Gdy w Polsce zaczął się kapitalizm, objęły go pierwsze zwolnienia grupowe. Poszedł pracować w prywatnej firmie. Ale zwolniono go po raz trzeci. Nigdy nie zaangażował się już w politykę.

Dostał 900 złotych emerytury. Zaczął chorować na serce, ledwie starczało mu na leki.

Iwona Smurzyńska zwolniła się sama.

– Wzywano nas na rozmowy i pytano, co sądzimy o rządach pana Gierka – wspominała.

Należała do Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), młodzieżowej przybudówki Partii. Mogła awansować, ale zrezygnowała.

– Chciałam zostawić za sobą ten zakład i wydarzenia. Przytłaczały mnie i zapadły w podświadomość – twierdzi.

W 1980 roku zaangażowała się w Solidarność. Potem siedziała za to w więzieniu. W III Rzeczpospolitej poszła do pracy w supermarkecie.

Maria Filipowicz w 1980 roku została wiceszefową Solidarności w fabryce im. J. Marchlewskiego i znów strajkowała.

– Byliśmy mądrzejsi i pewniejsi siebie. Od razu wybraliśmy reprezentację do rozmów. Nie tak jak w 1971 roku, gdy wszyscy krzyczeli – opowiadała.

Z fabryki wyrzucono ją w stanie wojennym. Trafiła do więzienia. Dziś jest na emeryturze, ale niczego nie żałuje.

Fabryka im. J. Marchlewskiego splajtowała w 1990 roku jako jedna z pierwszych w Łodzi. Produkowała miliony metrów tkanin dla Związku Radzieckiego. Wraz z upadkiem komunizmu skończył się zbyt. W 2006 roku otwarto na jej terenie centrum handlu i rozrywki Manufaktura. W dziewiętnastowiecznych budynkach z czerwonej cegły powstały sklepy, galerie, restauracje.

– Jak Boga kocham, nie mogę się tu rozeznać! To zupełnie inne miejsce – dziwił się Wojciech Lityński, którego udało mi się namówić na spacer. Nigdy wcześniej tam nie przyszedł. Bał się, że dostanie ataku serca. W czapce z daszkiem, w podniszczonej kurtce wyglądał tak, jakby został przeniesiony wprost z 1971 roku do współczesnego centrum handlowego.

Wkrótce potem zmarł.

ROZDZIAŁ 3

KTO ZJADŁ MIĘSO?

PIOTR LIPIŃSKI

Mięso w PRL-u miało moc szczególną – obalało rządy. Co takiego kryło się w kiełbasie zwyczajnej, że raziła nadzwyczajną siłą? Dlaczego szynka potrafiła wyprowadzić ludzi na ulice?

W epoce Gomułki dwóch pijaczków krzyczy na ulicy: – Mięsa nie ma, schabu nie ma i kiełbasy brak! Zgarnia ich milicja, a na posterunku komendant uświadamia: – Za Stalina dostalibyście kulę w łeb! Kiedy ich puszczają, pijaczkowie, zataczając się, znów krzyczą na ulicy: – Nic już nie ma, nawet kul!

I. EGZEKUCJA

– Wawrzecki osiwiał w mgnieniu oka – mówi Barbara Seidler, reporterka sądowa. – Tak opowiadał siedzący z nim w celi śmierci prosty chłop skazany za morderstwo, potem uniewinniony.

Myślał, że człowiek siwieje z wiekiem, po jednym włosku, dzień po dniu. Nie wiedział, że można osiwieć nagle z przerażenia.

Kiedy o świcie przyszli strażnicy i zawołali: „Wawrzecki, zabieraj rzeczy”, zrozumiał, że idzie na egzekucję. Chociaż przecież cały czas wierzył, że nadejdzie ułaskawienie.

Więźniowie już walili łyżkami o kraty. Poprosił o papierosa. Nigdy wcześniej nie palił. Wyciągnął dłoń i ta wyprostowana ręka zesztywniała, nie mógł jej już cofnąć. Musieli mu włożyć papierosa do ust i przypalić.

Według reporterki Barbary Seidler było więc tak: świt, Wawrzeckiego wywlekają z celi osiwiałego, z odrętwiałą ręką.

TERMINARZ PROKURATORA, KSIĘDZA, KATA

Stanisław Wawrzecki, dyrektor warszawskiego Miejskiego Handlu Mięsem, został skazany na śmierć w 1965 roku za udział w tak zwanej aferze mięsnej. Po roku 1956 był to w PRL jedyny wykonany wyrok śmierci za przestępstwo gospodarcze.

Według profesora Andrzeja Rzeplińskiego, prawnika z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, powieszono go jednak nie o świcie, ale po południu:

– Po roku 1956 kary śmierci wykonywano w Polsce około godziny siedemnastej, osiemnastej. Nie, jak wieść gminna niesie, o świcie. Żaden prokurator nie wstanie o czwartej rano na egzekucję. Po południu, między obiadem a kolacją, był lepszy czas na wieszanie.

Zwykle między decyzją Rady Państwa a egzekucją upływały dwa–cztery tygodnie. Uzgadniano wówczas terminarz prokuratora, księdza, no i kata.

Anonimowy współwięzień z Rakowieckiej zapewnia:

– Wawrzecki do końca był przekonany, że z Rady Państwa nadejdzie ułaskawienie. To była pewność absolutna. Może kogoś chronił, nie wyjawił pewnych nazwisk w sądzie i oczekiwał w zamian lojalności. Ktoś ważny musiał mu obiecać, że nie zawiśnie.

Mecenas Jacek Wasilewski, obrońca jednego z kierowników sklepów w aferze mięsnej:

– W piątek wieczorem dowiedziałem się, że Rada Państwa odrzuciła prośbę Wawrzeckiego o łaskę. Mieli go wieszać w poniedziałek wieczorem. W sobotę rano poszedłem odwiedzić jakiegoś klienta w więzieniu i niespodziewanie natknąłem się na Wawrzeckiego. Prowadzili go strażnicy, a on zatrzymał mnie i ze zwierzęcym strachem w oczach pytał: panie

mecenasie, co ze mną będzie? A ja dziesięć godzin temu usłyszałem przypadkiem, że umrze, że jego los jest już przesądzony. Co miałem mu powiedzieć? Skłamałem: panie Wawrzecki, niech pan będzie spokojny, ułaskawią pana. Zobaczyłem w jego oczach olbrzymią ulgę. Pomyślałem – dobrze, że skłamałem.

PRZYCZYNA ZGONU – POWIESZENIE

Od odrzucenia prośby o łaskę do wykonania wyroku nie mogło minąć kilka tygodni – jak wyliczył profesor Rzepliński. Wyrok wykonano natychmiast.

Rada Państwa odrzuciła prośbę 18 marca.

Dzień później na Rakowieckiej sporządzono dokument: „Wymieniony(a) na odwrocie więzień zmarł w więzieniu dnia 19 marca 1965 roku Przyczyna zgonu – wykonanie wyroku przez powieszenie".

Mecenas Wasilewski musiał się pomylić. Nie mógł w sobotę rano pocieszać kłamstwem Wawrzeckiego.

Prośbę odrzucono 18 marca – to był czwartek. W piątek wykonano wyrok. W sobotę Wawrzecki już nie żył.

II. PROCES

Czym się różni przedwojenny sklep mięsny od powojennego? Przed wojną na sklepie było napisane: rzeźnik, a w środku było mięso. Teraz nad sklepem wisi szyld: mięso, a w środku jest tylko rzeźnik.

– Zamiast powiesić szynkę w sklepie, powiesili w więzieniu Wawrzeckiego – uważa profesor Andrzej Rzepliński. – Gomułka na swój sposób pojmował gospodarkę. Uważał, że należy po prostu zwalczyć złodziei, malwersantów, łapowników, bo oni są winni wszelkim brakom. Jak zwalczyć? Strachem. Powieszono Wawrzeckiego.

To był mord sądowy. Sędzia wiedział, że wyrok wydano już wcześniej. Sędzia był tylko końcem pióra.

JAKBY SIĘ WOREK Z MĄKĄ ROZSYPAŁ

Dowcipy o mięsie towarzyszyły PRL-owi przez całą jego historię.

Mniej Ochabów, więcej schabów.
Nie ma szynki, nie ma gnata,
Hermaszewski w kosmos lata.
Nie ma mięska, nie ma serka,
jak tu lubić wujka Gierka.
Gdy zabierze i pasztecik,
podpalimy komitecik.

Paweł Wawrzecki jest aktorem znanym między innymi z seriali „Złotopolscy", „Matki, żony i kochanki". Garderoba teatru Kwadrat.

Niechętnie dziś mówi o ojcu Stanisławie. Wiele razy już opowiadał. Dla filmu, kolorowych czasopism, zwierzał się nawet Krzysztofowi Ibiszowi.

Ojca stracono, kiedy miał 15 lat.

– Byłem na ostatnim słowie taty w sądzie – wspomina. – Stracił przytomność. Bronił się, prosił o zrozumienie, że odpracuje. Nie chcę dziś o tym mówić. Słowa, słowa, jakby się worek z mąką rozsypał. I co z tego? Nic.

W filmie Leszka Ciechońskiego i Piotra Pytlakowskiego „Śmierć w majestacie prawa" Paweł Wawrzecki opowiadał o ostatnim spotkaniu, kiedy jeszcze nie wiedział, że ojca wkrótce aresztują:

Ja się w dziwny, specyficzny sposób, po męsku, pożegnałem z ojcem. Wychodziłem rano do szkoły, ojciec się przygotowywał, przed południem miał odlatywać samolotem. Wszedłem do pokoju stołowego i powiedziałem: „no to cześć tato, widzimy się za tydzień". Nie pocałowałem go, tylko mu podałem rękę. Bo taki byłem mężczyzna, niedługo kończyłem szkołę podstawową. Czułem się dorosły. Właściwie zawsze tego żałuję, że nie pożegnałem się z nim jak należy.

Paweł Wawrzecki wierzy, że ojca wszyscy lubili. Dziś nawet spotkał kogoś, kto powiedział: to był gość w porządku.

Wierzy, że ojca uwikłano. Że kogoś krył, ktoś mu obiecał wyrównać przysługę. Dlatego w trakcie procesu stawał się coraz spokojniejszy.

Wierzy, że potem zacierano ślady. Dziś nie można nawet przeczytać akt sprawy, bo spłonęły w tajemniczym pożarze w sądzie.

Mężczyzna, widząc ogonek pod mięsnym, zamawia sobie miejsce: – Polecę tylko do KC nakopać Gomułce. Szybko wrócił, kolejkowicze pytają dlaczego. – Ludzie, tam jest kolejka trzy razy dłuższa.

W roku 1964, kiedy rozpoczęły się aresztowania wśród pracowników „mięsa", zmarła Wanda Wasilewska, Mieczysław Moczar został prezesem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) i ministrem spraw wewnętrznych, a intelektualiści (wśród nich Maria Dąbrowska, Stefan Kisielewski, Władysław Tatarkiewicz) podpisali „List 34": „Ograniczenie papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej zagrażają rozwojowi kultury narodowej".

20 listopada 1964 roku rozpoczął się proces.

Barbara Seidler w reportażu „Mięso i inne sprawy" napisała:

Już wprowadzają oskarżonych. Między twarzami milicjantów podpiętych służbiście paskami – twarze tych dziesięciu: zmarszczka nad nosem, w poprzek czoła, dalej ziemista cera i czupryna kędzierzawa, teatralny, zły gest osłaniający twarz przed kamerą, czyjaś szyja purpurowa nad rozchylonym kołnierzykiem i rzadkie ryżawe włosy sczesane na łysiejące skronie.

Stanisław Wawrzecki był jednym z dyrektorów w Miejskim Handlu Mięsem, nadzorującym warszawskie sklepy. Oprócz niego na ławie oskarżonych zasiadło czterech innych dyrektorów uspołecznionego handlu, czterech kierowników państwowych sklepów, a tylko jeden właściciel prywatnej masarni. Ale Zygmunt Szeliga w „Polityce" przekonywał: „Wszyscy bodaj kierownicy sklepów mięsnych, objęci śledztwem, są albo byłymi właścicielami dawnych prywatnych sklepów mięsnych, albo pracownikami tych sklepów lub też wywodzą się z rodzin prywatnych masarzy".

Akt oskarżenia stwierdzał, że zgodnie z wytycznymi i wskazaniami kierownictwa partii, Rady Państwa i rządu (w takiej właśnie kolejności) organy ścigania podjęły energiczne wysiłki, aby wzmocnić walkę z przestępczością gospodarczą i zapewnić ochronę mienia społecznego przed grabieżą i nadużyciami. „Czyny te bowiem wyrządzają ogromne szkody materialne oraz powodują zakłócenia w planowym zaopatrywaniu

ludzi pracy w artykuły pierwszej potrzeby, a także opóźniają stałe podnoszenie stopy życiowej ludności”.

BYŁ POŻAR?

Podobno aresztowano Trubadurów. Przed mięsnym śpiewali „Znamy się tylko z widzenia”.

Akta sprawy wciąż jednak leżą zmagazynowane w piwnicach warszawskiego sądu. Przewodniczący wydziału podpisuje mi zgodę na wgląd, a ja myślę, że Paweł Wawrzecki, jak na artystę przystało, buduje własną rzeczywistość. Nikt przecież nie wzniecił pożaru, aby zatrzeć ślady zbrodni na jego ojcu.

Przeglądam akt oskarżenia, pełnomocnictwa adwokatów. Szukam pierwszych przesłuchań sądowych. Powinny być w trzecim tomie.

Ale ich nie ma.

Szukam przemówień obrońców – brak. Mów prokuratorskich – też nie znajduję.

Przyglądam się dokładniej aktom – pięć tomów. Kartki ponumerowane dokładnie, po kolei, żadnej nie brakuje. Ale w pięciu tomach jest tylko akt oskarżenia, wyrok, wezwania świadków, adwokatów. Brakuje najważniejszego – zapisu rozprawy.

Czytam w jednym z dokumentów, że sądowe akta tej sprawy powinny liczyć około 50 tomów. Co się z nimi stało? Tego dziś w sądzie nikt nie może wyjaśnić: Te pięć tomów to wszystko, co zostało. A co z pożarem? Tego też nikt nie wie.

ZA SZYBKO, ABY NADĄŻYĆ

Góral zasnął na pogadance partyjnej. Prelegent go budzi i pyta, co mu się śniło.

– Góra mięsa, a na szczycie siedział Pan Bóg – opowiada góral.

– Co wy, nie wiecie, że Boga nie ma? – dziwi się prelegent.

– A mięso to jest? – pyta góral.

W roku 1959 przy komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej powołano inspektoraty mięsne, a Władysław Gomułka na III Plenum KC

PZPR zastanawiał się, dlaczego ludzie pragną coraz więcej mięsa. Wymyślił trzy powody:

Pierwszą i naczelną przyczyną jest stale i szybko rozwijający się wzrost siły nabywczej ludności wiejskiej i miejskiej.

Przyczyną drugą jest wysoki przyrost naturalny ludności.

Przyczyna trzecia tkwi w niewłaściwej relacji cen mięsa do cen innych artykułów żywnościowych.

Kilka lat wcześniej zdawał na polonistykę Michał Głowiński, dziś profesor, historyk literatury.

– W ramach zagadnień życia współczesnego jakiś asystent zapytał mnie: dlaczego w Polsce nie ma mięsa? – opowiada. – Trochę się zacukałem. Śmiesznie byłoby powiedzieć: jak to nie ma mięsa? Przecież już nawet „Trybuna Ludu" napomykała, że bywają trudności. Stwierdzić zaś, że to immanentna cecha socjalizmu, oczywiście też nie mogłem. I nagle przypomniałem sobie przemówienie wicepremiera Hilarego Minca o chorobie wzrostu. Dialektycznie tłumaczył, że wzrost gospodarczy jest tak wielki i szybki, że czasami czegoś brakuje.

ZESŁANY SĘDZIA

Gierek przejeżdża obok wielkiej kolejki po mięso. Wysiada i mówi: – Pomogliście mi, to i ja wam pomogę.

Godzinę później pod sklep podjeżdża ciężarówka. Wyładowują krzesła.

Profesor Andrzej Rzepliński w latach siedemdziesiątych zbierał materiały do doktoratu o rodzinach więźniów długoterminowych. Przebadał ich 130. Wówczas spotkał skazanych za aferę mięsną, którym tymczasem – po wprowadzeniu nowego prawa karnego – wyroki dożywocia zamieniono na 25 lat więzienia.

Ale o sprawie usłyszał wcześniej, kiedy jeszcze aplikował w prokuraturze. Opowiadano wówczas, jak wyznaczano sędziów do spraw gospodarczych. Który sędzia był uległy wobec władzy, a który potrafił zachować niezawisłość.

– Wśród młodych aplikantów niekłamanym autorytetem cieszył się sędzia Michał Kulczycki – wspomina profesor Andrzej Rzepliński. – Dziś pewnie też jest taka giełda, młodzi prawnicy wiedzą, kto uczciwie pracuje,

a kto bierze łapówki. W systemie komunistycznym sędzia również mógł wykazać swoją klasę – i z tego właśnie słynął Kulczycki.

Sędzia Kulczycki nie zgodził się wydać wyroku śmierci w sądzonej przez siebie aferze skórzanej. Najwyższy wyrok, jaki orzekł, to dożywocie. W prowadzonej przez kogo innego drugiej sprawie skórzanej orzeczono śmierć – Rada Państwa jednak skorzystała z prawa łaski.

Za nieposłuszeństwo usunięto Kulczyckiego ze stanowiska przewodniczącego warszawskiego Sądu Wojewódzkiego. Zesłano go jako zwykłego sędziego do Siedlec. Do Warszawy wrócił dopiero na początku lat osiemdziesiątych. Poprowadził wówczas sprawę przeciwko Maciejowi Szczepańskiemu, prezesowi telewizji – pamięta Andrzej Rzepliński.

Do sądzenia afery mięsnej wyznaczono więc specjalny skład. Chociaż sprawa toczyła się przed Sądem Wojewódzkim, do orzekania wytypowano nawet sędziego Sądu Najwyższego.

ZAKAZ KWIATÓW I PIRAMID

Co to jest: długie, pokręcone, odżywia się głównie nabiałem? Kolejka do mięsnego.

Partia już wiedziała o sprawie mielenia. Sprzedawcy malwersanci mełli podroby: płuca, śledziony i wymiona w cenie 4–8 złotych za kg, a za mięso mielone żądali 36–40 złotych.

Ministerstwo Handlu Wewnętrznego przygotowało się do batalii.

Wydano specjalne przepisy, stanowiące, że mielenie jest „bezpłatną usługą na rzecz konsumenta”. Kategorycznie zakazano mielenia na zapas. Co z tego, skoro przepis nagminnie łamano.

Wówczas wydrukowano specjalne plakaty informujące klientów o prawnych zasadach mielenia. W tysiącach egzemplarzy rozesłano do wszystkich sklepów w kraju.

Niestety, plakaty „zostały bądź celowo zniszczone, bądź zdjęto je lub umieszczono w miejscach niewidocznych dla konsumenta”.

O przegranej bitwie o mielenie przeczytałem w szarej teczce, która przeleżała ćwierć wieku w archiwum Komitetu Centralnego PZPR. Kiedy partię rozwiązano, teczkę przeniesiono do Archiwum Akt Nowych. Nosi tytuł: „Afera mięsna w Warszawie” i zawiera 207 stron dokumentów podsumowujących prace specjalnej komisji pod kierownictwem Alojzego

Karkoszki, przewodniczącego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Opisuje działanie Stanisława Wawrzeckiego i podległych mu kierowników sklepów.

Komisja wyśledziła typowe przykłady nadużyć:

Przy schabie (cena 44 zł za kg) pozostawia się zbyt długie żeberka (cena 26 zł za kg) lub część biodrówek (30 zł), karkówkę (36 zł), a ponadto nie usuwa się tłuszczu zewnętrznego (24 zł).

Albo:

Kiełbasę krakowską (40 zł) sprzedaje się jako szynkową (56 zł), kiełbasę zwyczajną (36 zł) sprzedaje się jako rzeszowską (48 zł).

Waży się według wagi brutto. Zaokrągla ceny w górę;

Pracownicy sklepów żywią się bezpłatnie na zapleczu;

Kierownicy sklepów wręczają łapówki dyrektorom Miejskiego Handlu Mięsem, którzy w zamian zapewniają większe dostawy.

Prace komisji partyjnej zaowocowały wnioskami:

Należy usilnie dążyć do wprowadzenia automatycznych wag samopiszących;

Rozważyć możliwość powołania w większych zakładach mięsnych instytucji sądów robotniczych;

W celu ograniczenia marnotrawstwa przy bezpośrednim, samowolnym konsumowaniu mięsa i przetworów mięsnych w zakładach pracy, rozważyć możliwość uruchomienia stołówek pracowniczych wydających nieodpłatnie, względnie częściowo odpłatnie, posiłki dla robotników;

Usunąć z lad, stołów sprzedażowych wszelkie dekoracje i przedmioty (kwiaty, piramidy z puszek konserwowych, bloków smalcu itp.), które zasłaniają widoczność towaru wyłożonego lub przygotowywanego do sprzedaży.

„KRYŻUJE” LUDZI

Czym się różni świnia od sklepu mięsnego? Świnia ma dużo mięsa i krótki ogonek, a sklep odwrotnie.

Kiedy do orzekania w aferze mięsnej wyznaczono skład sędziowski, adwokaci oględnie zaprotestowali: „Obrońcy mają głęboki szacunek oraz zaufanie do wyznaczonych sędziów i przypisują wyłącznie trudnościom technicznym fakt, że w składzie Sądu nie zasiadł ani jeden z sędziów IV wydziału karnego, właściwego normalnie do rozpoznania tej sprawy”.

Do składu skierowano sędziów wojewódzkich: Faustyna Wołka i Kazimierza Gerczaka. Przewodniczyć rozprawie miał Roman Kryże, wydelegowany z Sądu Najwyższego. W latach stalinowskich orzekał kary śmierci wobec żołnierzy AK. Opowiadano o nim jako o sędzim, który ma prywatny cmentarz. Mecenas Siła-Nowicki mówił o nim, że „kryżuje" ludzi.

Dziś już nie żyje żaden z sędziów. Nie żyją też oskarżający prokuratorzy – Eugeniusz Wojnar i Alfred Policha.

CZY WOLNO ZAPYTAĆ DZIECI O OJCÓW?

Zadzwoniłem do synów dwóch osób. Może coś wiedzą o kulisach wyroku? Może słyszeli o naciskach politycznych, aby wydano wyrok śmierci? Albo o roli, jaką w tej sprawie mógł odegrać Władysław Gomułka? Może do tej pory milczeli nie dlatego, że chcą ojców zachować w dobrej pamięci, ale dlatego, że nikt ich dotąd o nic nie pytał?

Obaj byli wówczas nastolatkami. Nie chcą mówić publicznie o swych ojcach.

CZAS AFER

Na zjazd PZPR zaproszono Indirę Gandhi, aby nauczyła Polaków karmić bez wołowiny, i Goldę Meir, aby opowiedziała, jak odżywiać się bez wieprzowiny.

– Mięso w PRL? Przedmiot pożądania – kojarzy Oktawia Górniok, profesor prawa Uniwersytetu Śląskiego, specjalistka od przestępczości gospodarczej. – Każde województwo miało wówczas własną aferę mięsną. Mimo nawoływań: „łapmy złodziei, malwersantów" efekty były marne, bo funkcjonowało coś, co dziś nazwalibyśmy przestępczością zorganizowaną.

Profesor Oktawia Górniok najbardziej zapamiętała aferę z pończochami. W zakładzie, który wytwarzał surowiec do produkcji pończoch, powstała „oficjalna" grupa przestępcza, z dyrektorem, sekretarzem i księgowym, czyli elita. Wygospodarowany materiał wywozili przy okazji legalnych transportów. Ale one wyjeżdżały co kilka dni, więc nadwyżki należało magazynować. Kilku robotników podpatrzyło, gdzie dyrektorzy chowają swoje łupy, i sami zaczęli stamtąd podbierać. Powstała oddolna grupa

złodziei. Obie grupy, „elitarno-oficjalna” i „oddolno-robotnicza”, wiedziały o sobie, więc musiały się wzajemnie tolerować.

To był czas afer.

Eugeniusz Górski w przeznaczonej do użytku wewnętrznego MSW publikacji „Ekonomiczne problemy przestępczości w gospodarce mięsnej” wyliczył, że łódzka afera węglowa trwała 18 lat, warszawska afera mięsna – 12 lat, a piotrkowska afera mięsna – 17 lat.

Kiedy oskarżano Stanisława Wawrzeckiego, zebrano już dowody – jak wyliczył Jerzy Jagiełło w artykule „Przestępczość w przemyśle i handlu mięsem” – przeciwko 1302 osobom. Już wówczas przedstawiono zarzuty 437 pracownikom i aresztowano spośród nich 331.

Ale walka o mięso dopiero się zaczynała. W 1964 roku wniesiono zaledwie 11 aktów oskarżenia w sprawach mięsnych. W roku 1965 – już 79. W latach 1966–1968 do sądów trafiało od 48 do 59 spraw rocznie.

Walka osłabła pod koniec lat 60. W 1969 roku aktów oskarżenia było już tylko 31, a rok później – 18.

Łącznie od roku 1964 do 1973 w sprawach mięsnych sporządzono 452 akty oskarżenia.

Anonimowy prokurator, który prowadził kilka spraw aferalnych (wełna, len), opowiada:

– Wiedzieliśmy w prokuraturze, że aferami interesują się najwyższe władze. Ale do mnie nigdy nie dotarły żadne naciski. Władza rozmawiała z szefami prokuratur. Śledztwa przebiegały zgodnie z normalnymi regułami zbierania dowodów. Afera wychodziła na jaw, gdy kilka osób przyznało się do winy. Ważna więc była praca z podejrzanym, którą w większości wykonywała milicja. Nigdy nie spotkałem się z przypadkami bicia czy torturowania zatrzymanych w sprawach gospodarczych. Ale milicja czasami mówiła: przyznasz się – dostaniesz paczkę, zgodę na widzenie.

DZIEWCZYNKA NA WYSOKICH OBCASACH

Najdroższa woda – w polskiej kiełbasie.

Najtańsza – w polskiej prasie.

Dziennikarze siedzieli wówczas w ławie na prawo od składu sądzącego. W miejscu, w którym dziś zasiada prokurator.

Zanim jeszcze zapadł wyrok, Maria Osiadacz pytała retorycznie w „Prawie i Życiu”: „Czy był wśród oskarżonych choć jeden człowiek, który opierał się mafii, nie inicjował sam złodziejskiego procederu i nie odpowiadał na inicjatywę innych?”.

– Na ile mógł sobie pozwolić dziennikarz opisujący tę sprawę? – pytam Barbarę Seidler, ostatnią z żyjących dziennikarzy relacjonujących aferę mięsną.

Barbara Seidler miała kłopoty z cenzurą. Chciała wyraźnie napisać, że jest przeciwniczką kary śmierci. To było jednak dla władzy absolutnie nie do przyjęcia, wszystko wykreślała cenzura.

– Ale i tak byłam zadowolona, przemyciłam moje poglądy – wspomina. – Cytując przemówienie mecenasa Bieńkowskiego, obrońcy Wawrzeckiego, przedstawiłam argumenty przeciwników kary śmierci: „Jakie mamy prawo skazywać na śmierć jednych, aby nastraszyć lub poprawić innych? I czy szalę ludzkiego życia mogą przechylić najcięższe nawet miliony?”.

Po chwili Barbara Seidler przypomina sobie dziewczynkę, która przychodziła na rozprawy. Proces odbywał się w największej warszawskiej sali sądowej, która nosiła wówczas numer 17, dziś 252. Milicjanci przedzielili korytarz ławkami, wpuszczali tylko dziennikarzy i osoby z przepustkami.

– Na salę nie miały wstępu dzieci – mówi Barbara Seidler. – Zapamiętałam dziewczynkę, mogła mieć 12 lat. Była córką któregoś z oskarżonych. Uciekała ze szkoły. Szła w sądzie do ustępu, malowała się, zmieniała sukienkę i wkładała buty na obcasach. Czekała, aż zbierze się trochę ludzi, i przemykała w tłumie do sali rozpraw. Kiedy to zauważyłam, specjalnie szłam do toalety, brałam ją, lekko popychałam przed sobą i zagadywałam milicjantów.

REWOLUCJE OD PODWYŻEK

Klient zdejmuje w sklepie czapkę i palto, kładzie na ladzie.
– Co pan robi?! – woła sprzedawca. – To sklep mięsny.
– O przepraszam – tłumaczy się gość. – Myślałem, że szatnia.
Historyk Andrzej Friszke mówi:

– Mięso w PRL było jednym z podstawowych artykułów spożywczych – trudno sobie wyobrazić ówczesną dietę bez mięsa. Jadano tłusto, tak wyglądała tradycyjna kuchnia wiejska. Było bardzo mało nabiału: mleko, masło, paskudny serek topiony, jeden ser biały, trzy gatunki żółtego. Jogurty pojawiły się dopiero za Gierka.

Mięso było artykułem strategicznym i decydowało o losach kolejnych ekip kierowniczych państwa. Władza, kiedy już nie radziła sobie z brakami, podnosiła ceny. I wówczas zaczynały się rewolucje. Mięso obaliło Gomułkę. Wydarzenia grudnia 1970 roku zaczęły się od podwyżek cen. Kolejna podwyżka w 1976 roku doprowadziła do słynnego wybuchu protestów w Radomiu i Ursusie. Potem wprowadzono sklepy komercyjne, w których można było dostać mięso częściej i lepsze, ale po wyższych cenach. W lipcu 1980 roku ceny komercyjne na niektóre towary wprowadzono w bufetach zakładowych. Wybuchła Solidarność.

MIŁOŚĆ ZAKWITŁA MIĘDZY KONTROLAMI

Polskę podzielono na 49 województw, żeby w totolotku losować, do którego rzucić mięso.

Po wyroku Bożena Wawrzecka przefarbowała włosy z ciemnych na blond.

– Żeby mnie ludzie nie poznawali – opowiada. Prowadziła kolekturę totolotka w Hali Mirowskiej.

Pracowała na antresoli, a wokół kręcili się tajniacy.

– Jak się im nudziło, zaglądali do komisu obok – wspomina – a ja żartowałam, żeby sobie przynosili krzesełka i buty na zmianę. Pewnie sprawdzali, z kim się kontaktuję, przecież nie z zakochania przychodzili.

Wawrzeckiego poznała w restauracji. Ona była kierowniczką w gastronomii, a on przychodził z wydziału handlu na kontrole, czy w kotletach zgadza się gramatura. Wiosną między kontrolami zakwitła miłość.

– Poprzednia żona zostawiła go z dwoma synami i odjechała z rajdowcem – opowiada Bożena Wawrzecka. – Trochę miałam zastrzeżeń ze względu na te dwoje gotowych dzieci.

Wawrzecki okazał się dobrym mężem. Kochał synów, w soboty i niedziele sam gotował obiady.

– Nieco go tylko ciągnęło do innych babek – wspomina wdowa – ale który chłop tak nie ma?

Stanisław Wawrzecki pochodził spod Mławy, ojciec był chłopem. Kiedy Stanisław trafił do Warszawy, został konwojentem w domu towarowym, rozwoził klientom dywany. Ale szybko zapisał się do partii, awansował społecznie do wydziału handlu i dostał służbową warszawę.

Aresztowano go, gdy wysiadał z samolotu.

– To była wycieczka dyrektorów i księgowych do Rumunii, Węgier, Czechosłowacji – wspomina wdowa.

Trzy dni po aresztowaniu przyznał się, że przyjął łapówki od 120 kierowników sklepów. Uzbierać się z tego miała suma 3,5 miliona złotych (kilogram zwyczajnej – co wiadomo z ustaleń komisji partyjnej – kosztował wówczas 36 złotych).

– Mąż w sądzie do wszystkiego się przyznał, myślał, że mu na korzyść policzą – opowiada Bożena Wawrzecka. – Wyznawał w szczegółach, chociaż nawet nie wszystko wiedział, gdzie było ukryte, bo to już ja pochowałam.

– Wiedziałam o tych łapówkach – mówi Bożena Wawrzecka. – Wiedziałam, ale co ja, kochany, mogłam? Mieli prawo jakiś procent w sklepach odliczyć na ubytki, coś wycieknie, coś zeschnie. Nie zawsze, wie pan, te ubytki były w rzeczywistości, ale oni zawsze sobie je odliczali. Takie życie. Mąż innym też woził. Komuś na milicję, gdzieś tam jeszcze, a najważniejszy był ten Hilarek Minc. Mąż mu normalnie pieniądze w teczce woził. Zapamiętałam, bo minister, na świeczniku.

Sprawdziłem – kiedy Stanisław Wawrzecki trafił do MHM w roku 1959, Hilary Minc już od dwóch lat był na emeryturze.

JEDZCIE SZPINAK

Liczba mnoga od „człowiek”? Kolejka.

Co to jest kolejka? Socjalistyczne podejście do sklepu.

Profesor Michał Głowiński opowiada:

– Miałem koleżankę, profesor habilitowaną, w stylu przedwojennej damy. Ugadała sobie ekspedientkę, która zostawiała jej lepsze mięso, a pani profesor odwdzięczała się czekoladkami. Przychodzi trzeci, czwarty raz do sklepu i nagle ta młodsza od niej o 40 lat dziewczyna zaczyna mówić do

niej per „ty”. A że nie znała jej imienia ani nazwiska, zwracała się per „Niunia”. Pani profesor trochę się zacukała, ale zależało jej na mięsie, więc przystała na taką formę. Ujawnił się taki mechanizm, że ekspedientka, bez posądzenia o przekupstwo, mogła sprzedawać lepsze kąski albo rodzinie, albo bliskim znajomym. Musiała więc oswoić panią profesor.

Kazimierz Brandys pisał, że w Polsce Ludowej mięso stało się symbolem. Konsumowanie szynki było swojego rodzaju aktem wolności. Świadczyło o posiadaniu czegoś, co stało się w reżimie niedostępne. I nie za sprawą ceny, ale przez jego fizyczny brak.

PRL wykształcił język związany z rynkiem żywności. Mięso trzeba było wystać. Powiadano: „zdobyć mięso”. „Rzucić mięsem” znaczyło przekląć, ale też „rzucono mięso do sklepów”. Kiedy wprowadzono kartki, urzędowo nazwano je bonami towarowymi, aby uniknąć wojennych skojarzeń.

Gomułka od pewnego czasu zarzucał Polakom, że jedzą za dużo mięsa. Ale, co dziwne, nie było propagandy wegetariańskiej. A przecież kiedy brakowało masła, zachwalano margarynę. Totalitarna propaganda miała nieograniczone możliwości. Władza mogła nagle powiedzieć: jedzcie szpinak. Jednak wegetarianizm chyba kojarzył się z ideologią, z przekonaniami religijnymi. Mógłby zostać przyjęty jako obcy marksizmowi, socjalizmowi. Propaganda wegetariańska oznaczałaby przyznanie się, że mięsa brakuje.

BAROKOWE PRZEMÓWIENIE

Dlaczego nie ma mięsa? Świnie przy korytach, krowy w Lidze Kobiet, a woły pracują.

– To był, proszę pana, proces, w którym występowali znakomici obrońcy. Ja byłem ze stajni mecenasa Bieńkowskiego i Maślanki, najznamienitszych wówczas. Złożyłem w sądzie moje pismo: adwokat Jacek Wasilewski, ustanowiony w sprawie. Broniłem Adama Stokłosińskiego, kierownika sklepu mięsnego przy ulicy Hożej. Do dziś pamiętam słowa mecenasa Bieńkowskiego, obrońcy Wawrzeckiego: „A jeśli, panowie sędziowie, sięgniecie po najwyższy wymiar kary, pamiętajcie, że ja byłem przeciw, przeciw, przeciw”. Mecenas Mirski, który też już nie żyje, wygłosił barokowe przemówienie: „Zabraniam wam orzec karę długoletniego więzienia, ale jeśli ją wymierzycie, ja moją lutnię adwokacką strzaskam”.

Mecenas Zofia Wajdowa, żona dziekana rady adwokackiej, poruszyła problem, jaką wartość dowodową mają zeznania wymuszone przez MO. Wyemigrowała do Izraela. Do czasu najwięcej szczęścia sprzyjało mecenasowi Stanisławowi Dryjskiemu. Wstał i powiedział: „Mój klient nigdy nie był kierownikiem sklepu na ulicy Solnej, wymienionej w akcie oskarżenia". Już szło na uniewinnienie, już się mecenas i oskarżony cieszyli. Ale prokurator dostarczył zaświadczenie, że sklep był narożny, w dwóch instytucjach przypisany do różnych ulic. Nigdy więcej nie spotkałem się z przypadkiem, żeby do sprawy w sądzie wojewódzkim przysłano kogoś z Sądu Najwyższego. Sędzia Roman Kryże był doskonałym prawnikiem, bardzo wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Oskarżonych traktował elegancko: panie Wawrzecki, pan się źle poczuł, może zarządzić przerwę? Może podać wodę? Tacy młodzi i niezbyt doświadczeni prawnicy, jak ja wówczas, dali się nabrać na tę grzeczność.

Za przyzwoitego uchodził drugi sędzia, Faustyn Wołek. Wszyscy byli przekonani, że kto jak kto, ale on wyroku śmierci nie podpisze. Podpisał. Trzeci sędzia, Kazimierz Gerczak, był już wówczas starszym człowiekiem. Wkrótce przeszedł na emeryturę. Spotkałem go niedługo później, jak dorabiał w kiosku. Sprzedawał gazety.

Afera mięsna była okrutną sprawą. Na ławie oskarżonych zasiedli ludzie, którzy dokonali dużej liczby drobnych przestępstw. Ale skazano ich za co innego. Wawrzeckiego – za przywłaszczenie mienia społecznego. A w gruncie rzeczy cała jego działalność polegała jedynie na wymuszaniu haraczu od kierowników sklepów. Ponieważ był prostym człowiekiem, wpadał do jakiegoś sklepu, brał na bok kierownika: słuchaj, Wojtku, Zenku, idę po południu z kumplami do restauracji, potrzebuję parę złotych. Kierownik wyciągał pieniądze i dawał dyrektorowi. Co to miało wspólnego z zagarnięciem mienia społecznego? Poważny prawnik zakwalifikowałby to jako tak zwane przestępstwo czynnego łapownictwa. Tylko że za łapówki prawo nie przewidywało śmierci.

Mojego klienta w aferze mięsnej skazano na osiem lat więzienia. Nie odsiedział. Umarł w więzieniu wkrótce po wyroku.

DZIŚ WOLĄ ŁOSOSIA

Gomułka podczas urlopu poszedł do sklepu po mięso. Wraca wściekły: – Kilka dni człowiek nie urzęduje i już niczego nie ma.

Gdzie właściwie podziewało się mięso w PRL-u?

Jeden z ówczesnych działaczy PZPR opowiada:

– Mięso było czymś szczególnym w PRL, w czym uwidoczniała się najostrzej gospodarka niedoboru. Za pomocą cen zrównoważono rynek warzyw i owoców krajowych. Na Węgrzech i w Czechosłowacji podobnie postąpiono również z rynkiem mięsa. W Polsce władza nigdy w pełni się na to nie zdecydowała. Dlaczego?

Polacy chyba byli bardziej wyczuleni na stałość cen niż na równowagę rynkową. Zagrała też psychologia. Kiedy ma się nudną pracę, miło urwać się i postać w kolejce. Ludzie się umawiali: dziś ja wychodzę wcześniej do mięsnego, a jutro pani, pani Krysiu.

Profesor Wojciech Roszkowski, historyk gospodarki, mówi:

– Mięsa wciąż brakowało, bo rolnictwo w rzeczywistości nie było prywatne. Chociaż chłopi mieli własną ziemię, państwo decydowało o cenach skupu, kontyngentach. Wieś miała mięso, miasto musiało je zdobywać. O czym decydował chłop? Tylko: sprzedać czy zjeść samemu.

Mięso było w PRL-u przejawem bogactwa, dostatku. Zwłaszcza na wsi, gdzie przed wojną jadano go niewiele. Władza utożsamiała wzrost spożycia mięsa ze wzrostem dobrobytu. A jakim symbolem może być dziś mięso? Dzisiaj jak ktoś chce się pokazać, stawia na stole łososia.

Profesor Janusz Kaliński, także historyk gospodarki, przedstawia powojenną historię mięsa.

– Kolektywizacja załamała hodowlę – mówi. – Chłopi oddawali ziemię do spółdzielni – bo inaczej nie mogli – ale inwentarz wyrzynali.

Do 1949 roku w Polsce obowiązywały kartki. W tym roku władze ogłosiły akcję „H”, czyli hodowlaną. Wspierano, poprawiano, przydzielano. Ale wkrótce przyszła wojna koreańska i potrzeba było pieniędzy na zbrojenia, a nie na rozwój hodowli. Na początku lat 50. państwo wprowadziło obowiązkowe dostawy – trwały aż do epoki Gierka. Poprawiło się nieco po 1956 roku, za Gomułki, kiedy rozpadły się tysiące spółdzielni produkcyjnych, a z Zachodu sprowadzono pasze hodowlane.

– Pomysł był taki: importujemy paszę jako surowiec, a potem sprzedajemy przetworzony produkt, choćby budzącą pożądanie szynkę w puszkach – opowiada profesor Janusz Kaliński. – Szła głównie na rynek angielski i amerykański, to nasza przedwojenna tradycja. Mięso eksportowano oczywiście również do Związku Radzieckiego i zaopatrywano stacjonujące w Polsce wojska radzieckie.

Wkrótce okazało się, że Polska płaci za pasze więcej, niż zarabia na eksporcie. Ograniczono import – co tylko jeszcze bardziej zmniejszyło hodowlę. Połowa lat 60. to był już szczyt problemu mięsnego. Jednocześnie brakowało wszelkich towarów przemysłowych, które mogłyby odebrać społeczeństwu nieco apetytu na mięso. – Hasło „Rajstopy zamiast smalcu” nie mogło się przyjąć, bo brakowało rajstop – twierdzi profesor Janusz Kaliński. Aferę mięsną zapamiętał jako przykład socjalistycznej korupcji.

Mówi:

– Powszechnie stosowano talony: na samochody, telewizory. Trzeba było mieć kwit na węgiel, na cement, na cegłę. Kwit należało wychodzić u przewodniczącego rady narodowej, u sekretarza partii, w związkach zawodowych. To było silnie korupcjogenne. Dzisiaj ludzie uważają, że korupcja rozlewa się szeroką falą. Ale to inna korupcja. Teraz ktoś ma dużo pieniędzy i sprawę do załatwienia, z której będzie miał jeszcze większe pieniądze. A wtedy wszyscy maluczcy musieli dawać łapówki. Magazynierowi w geesie, ekspedientce w mięsnym, żeby przed komunią odłożyła chudszą szynkę. Kto dziś w sklepie wręczy łapówkę, żeby dostać lepszą glazurę?

WEDŁUG „TRYBUNY”

– Pół kilo cwaniaka poproszę – mówi klient. – Słucham? – pyta sprzedawca. – O salceson mi chodzi – tłumaczy klient. – Nie dał się cwaniak wywieźć za granicę.

Kolejne dni procesu komentowała „Trybuna Ludu”.

Opowiadali milicjanci konwojujący oskarżonych, że ci zwracali się do nich z wymówkami, kiedy po raz pierwszy zakładano im publicznie kajdanki: taki wstyd, panowie, jak można?

No cóż, uczucie wstydu także bywa spóźnione.

Od Wawrzeckiego prokurator chciał się dowiedzieć, skąd, jego zdaniem, kierownicy sklepów mieli pieniądze dla niego. Okazało się, że jedna z kierowniczek uprawiała… ogród, który przynosił jej dochody. Tymi dochodami dzieliła się z dobrego serca z oskarżonym. Inna otrzymała spadek…

Kolejny oskarżony, jak twierdzi, próbował uciekać od natrętów. Wiedząc, że kierownicy sklepów przynoszą pieniądze w poniedziałki, starał się w tym dniu wynaleźć sobie jakieś sprawy do załatwienia w mieście.

Nie musiało ich być wiele, skoro według własnych obliczeń samego oskarżonego uzbierało się ponad półtora miliona złotych.

Oskarżony dyrektor Gradowski szeroko rozwodził się nad swym brakiem kwalifikacji fachowych. Czyż niedokończony metalowiec, były robotnik kolejowy i były kierowca może znać się na produkcji i handlu mięsem?

Zapomniał tylko, że nie jest sądzony za niedopełnienie obowiązków służbowych.

DOŻYWOCIE WYKONANE W CAŁOŚCI

Awantura na przystanku MZK. – Pan nie wie, kim ja jestem! Jestem kierownikiem mięsnego! Kobieta obok prostuje: – Przemądrzały, ja go znam. To profesor na uniwersytecie.

Mecenas Czesław Łapiński rozważa:

– Kto miał w PRL władzę nad mięsem, zyskiwał mocną pozycję polityczną. Dyrektor w „mięsie” mógł innych przekupywać, korumpować. Dlatego zastanawia mnie, czemu tak mocno uderzono w Wawrzeckiego. Czy to była jakaś walka wewnątrzpartyjna, czy on może wyrósł zbyt wysoko? Musiał mieć przecież protektorów, którzy stchórzyli albo okazali się zbyt słabi.

Mecenas Łapiński był adwokatem Mieczysława Fabisiaka, naczelnika wydziału w Państwowej Inspekcji Handlowej.

– Moi koledzy, broniąc swoich klientów, dowodzili, że ten nie przyjął jakichś pieniędzy, tamten nie był na jakiejś naradzie. A ja uderzyłem wprost w nadużycie prawne: tryb doraźny. Oznaczał on, że sprawa toczy się tylko przed jedną instancją, bez możliwości odwołania. Przewidywał karę śmierci. Uważałem, że zastosowano go bezprawnie. Przysiadłem fałdów nad przemówieniem, odwołałem się do największych wówczas autorytetów

prawnych: teoretyków radzieckich. W przemówieniu przywołałem nawet Andrieja Wyszynskiego. To był paradoks – powoływanie się na radzieckich teoretyków, aby obalić koncepcję prawną zafałszowaną z powodów politycznych. Fabisiaka skazano na dożywocie. Wyrok, można rzec, wykonano w całości. Mój klient po dwóch latach zmarł w więzieniu.

Przewodniczący składu, sędzia Roman Kryże, uchodził za faceta z twardą ręką. Skłonnego do radykalizmu przy orzekaniu. Po latach przypadkowo usłyszałem – Kryże komuś się wygadał – że pewnego dnia włożył eleganckie rękawiczki, ciemny garnitur i poszedł na odprawę do KC, gdzie zapoznał się z poglądem partii na aferę mięsną.

Czesław Łapiński, który to wspomina, w czasie wojny służył w Armii Krajowej. Na półce ponad jego głową stoi książka o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, który dobrowolnie zgodził się pojechać do obozu w Oświęcimiu, aby tam zorganizować podziemie.

Po wojnie, w latach stalinizmu, Pileckiego skazano na karę śmierci. Wyrok wydał sędzia Roman Kryże.

Oskarżał – wówczas jako prokurator wojskowy – Czesław Łapiński.

WŁADZA NIE BYŁA KRWIOŻERCZA

Jaś narysował świnię: ryj, uszy, kopyta, ogon. Pani w szkole pyta: – A gdzie reszta?

Jaś tłumaczy: – To świnia krajowa, gdybym dorysował resztę, to byłaby eksportowa.

Jeden z ówczesnych działaczy PZPR zastanawia się:

– Wśród polityków sprawa mięsna była dość głośna nie z powodu samej afery, lecz przez drastyczny wyrok, który wydawał się nawrotem do stalinizmu.

Władza gomułkowska nie była przecież krwiożercza. Wystarczy spojrzeć w statystyki: za Gomułki wykonywano mniej więcej tyle wyroków śmierci, ile przed wojną. Prawo karne za Gomułki było rzeczywiście drakońskie, jednak wyrokami śmierci nie szafowano.

W połowie lat 60. załamały się jednak nastroje popaździernikowe. Gomułka czuł, że traci poparcie społeczne. Polityków jednak najczęściej zawodziła ocena, dlaczego tak się dzieje. Rozpaczliwie szukali wytłumaczenia. Gomułce mogło się wydawać, że powodem są afery

wynikające z nadmiernej liberalizacji gospodarki. Reprezentował ascetyczny typ polityka, z domu wyniósł skromne, ludowe wyobrażenia o tak zwanym życiu na przyzwoitym poziomie. Okazywał dezaprobatę wobec wszelkich objawów bogacenia się – ekipa Gierka była całkowicie wolna od takiego spojrzenia. Gomułka sam nie próbował na państwie robić pieniędzy i nie tolerował takich postaw w swoim otoczeniu.

PRZYJMOWANIE MIODÓW

Dlaczego w sklepach brakuje mięsa? Bo wszystkie świnie zapisały się do PZPR.

A partia, jak się okazało, nie spełniła oczekiwań Gomułki.

Komisja partyjna, która, aby walczyć z aferami, domagała się wag samopiszących i zdejmowania kwiatów z lad chłodniczych, zajęła się również partyjnymi problemami moralnymi. Okazało się bowiem, że wśród aresztowanych w „mięsie” jest aż 37 członków PZPR. A trzech spośród nich to nawet byli pracownicy aparatu partyjnego – Stanisław Wawrzecki, były instruktor KW PZPR, Zygmunt Woźniak, wcześniej kierownik wydziału handlu KW PZPR, i Włodzimierz Suprun, dawniej w warszawskim Śródmieściu II sekretarz Komitetu Dzielnicowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Problem okazał się jeszcze większy. Komisja raportowała:

Jedną z przyczyn, że afera pozostała przez tak długi okres czasu nieujawniona, był niewątpliwie fakt bliskiego powiązania odpowiedzialnych działaczy partyjnych, a głównie byłego sekretarza KW PZPR Harasimowskiego, byłego I sekretarza Komitetu Dzielnicowego Wola Maciejewskiego i byłego zastępcy przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej Antasa z jednym z głównych oskarżonych – Gradowskim. Towarzysze ci nie zwracali żadnej uwagi na styl życia Gradowskiego, sami uczestniczyli w częstych przyjęciach, bywali u siebie, wyświadczali sobie wzajemnie usługi, swoimi kontaktami umacniali w kręgach aktywu i opinii społecznej autorytet i pozycję Gradowskiego.

Udział towarzyszy różnych szczebli w przyjęciach z okazji otwarcia sklepów

świadczy o dużym nasileniu tendencji do użycia i posiadania. Zjawiska te w postawach towarzyszy były traktowane jako normalne, jako niesprzeczne

z wymogami etyki partyjnej, jako należne z tytułu spełnianych funkcji. Zakup i sprzedaż samochodu przez Harasimowskiego, dążenie do samochodu nowoczesnego poprzez kilkakrotną sprzedaż z zyskiem samochodu starego przez Maciejewskiego, przyjmowanie win i miodów, użytkowanie motocykli, magnetofonów, telewizorów itp. świadczą o tej tendencji.

Partia usunęła ze swego grona trzech wspomnianych towarzyszy, ale przy okazji uświadomiła sobie poważną demoralizację mas członkowskich.

W 1963 roku usunięto z PZPR 223 członków. 62 procent wykluczono za przestępstwa gospodarcze, 16 procent za „inne naruszenia moralne, głównie pijaństwo". Z warszawskiej Spółdzielni Pracy Moto-Serwis za nadużycia wydalono całą Podstawową Organizację Partyjną w liczbie pięciu osób. Sekretarza POP w MHD przyłapano na granicy polsko-radzieckiej na przemycie. Komisja mięsna z przerażeniem odnotowała: „Wypowiadający się na zebraniu POP członkowie uznali, że »nie należy się czepiać człowieka, który i tak stracił finansowo«".

Odnotowano też, że „rzadko zdarza się, żeby administracja lub POP dochodziła, skąd członek partii lub bezpartyjny ma pieniądze na budowę domku czy kupno samochodu".

Oprócz problemu członka PZPR dostrzeżono również problem alkoholowy. Komisja badająca aferę mięsną odnotowała, że mimo zakazu „nagminne jest urządzanie przyjęć z wódką z różnego rodzaju okazji i dla podkreślenia ważnych wydarzeń w życiu zakładu".

Większość funduszy reprezentacyjnych przeznaczano na alkohol. „Fabryce im. Świerczewskiego przyznano sztandar. Na tradycyjną lampkę wina zaproszono 300 osób, wypito około 100 litrów wódki, zakończyło się bijatyką".

WERYFIKACJA

Dlaczego nie ma mięsa? Bo w drodze do socjalizmu nawet bydło nie nadąża.

W „mięsie" zarządzono weryfikację.

Partia postanowiła: objąć weryfikacją pracowników handlu i przetwórstwa mięsnego, a następnie gastronomię, handel warzywami

i owocami, piekarnictwo i placówki skupu artykułów pochodzenia zagranicznego.

Na 65 kierowników, członków partii, zweryfikowano negatywnie prawie połowę.

Postanowiono: w celu umocnienia kontroli społecznej kontynuować powoływanie komitetów przy każdym sklepie. Do komitetów sklepowych włączyć aktyw Frontu Jedności Narodu, komitetów blokowych, rad narodowych.

WYPALIĆ DO KORZENI

Czym się różni droga do komunizmu od szlaku do Morskiego Oka? Niczym. Jedno i drugie prowadzi przez Głodówkę.

W 1965 roku rząd PRL potępiał „agresję amerykańską w Wietnamie". Biskupi polscy napisali do niemieckich: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie".

Zmarła Maria Dąbrowska. Niedługo przed śmiercią zanotowała w swoich „Dziennikach":

W pismach była wiadomość o wykonaniu wyroku na tym jakimś Wawrzeckim z afery mięsnej. Co za błąd! Czy ci „marksiści" wiedzą, że Marks był bezwarunkowo przeciwko karze śmierci? Czy kto z nich czytał kiedy nieocenzurowanego w Moskwie Marksa?

1 lutego 1965 roku sąd udał się na naradę nad wyrokiem.

Tryb doraźny wymagał, aby wyrok wydano zaraz po zamknięciu rozprawy. O godzinie 21.15 sędziowie zakomunikowali jednak, że ogłoszą go dopiero nazajutrz, po nocnej przerwie. Adwokaci, którzy uznali to za złamanie prawa, uzyskali odpowiedź wyższej instancji: „W danej sprawie Sąd nie odroczył wydania sentencji wyroku, a tylko przerwał naradę nad wyrokiem, co ze względu na spóźnioną porę i zmęczenie członków sądu leżało w interesie oskarżonych".

Sąd napisał w uzasadnieniu wyroku, że przydzielone ilości mięsa były zbyt małe, aby sklepy wykonywały plany. Sklepy mięsne handlowały więc również dżemami, konserwami, pieczywem.

Kierownikom zależało na jak największych przydziałach. Umożliwiały bowiem większe malwersacje, podmiany gatunków, oszukiwanie klientów. Za dodatkowe przydziały wręczali łapówki dyrektorom.

Wawrzecki żądał złotówki od każdego dodatkowego kilograma mięsa. Kiedy jeden z kierowników przyniósł mu 500 złotych, Wawrzecki rzucił banknot ze słowami: dziadom więcej daję.

Sąd stwierdził, że *wobec grabieżców mienia społecznego sięgającego milionów złotych nie może być w Polsce Ludowej, która z ogromnym trudem i wysiłkiem całego społeczeństwa odbudowuje zgliszcza i ruiny pozostawione przez wojnę, żadnego pobłażania i że tego rodzaju wrzód na organizmie zdrowego społeczeństwa musi być wypalony do korzeni.*

Prokurator żądał trzech kar śmierci. Sąd nakazał jedną. Czterech pozostałych dyrektorów skazał na dożywocie. Resztę – na więzienie od 9 do 12 lat.

– Pamiętam nieludzki płacz, kiedy ogłaszano wyrok – wspomina reporterka sądowa Barbara Seidler. – Skowyt!

Bożena Wawrzecka opowiada:

– Rodziny oskarżonych zawsze siedziały z przodu – tym razem posadzili nas z tyłu, pierwsze ławki poobsadzali jakimiś tajniakami, żebyśmy byli dalej.

Paweł Wawrzecki zapamiętał ból syna, który nie może pomóc ojcu stojącemu kilka metrów od niego.

ODEBRANA KWATERA

Nowa metoda uboju – pod tucznika podkłada się ładunek wybuchowy. Połowa leci na zachód, połowa na wschód, a Polaków krew zalewa.

Bożena Wawrzecka:

– Potem oszukali nas z miejscem pochowania męża. Dostaliśmy pismo z fałszywym numerem kwatery na cmentarzu. Prawdziwe miejsce znaleźliśmy dzięki znajomym.

Po wyroku Wawrzeckim skonfiskowano mieszkanie.

– Za życia męża tylko to mieszkanie kupiliśmy – wspomina wdowa. – Poza tym nie mieliśmy na co wydawać pieniędzy. Auto było służbowe, a zagranicznych wycieczek, takich jak dziś, jeszcze nikt nie urządzał.

PROŚBA O ŁASKĘ

– Czy są ryby? – pyta klient. – Nie, tu nie ma mięsa – odpowiada sprzedawca. – Ryb nie ma obok.

Jak Wawrzecki prosił o łaskę? Czy pisał o dzieciach? Czy czuł się winny? Czy obiecywał poprawę?

W biurze ułaskawień Kancelarii Prezydenta, która przejęła obowiązki po swoim odpowiedniku przy Radzie Państwa, wyjaśniają, że u nich nigdy nie pozostaje kopia podania z prośbą o łaskę. Razem z innymi opiniami wraca do akt sądowych.

Ale w sądzie, jak już wiem, takiego dokumentu nie znajdę.

Nie zachowała się również w Sądzie Najwyższym. Rzecznik prasowy informuje, że zgodnie z prawem dokumenty zniszczono kilka lat temu.

Być może jakiś ślad znalazłby się w aktach penitencjarnych znajdujących się w więzieniu na Rakowieckiej. Centralny Zarząd Zakładów Karnych nie widzi jednak możliwości, abym przejrzał te akta. Szczegóły wykonania kary śmierci pozostają tajne.

Jak Wawrzecki prosił o łaskę?

OSZUKANO SĘDZIEGO

O czym marzy polska świnia w drodze do rzeźni? Żeby choć jej serce pozostało w kraju.

Wśród prawników krąży opowieść, że kiedy opiniowano podanie o łaskę Wawrzeckiego, jeden z sędziów protestował przeciw utrzymaniu kary śmierci. Z powodów zasadniczych: nie ma kary śmierci dla złodzieja. Podobno sędziemu jednak zasugerowano, że chodzi jedynie o prewencyjny wydźwięk wyroku, a Rada Państwa na pewno skorzysta z prawa łaski. Sędzia miał ulec takiemu argumentowi. Jak się potem okazało – oszukano go.

– Może to plotka – mówi profesor Andrzej Rzepliński – ale opisuje ona sytuację ówczesnego wymiaru sprawiedliwości: władza zawsze może oszukać sędziego.

Anonimowy działacz PZPR:

– Podobno kiedy rozpatrywano prawo łaski wobec skazanego na śmierć w aferze skórzanej, Gomułka pokłócił się z Aleksandrem Zawadzkim,

przewodniczącym Rady Państwa. Gomułka na posiedzeniu Biura Politycznego naciskał na wykonanie wyroku, a Zawadzki pod wpływem listów, sprzeciwów intelektualistów, zaprotestował. Powiedział: zrób siebie przewodniczącym Rady Państwa i będziesz wieszał, kogo chcesz. Gomułka zarządził przerwę, a po niej już do sprawy nie wracał.

To wydaje się prawdopodobne. Gomułka, kiedy nie mógł czegoś przeforsować, zamykał się w sobie, krążył po pokoju i palił papierosy.

Czekał na następną okazję.

TU, GDZIE SERCE, TKWIŁ NÓŻ

Dialog w sklepie:
– Pół kilo zwyczajnej proszę.
– Nie ma.
– To pół kilo pasztetowej.
– Też nie ma. Jest tylko to, co widać.
– To pół orła poproszę.

Reporterka sądowa Barbara Seidler spotkała się znowu ze skazanym w aferze mięsnej dyrektorem Kazimierzem Witowskim – 15 lat po wyroku, kiedy został zwolniony przedterminowo z więzienia.

Nikt go nie chciał, nikt na niego nie czekał – pisała w reportażu „Nie mógł wrócić”. *– Mieszkanie było ogołocone z mebli, sprawiało wrażenie nie zamieszkanego. Ale oni mieli do Witowskiego pretensję. Że wrócił. Oni? Tak, oni – najbliżsi, którzy już dawno nie byli najbliższymi, przynajmniej nie mieli się za takich. Przed piętnastu laty i dawniej, gdy przynosił do domu pieniądze, coraz więcej pieniędzy, to był drogim mężem, kochanym tatusiem. Teraz wyszedł z więzienia stary, zniszczony człowiek. Cofnięty w siebie, nieśmiały, małomówny, lękliwie cofający się przed każdym.*

Zatrudnił się w Zakładzie Oczyszczania Miasta.

Rodzina składała donosy: że się awanturuje, bije, krzyczy. Wolała, żeby wrócił do więzienia – niepotrzebnie zajął mieszkanie. Od kilkunastu lat to był już przecież obcy człowiek.

Pewnego dnia *wrócił jak zwykle do swojego „śmietniska”, jak czasem mówił* – pisała Barbara Seidler – *poszedł do kuchni odgrzać sobie wczorajszą zupę. W przedpokoju napadli na niego: żona, córka, zięć. Bili, wymyślali. Krzyczeli: „Wynoś się!”. Sąsiedzi słyszeli odgłosy awantury,*

rozróżniali nawet słowa. Najagresywniejszy był zięć. A on miał w ręku nóż. Długi, kuchenny. Pchnął. Zięć zawył, wybiegł na klatkę schodową.

Sąsiad potem zeznał, że kiedy na odgłos krzyków wpadł do mieszkania: „Witowski, to znaczy sprawca, leżał na środku podłogi, był w koszuli i spodniach, na jednej nodze miał ranny pantofel, druga była bosa. Tu, gdzie serce, tkwił nóż”.

Zięcia pochowała rodzina.

Witowskiemu urządzono pogrzeb na koszt państwa.

III. SKAZANY

Bezwiednie rozglądam się po kawiarni, na chwilę zatrzymuję wzrok na dwóch kobietach przy sąsiednim stoliku. Wówczas starszy mężczyzna, który ze mną siedzi, pyta:

– Czy ktoś nas podsłuchuje?

Wiele razy spotykałem się z takim odruchem u starszych ludzi. Po więzieniu i kilkudziesięciu latach przeżytych w PRL-u nigdy już pewnie nie wyzbędą się podejrzliwości.

Szukałem kogoś takiego kilka tygodni. Najpierw z aktu oskarżenia wynotowałem adresy wszystkich oskarżonych. Ale to były adresy z roku 1964. Potem przeglądałem książki telefoniczne, sprawdzałem, czy jakieś dane jeszcze do siebie pasują. Kiedy dzwoniłem albo jeździłem pod wypisany adres, okazywało się, że ten, kogo szukam, już od dawna nie żyje, że kiedyś tu mieszkał, ale mu skonfiskowano domek i nie wiadomo, co dalej, że tu już przebywa trzecia rodzina, może poprzednia coś by wiedziała, ale nikt nie wie, jak ją odnaleźć.

Pod jednym blokiem powiedziałem do domofonu:

– Tu kiedyś mieszkała rodzina oskarżonego w aferze mięsnej. Nie wie pani, co się z nią stało?

Wówczas starszy głos odpowiedział:

– Pan przyjdzie po południu. Wtedy będzie mąż. Najlepiej z nim rozmawiać. To jego skazano.

JESTEM OSTATNI

Zgodził się na rozmowę pod warunkiem, że nie wymienię jego nazwiska. Jest ostatnim żyjącym spośród skazanych.

– Byłem wówczas dyrektorem – opowiada. – I jednego dnia, po aresztowaniu, z piedestału dyrektora spadłem do piwnicy komendy milicji.

Potem rozdmuchano naszą sprawę. Do sądu jeździliśmy w konwoju, pięć milicyjnych nysek z przodu, pięć z tyłu. Na każdym skrzyżowaniu stało dwóch milicjantów z karabinami. Traktowali nas jak największych bandytów, prasa sugerowała, że celowaliśmy w ustrój Polski Ludowej

W moim wyroku napisali: „Wiedząc, że ubytki są za wysokie, nic nie zrobił, żeby je zmniejszyć, przez co przyczynił się do zaboru mienia". Absurd! Ja doprowadziłem do tego, że z roku na rok normy na ubytki były coraz mniejsze. Według mnie wtedy doszło do wojny wewnątrz partii. Niektórzy usiłowali wykazać, że Gomułka prowadzi błędną politykę gospodarczą. A Gomułka postanowił twardo udowodnić, że polityka jest dobra, tylko trzeba surowo karać. Walczyć z aferzystami! Powołano przecież specjalną komisję z Alojzym Karkoszką, która nas rozpracowywała. Znaleźli mnóstwo nazwisk, ale o nich podczas procesu milczano. Jasno zakreślono krąg osób, które można publicznie wskazać, którym trzeba wytoczyć sprawę. Ja im bardzo pasowałem. Należałem do AK, miałem brata księdza.

CHCIAŁEM BUDOWAĆ SAMY

Drugi raz spotykamy się w jego mieszkaniu. Jest wciąż skrupulatny. Na półkach w równych rzędach stoją teczki: „Zdrowie, badania, skierowania", „Sprawy kasowe koła AK", „Telewizja kablowa – opłaty". Za oknem niemiłosiernie hałasują setki samochodów.

– Kiedy tu się wprowadzałem, jeszcze nie było tej ruchliwej drogi. Ale teraz to żaden problem. Nawet śpię przy otwartym oknie. Używam aparatu słuchowego, wystarczy, że go wyjmę i już mi wozy nie przeszkadzają. Mam 82 lata.

Przesłuchiwali mnie całymi nocami, już byłem wykończony. Przyznałem się do winy, bo mi na milicji obiecali lepsze warunki w areszcie. Obiecali nawet, że będę odpowiadał z wolnej stopy. Z niczego się nie wywiązali.

Jedni przyrzekli, a potem przyszła druga ekipa śledcza i powiedziała: my o żadnych obietnicach nie wiemy.

Powinienem teraz mówić, że niczego nie wziąłem. Ale wszyscy przyjmowali, takie były czasy. Za pierwszy razem wyglądało to tak – przyszedł do mnie pracownik, rozmawialiśmy, zostawił na biurku kopertę i wyszedł. Zajrzałem do środka, a tam były pieniądze. Wyskoczyłem na korytarz, ale już nie było po nim śladu. Szczerze chciałem mu oddać. Ale przyszły moje imieniny, trochę uszczknąłem. Później znowu była potrzeba i tak powoli pieniądze się rozpłynęły.

Potem znajdowałem koperty w kieszeni płaszcza, w gazecie. A ja chciałem rozwijać handel samoobsługowy w Polsce. Wysłano mnie nawet na szkolenie do Francji. Potem przygotowywałem otwarcie pierwszego w Warszawie samu.

Chociaż, szczerze mówiąc, takie sklepy w Polsce były zbędne. Kiedy sklep ma zbyt wiele towaru i personel nie nadąża z wydawaniem go klientom, wówczas sam się sprawdza. Ale kiedy mało, trzeba jakoś dozować, niech przechodzi chociaż przez ręce sprzedawcy.

NAS TRZEBA ZNISZCZYĆ

Szukałem kogoś ze skazanych nie tylko po to, żeby usłyszeć, czy brali łapówki i jak wyglądał proces. Chciałem się dowiedzieć, czy potrafią powiedzieć coś o roli Gomułki w tym procesie. Czy rzeczywiście szczególnie zależało mu na wyroku?

Ostatni skazany twierdzi:

– Gomułka powiedział, że nas trzeba zniszczyć. Publicznie domagał się wyroków śmierci.

– Skąd pan o tym wie? – pytam.

– Wszyscy wówczas wiedzieli. Gomułka to powiedział na zebraniu w fabryce na Żeraniu.

Czy to jednak możliwe, żeby I sekretarz zażądał konkretnego wyroku? Publicznie? Ale już wcześniej kilka osób powtarzało mi: „Gomułka podczas przemówienia domagał się kary śmierci”.

Przejrzałem książkowy tom wystąpień Gomułki z lat 1964 i 1965. Niczego takiego nie znalazłem.

W dniu, w którym wyrokował sąd, Gomułka przemawiał na naradzie z przewodniczącymi rad narodowych. Mówił o czynach społecznych, o nadużyciach: „Do wartości czynów dolicza się kwoty przyznane poszczególnym radom narodowym jako dotacje na rzecz czynów społecznych”.

Ówczesny działacz PZPR poradził, aby przejrzeć teczki z dawnego Komitetu Centralnego – nie wszystkie bowiem przemówienia Gomułki opublikowano. W teczkach z KC nie ma śladu pobytu Gomułki w FSO na Żeraniu od początku 1964 roku aż do wyroku. Pojawił się tam dopiero w maju 1965 roku – trzy miesiące po wyroku – na spotkaniu przedwyborczym z aktywem partyjnym.

Ślad zainteresowania Gomułki aferą mięsną znalazłem w „Trybunie Ludu”, która odnotowała jego wystąpienie na styczniowej konferencji partyjnej w roku 1965. Gomułka wówczas mówił: *Ważnym zadaniem organizacji partyjnych w zakładach jest upowszechnienie świadomości, że dobro wspólne jest nienaruszalne. Brak takiej atmosfery sprzyjał wykolejeniu się ludzi i w ten sposób doszło m.in. w Warszawie do szeregu przestępstw gospodarczych. Gdyby reakcja otoczenia była wystarczająco szybka, do przestępstw tych nie doszłoby.*

Ale „reakcja otoczenia wystarczająco szybka” to jeszcze nie żądanie kary śmierci. A może te oględne słowa w atmosferze tamtej epoki tak właśnie ostro i kategorycznie zabrzmiały?

RECEPTURA ZASTĘPCZA

Na rynku pojawiły się dwa gatunki kiełbas: „robotniczo-chłopska”, z rana czerwona, z wieczora zielona, i „chrześcijańsko-katolicka”, bo jedynie Pan Bóg wie, co w niej jest, a ludzie podejrzewają, że papier toaletowy, którego też brakuje w sklepach.

W roku 1960, kiedy sprzedawcy w sklepach dokrajali tłuszczu do schabu, żeby oszukać klientów, władza wprowadziła tak zwane receptury zastępcze na wędliny „w celu właściwego zagospodarowania i wykorzystania surowców podrobowych, niższych klas mięsa i skórek, zalegających ówcześnie w magazynach przemysłu”.

Skórki i wymiona okazały się bardzo ważne – trafiły do sprawozdania komisji partyjnej, badającej aferę mięsną, jako wzór gospodarności.

Do kiełbasy zwyczajnej zamiast tłuszczu dodawano skórki, wymiona i wargi. „Na podstawie oceny organoleptycznej nie można ustalić w wędlinach rozdrobnionych poszczególnych surowców, w tym i zastępczych” – ustaliła komisja.

Komisja stwierdziła, że surowce zastępcze w zasadzie nie umniejszają „wartości konsumpcyjno-odżywczej” wędlin, co więcej – przywołano na dowód opinię naukowców, profesorów Purackiego i Koepo – „zastępstwo mięsa wieprzowego mięsem wołowym zwiększa zawartość białka w poszczególnych wędlinach”.

Potem wymyślono jeszcze nowsze receptury zastępcze. Do serdelowej, mortadeli, parówkowej i pasztetowej zamierzano dodawać soi.

Produkcja jednak nie ruszyła. Zabrakło soi.

ROZDZIAŁ 4

PEWEX – ZAGADKA CINKCIARZA

MICHAŁ MATYS

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek PRL-u był Pewex, sieć sklepów, w których płaciło się dolarami. A jednym z najbardziej popłatnych zawodów – cinkciarz. W jaki sposób dolar stał się drugą walutą PRL-u?

W PRL-u krążył dowcip: przychodzi milicjant do sklepu Peweksu, przeskakuje przez ladę i już po drugiej stronie prosi ekspedientkę o azyl. W gospodarce socjalistycznej Pewex był enklawą kapitalizmu. W należących do niego sklepach można było kupić za dolary (oraz specjalnie emitowane bony Banku Pekao) wszystkie produkowane na Zachodzie towary, na co dzień nie do zdobycia w kraju.

Przed sklepami Peweksu kłębiły się tłumy cinkciarzy handlujących walutami, głównie dolarami. Nazywano ich tak od angielskiego *change money*, które zniekształcając, wymawiali: „cziń many”. Ich nieruchome twarze, sygnety na palcach i ochrypły szept nadawały koloryt szaremu PRL-owi i stały się przedmiotem wielu dowcipów. Całkiem serio można jednak powiedzieć, że byli działającymi w podziemiu pionierami kapitalizmu.

KARA ŚMIERCI ZA DOLARA

Po zakończeniu II wojny światowej PRL wydał wojnę dolarowi.

– W 1950 roku wprowadzono prawo, według którego za handel obcymi walutami groziła kara śmierci. A samo jej posiadanie było przestępstwem – mówi profesor Wojciech Morawski ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Tłumaczy jednak, że po wojnie większość krajów zachodnich również zakazała handlu obcymi walutami. Obawiano się załamania kursów własnych walut. Na swobodną wymienialność pozwolono dopiero w 1958 roku.

Nigdzie na zachodzie prawo nie było jednak tak restrykcyjne jak w PRL-u.

– Zmieniono je w 1956 roku. Liberalizacja polegała na tym, że wolno było posiadać obcą walutę, ale nadal nie można było nią handlować. Zaczął się wtedy PRL „z przymrużeniem oka". Przedtem to był hardcore – uważa profesor Morawski.

Do 1956 roku PRL był niemal całkowicie zamkniętym krajem. Lepiej było nie przyznawać się do rodziny na Zachodzie, bo mogło to spowodować represje.

– Widziałem statystyki wyjeżdżających za granicę. W 1951 roku wyjechało około 1200 osób, łącznie z pracownikami odbywającymi podróże służbowe! – opowiada profesor Wojciech Morawski.

Dolary przywozili do kraju niemal wyłącznie zachodni dyplomaci. Nic dziwnego, że na rynku było ich mało i stały się poszukiwane.

Po 1956 roku pojawiły się „koniki". Tak nazywano ludzi, którzy sprzedawali dolary, zaczepiając ludzi na ulicy. Potem zaczęto nazywać ich „cinkciarzami".

Dolar – podobnie jak złoto – od czasów II wojny światowej był lokatą dobrą i pewną. Stał się nieoficjalną, czarnorynkową walutą. Profesor Jerzy Kochanowski, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, napisał w tygodniku „Polityka", że wojna „zdemokratyzowała dolara" – przez prawie 50 lat handlowano nim na ulicach, w bramach, knajpach i prywatnych mieszkaniach.

BANK, KTÓRY SPRZEDAWAŁ DŻINSY

Historia Peweksu zaczyna się pod koniec lat 60. w Banku Pekao, który otworzył własne sklepy. Tłumaczono, że zajmował się „realizacją pomocy" Polaków mieszkających za granicą dla Polski. Nie mogli oni legalnie przesłać dolarów do kraju, musieli wpłacić je na konto państwowego Banku Pekao, który przekazywał adresatom równowartość tej kwoty w towarach. Jak mówili złośliwi, był to jedyny bank na świecie, w którym można było kupić dżinsy.

– To był pomysł na przejęcie przepływu dewiz od Polonii do kraju. Dodatkowo wymyślono, aby wypłacać ludziom nieprawdziwe dolary – w postaci specjalnych bonów towarowych emitowanych przez Pekao – wyjaśnia profesor Morawski.

Ekipa Edwarda Gierka, która próbowała otworzyć PRL na Zachód, postanowiła, że wydzieli z banku osobne Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego – w skrócie Pewex. Decyzja zapadła na najwyższym szczeblu 23 lutego 1973 roku. Wydało ją prezydium rządu, na czele którego stał Piotr Jaroszewicz.

Samo określenie „eksport wewnętrzny" było absurdem typowym dla PRL-u. Chodziło o to, że na półkach sklepów Peweksu znalazły się – obok luksusowych zagranicznych dóbr – deficytowe towary wytwarzane w kraju. Obywatele mogli je kupić za trzymane w szafach obce waluty.

– „Eksport wewnętrzny" tak naprawdę naruszał prawo. Bo przecież napis na polskich banknotach głosił, że złoty to prawny środek płatniczy w Polsce. Tymczasem w sklepach Peweksu go nie przyjmowano – mówi profesor Morawski.

Na zjeździe historyków w Katowicach w 1979 roku krążyła opowieść o prowokacji, jaką na Górnym Śląsku zorganizowała grupa górników. Przyszli do Peweksu w odświętnych strojach, w czapach z pióropuszami. Wybrali to, co chcieli kupić, i spytali o rachunek. Gdy sprzedawca poprosił o dolary, powiedzieli, że mają tylko złotówki, i zażądali, aby przeliczyć ceny.

– Kierownik sklepu zachował zimną krew. Zadzwonił do przełożonego, powiedział, co się dzieje. A potem podał przelicznik i sprzedał towary za złotówki. Wystraszyli się, bo górnicy byli wtedy nie do ruszenia. Zaraz

potem zamknęli ten sklep, aby nie przyszli następni – opowiada profesor Wojciech Morawski.

PRZEPRASZAM, CZY TU BIJĄ?

Z pojawieniem się Peweksu zaczęła się zawrotna kariera cinkciarzy. Znaleźli stałe miejsce pracy – stali przed sklepami należącymi do sieci i oferowali walutę wchodzącym klientom.

– Moralnie nikt ich nie potępiał. Byli potrzebni. Wszyscy robili z nimi transakcje. To państwo było głupie, że nie pozwalało tego robić legalnie. To tak jakby zakazano leczenia zębów i dentyści musieli się ukrywać. To była patologia tego państwa – uważa profesor Morawski.

Ale Polacy kupowali dolary nie tylko po to, aby zrobić zakupy w Peweksie.

– W walutach obcych załatwiano duże transakcje: kupno czy sprzedaż domu lub samochodu. Funkcję giełdy spełniała rubryka ogłoszeń w „Życiu Warszawy”. Pisało się: „Aktualnie powracającemu z zagranicy sprzedam mieszkanie”. To był szyfr, który każdy rozumiał – opowiada profesor Wojciech Morawski.

– Były też ogłoszenia: „Kupię bony” lub „Sprzedam bony”. To było dozwolone. Oczywiście gdyby ktoś zareagował, że naprawdę ma bony, zostałby wyśmiany. Wszyscy to rozumieli – wyjaśnia.

W latach 70. w stolicy cinkciarze upodobali sobie pasaż przy Domach Towarowych Centrum. Tradycyjnym miejscem ich pracy był też plac Powstańców Warszawy, gdzie znajduje się siedziba Narodowego Banku Polskiego – profesor Jerzy Kochanowski napisał, że w czasie II wojny światowej okolice te były „dewizowym centrum okupowanej Europy”.

Cinkciarze czasem oszukiwali. Można było otrzymać od nich fałszywe, podrabiane dolary albo plik pociętych gazet, a banknoty tylko na wierzchu. Sprzyjała temu atmosfera, w której odbywała się transakcja: w ukryciu, napięciu.

Milicja ścigała cinkciarzy przez cały okres PRL-u. Ale z czasem władze pogodziły się z ich istnieniem.

– To był biznes w dużym stopniu objęty kontrolą Służby Bezpieczeństwa. Zapewniała ochronę cinkciarzom, którzy z nią współpracowali. Zwykli milicjanci ich nie zaczepiali. Wyroki dostawali intruzi, którzy wcinali się w biznes. To tak jak z prostytucją: jak pojawiał się ktoś nowy, to trzeba było go wypłoszyć – uważa profesor Wojciech Morawski.

Cinkciarze stali się trwałym elementem rzeczywistości oraz jednym z symboli PRL-u. Zaczęli być bohaterami filmów. W „Przepraszam, czy tu biją?" Marka Piwowskiego z 1976 roku jest nim gangster o pseudonimie „Belus". Planuje skok na kasę w Domu Towarowym „Sezam". Uniemożliwia mu to dzielny inspektor Milicji Obywatelskiej, grany przez popularnego boksera i dwukrotnego mistrza olimpijskiego Jerzego Kuleja.

W rzeczywistości bossowie walutowi unikali rozgłosu i spektakularnych przestępstw. Profesor Jerzy Kochanowski pisze, że pędzili życie spokojnych obywateli – skazany w 1976 roku na 12 lat więzienia Tomasz Szczypułkowski pracował na co dzień jako nauczyciel w technikum, a jego żona była bileterką.

PÓŁ LITRA USTALA KURS DOLARA

Przeciętnemu Polakowi, pamiętającemu czasy PRL-u, Pewex kojarzy się z półkami, pełnymi luksusowych wówczas towarów z Zachodu. Były tam: papierosy Marlboro, Dunhill, Rothmans, brandy Napoleon, guma do żucia Donald, czekolada Toblerone, mydełka Palmolive i Fa, klocki Lego, samochodziki Matchbox dla dzieci, telewizory Sanyo, magnetowidy Gold Star, hiszpańskie i włoskie kafelki oraz oczywiście dżinsy Wrangler, Rifle i Montana.

Przez lata przedsiębiorstwo największe obroty miało jednak nie na zachodnich towarach, ale na… polskiej wódce. Przynosiła mu ponad jedną trzecią wszystkich obrotów.

Pół litra 45-procentowej Wyborowej w Peweksie wyznaczało czarnorynkową cenę dolara. Taka flaszka tradycyjnie kosztowała 1,1 dolara. Ta relacja załamała się dopiero u schyłku PRL-u, w roku 1988. Spowodowały to szalejąca inflacja oraz gwałtowny skok kursu dolara.

Wódka w Peweksie stała się wtedy dwa razy droższa niż w zwykłym sklepie i przestała być towarem numer jeden.

– Wódka to trwały miernik wartości. Gdy pieniądz traci na wartości, trwałe pozostaje pół litra. Tak samo było w czasie okupacji – tłumaczy profesor Wojciech Morawski.

W PRL nie działał wolny rynek. Ceny ustalała Państwowa Komisja Cen, a potem specjalnie powołany Urząd Cen.

– Ceny alkoholu w dolarach w Peweksie musiały być trochę niższe od tego, co ludzie uzyskiwaliby, wymieniając je u cinkciarzy na złotówki. Chodziło o to, aby bardziej opłacało się wydać dolary w Peweksie niż zamienić je na złotówki – mówi profesor Morawski.

Zastrzega jednak, że socjalistyczne finanse były sztucznie kreowane, a dane liczbowe nie oddawały rzeczywistości.

– Mieliśmy dyskusję wśród historyków. Doszliśmy do wniosku, że przez cały okres PRL-u była tylko jedna stała: średnia pensja około 20 dolarów– po kursie czarnorynkowym. Jeśli się odchylała, to niewiele. Najbardziej w 1975 roku – zbliżyła się do 30 dolarów. Ale przez blisko pół wieku wahania były niewielkie. Za tę sumę dawało się przeżyć, a jej stałość była zdumiewająca! – twierdzi.

PEWEX ZAŁATWIA KARPIA NA ŚWIĘTA

Krajowe towary sprzedawane za dolary wywoływały ogromne emocje.

„Pojawiły się w Peweksie polskie wędliny, to już zakrawa na skandal – grzmiał „Sztandar Młodych” w 1982 roku i wyjaśniał: – O ile bowiem z kartką w kolejce po mięso wszyscy czujemy się równi. O tyle przed progiem Peweksu dzielimy się na tych, którzy mają z czym wejść do środka i tych, co najwyżej obejrzą wystawę”.

Przeciwko temu zaprotestowała także Solidarność, która zażądała „wycofania z dewizowej sprzedaży artykułów pochodzenia krajowego”. Taki zapis znalazł się nawet w tekście porozumień gdańskich z sierpnia 1980 roku. Co ciekawe, radykalni działacze partii komunistycznej byli tego samego zdania. Zgłosili nawet postulat całkowitej likwidacji Peweksu „jako

tworu obcego naszemu ustrojowi, zaspokajającego potrzeby wąskiego kręgu obywateli”.

Peweksu jednak nie zlikwidowano. Z prostego powodu – była to maszynka do robienia pieniędzy. Jak wyjaśniał „Express Wieczorny”, w 1983 roku Pewex miał 250 milionów dolarów przychodów. Aż jedną trzecią przekazał do ówczesnego Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług, które – jak donosiła gazeta – za otrzymane dolary kupiło na Zachodzie brakujące w kraju: „paszę dla drobiu, komponenty do produkcji szamponów, 4,5 tysiąca ton ziarna kakaowego, dzięki czemu dzieci jadły czekoladę i cukierki”, a także „rozwiązało znany problem gumki bieliźnianej”.

Tygodnik „Polityka” dodawał do tej listy… świąteczne karpie oraz informował, że „jeden Pewex daje gospodarce znacznie większe wpływy niż cały zagraniczny ruch turystyczny z krajów kapitalistycznych”.

Liberalny publicysta „Polityki” pisał: „Jeśli ktoś kupi sobie w Peweksie Peugeota 504 za 6800 dolarów albo wręcz Forda Granada (diesel) za 9600, to można roztrząsać, czy wypada w naszym ustroju mieć tyle pieniędzy – ale nie ma co winić za to Peweksu”.

SZPIEG W MARRIOTCIE

Praca w Peweksie to była w PRL-u nagroda. Aby tam się dostać, potrzebne były koneksje. Najlepszym przykładem był Marian Zacharski, szpieg, który za zasługi dla całego bloku wschodniego został dyrektorem Peweksu.

Zacharski, pod przykrywką polskiego menadżera, wykradał w USA tajne plany najnowszego uzbrojenia: rakiet przeciwlotniczych Hawk oraz radarów używanych przez wojskowe samoloty i podwodne łodzie atomowe. Zdemaskowany, w 1981 roku trafił do amerykańskiego więzienia. W 1985 roku znalazł się w grupie kilku szpiegów bloku wschodniego uwolnionych w zamian za 25 agentów CIA schwytanych na Wschodzie.

W Peweksie dostał gabinet w warszawskim hotelu Marriott z meblami w stylu Ludwika XVI. Nadal pracował tam dla wywiadu. W napisanej po latach książce tak to opisywał: „Byłem publicznie znanym oficerem

Wywiadu. Teoretycznie to minus. Ale tylko pozorny, bowiem stałem się idealnym adresem, chodzącą skrzynką kontaktową. Obcokrajowcy, którzy rozważali możliwość stania się tzw. oferentem, mieli pewność, że zwracają się do właściwej osoby".

Za Zacharskiego Pewex zaczął masowo handlować japońskimi telewizorami oraz pierwszymi w Polsce osobistymi komputerami – amerykańskimi Atari. We wspomnieniach były szpieg chwali się, że z Peweksu uczynił jedno z najbardziej dochodowych przedsiębiorstw. Ale to gruba przesada. Wprost przeciwnie. W 1990 roku, po wprowadzeniu wolnego rynku i wymienialności złotego, państwowy Pewex nie był w stanie sprostać konkurencji, którą stały się tysiące prywatnych sklepów i kramików.

SMUTNY UPADEK MOTYLA

Okoliczności, w których upadało przedsiębiorstwo Pewex, były równie groteskowe jak rzeczywistość PRL-u. Dziennikarka Helena Kowalik w książce „Warszawa Kryminalna" opisała proces Zbigniewa H., ostatniego dyrektora i zarazem zarządcy komisarycznego, którego oskarżono o działanie na szkodę Peweksu. Rozdział temu poświęcony nosi tytuł „Motylem jestem" – od charakterystycznego logo Peweksu: motyla przypominającego literę P.

Zbigniew H. skończył technikum leśne, pracował w tartaku na Opolszczyźnie. Dyrektorem Peweksu został w 1992 roku, bo rekomendowała go Solidarność. Miał ratować państwowe przedsiębiorstwo składające się z 850 sklepów i 4,5 tysiąca pracowników. W magazynach leżały przeterminowane o rok tony krabów w puszkach. Dyrektor przecenił je i rzucił na rynek.

Potem zgłosiły się japońskie koncerny elektroniczne, którym Pewex nie zapłacił za dostawy telewizorów i magnetowidów. Zażądały ogłoszenia upadłości dłużnika. Aby spłacić długi, dyrektor sprzedał działki na warszawskim Targówku, które Pewex kupił niegdyś pod budowę magazynów. Prokurator oskarżył go, że znacznie zaniżył cenę.

– Mianowany z góry, jak wcześniej Zacharski, tak samo nie miał pojęcia, jak prowadzić firmę – uważa Helena Kowalik.

Śledztwo, a potem proces dyrektora H. zajęły 16 lat. A to dlatego, że dyrektor bardzo bał się więzienia. Nie przychodził do sądu i przysyłał zaświadczenia lekarskie, że jest chory psychicznie oraz że już w dzieciństwie „spadła mu na głowę metalowa bramka na boisku”.

– To było smutne. Pamiętam, że Pewex to był kiedyś Zachód, wielki świat, do którego się chodziło. Do dziś mam moherowy płaszcz z wełny, który tam kupiłam. Na sali sądowej zeznawali świadkowie, niegdyś wpływowi dygnitarze, którzy nim rządzili. To był pochód steranych życiem przegranych ludzi – mówi Helena Kowalik.

Sprawa zakończyła się w 2009 roku uniewinnieniem dyrektora H.

Peweksu już wtedy dawno nie było. Ministerstwo Skarbu bezskutecznie usiłowało go sprywatyzować. W końcu w 1996 roku został przejęty za długi przez wierzycieli, którzy przekształcili go w Towarzystwo Handlu i Nieruchomości Pewex. W 2003 roku marka zniknęła z polskiego rynku.

Niespodziewanie odrodziła się w Rzymie i okolicach. Powstała tam sieć sklepów z polskim jedzeniem, która posługuje się nazwą Pewex i tym samym logo co w PRL. Włosi nie rozumieją, dlaczego polscy turyści wciąż fotografują się na ich tle.

GAWRONIK ZASTĘPUJE CINKCIARZY

W 1986 roku, gdy PRL zaczynała się chwiać, Milicja Obywatelska prowadziła operację „Konik”, w ramach której doliczyła się i zidentyfikowała 3582 cinkciarzy. Dwa lata później musiała ją zakończyć, bo rząd Mieczysława Rakowskiego przeforsował ustawę, która legalizowała handel walutami. Cinkciarze z dnia na dzień stali się szanowanymi biznesmenami.

Ustawa weszła w życie 15 marca 1989 roku (dwa i pół miesiąca przed upadkiem PRL). Minutę po północy 16 marca na przejściu granicznym w Świecku został otwarty pierwszy legalny kantor wymiany walut. Podobno pierwszym klientem był oficer straży granicznej NRD – Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Kantor otworzył Aleksander Gawronik, który bardzo szybko stworzył ich sieć w całym kraju. Wyprzedził wszystkich – „Gazeta Wyborcza” napisała, że „wysiudał z rynku cinkciarzy”.

Pochodził z Poznania. W PRL dostał etat w Służbie Bezpieczeństwa, potem współpracował z wywiadem. Miał warsztat samochodowy, butik z odzieżą i kurzą fermę. Zarzucano mu nielegalny handel walutą, ale sprawę umorzono.

Nosił ksywę „Walizeczka”.

– To pseudonim medialny. A cinkciarze mnie oszukali, w Warszawie. Dali pocięty papier z kilkoma banknotami na wierzchu. O mało przez to nie upadłem finansowo. Wtedy wykiełkował mi pomysł kantorów – wspominał Gawronik w „Gazecie Wyborczej”.

W 1989 roku dostał koncesję jako jeden z pierwszych. Przyznał mu ją wicepremier Ireneusz Sekuła, później również biznesmen.

– Zatrudniłem blisko pół tysiąca osób i trzymałem za gardło cały rynek walutowy. Dałem pracę ludziom z wywiadu, którzy pracowali na niskich stanowiskach, ale byli doskonale rozeznani w moim interesie – relacjonował Gawronik.

W 1990 roku wynajął tankowiec i zaczął sprowadzać ropę naftową. Stał się przykładem błyskotliwego sukcesu możliwego dzięki kapitalizmowi. Tygodnik „Wprost” umieścił go na pierwszym miejscu rankingu najbogatszych Polaków.

Gawronik wpadł w kłopoty, gdy w 1991 roku przejął zarządzanie spółką Art-B – to skrót od „Artyści Biznesu”. Założyli ją w Cieszynie stroiciel fortepianów Bogusław Bagsik i lekarz Andrzej Gąsiorowski. Wymyślili tzw. oscylator ekonomiczny – te same pieniądze lokowali w różnych bankach i uzyskiwali wielokrotne ich oprocentowanie. Było to możliwe, bo w latach 90. polskie banki wykonywały przelewy z kilkudniowym opóźnieniem. Gdy sprawa wyszła na jaw, Bagsik i Gąsiorowski uciekli do Izraela. Gawronik został oskarżony o to, że przywłaszczył sobie należącą do nich kolekcję obrazów, które były warte miliony.

Proces przeciwko Gawronikowi zawieszono, bo w 1993 roku został wybrany na senatora. W 1995 roku startował nawet w wyborach na prezydenta Polski, ale szybko się wycofał.

Gdy zakończyła się kadencja Senatu, proces Gawronika został wznowiony. Ale zanim go skazano, pojawiły się kolejne oskarżenia.

Prokurator zarzucił mu wyłudzenia podatkowe dokonywane w porozumieniu z… „Pershingiem”, przywódcą mafii „pruszkowskiej”. Sąd uznał, że na współpracę z organizacją przestępczą nie ma dowodów. Ale skazał Gawronika na 9 lat więzienia za wyłudzenie podatków.

Stracił większą część majątku. Wyszedł na wolność w 2009 roku. Nie miał pieniędzy na zapłacenie grzywny, na którą skazano go w innym procesie. W 2011 roku sąd orzekł karę zastępczą: powrót do więzienia na kolejny rok.

ROZDZIAŁ 5

PODWÓJNE ŻYCIE WŁADY BYTOMSKIEJ

MICHAŁ MATYS

PRL potrzebował bohaterów. Takich jak Włada Bytomska, przedwojenna komunistka, która zginęła w tajemniczych okolicznościach. W PRL-u zaczęła swoje drugie życie.

Spółdzielnia gorseciarska w Głownie pod Łodzią postanowiła po 1990 roku usunąć ze swojej nazwy imię patronki – komunistki Władysławy Bytomskiej. Firmę przemianowano po prostu na Głowno. „Bytomska nie była zgodna z wymogami naszych wyrobów" – wytłumaczyła w „Gazecie Wyborczej" główna księgowa Elżbieta Bubel. W dodatku co ona ma wspólnego z szytymi w Głownie biustonoszami? Czy w ogóle nosiły je komunistki?

Oburzył się na to Ryszard K. Przysłał list do redakcji. Zarzucił jej ignorancję i chamstwo. Napisał: *Bytomska, młoda łódzka szwaczka, komunistka, została zmasakrowana, oblana benzyną i żywcem spalona przez policję w roku 1938. Fakt ten był i jest szeroko znany w Łodzi. Męczeńska śmierć Władysławy Bytomskiej jest nie mniej tragiczna i bezsensowna niż męczeńska śmierć księdza Jerzego Popiełuszki i tak samo zasługuje na potępienie, a przynajmniej na szacunek*. A jak było naprawdę?

ŚMIERĆ NA CMENTARZU

Posterunkowy Franciszek Starkowski usłyszał krzyk od strony cmentarza. Dochodziła jedenasta w nocy. Gdy wyjrzał z budki, zobaczył w ciemności jakąś postać.

Była to naga kobieta. Twarz, włosy, piersi i podbrzusze miała spalone. Skóra w niektórych miejscach była zwęglona. Kobieta dowlokła się do posterunku policji ostatkiem sił. Starkowski wziął ją do budki, nakrył swoim płaszczem i zadzwonił po pogotowie.

Była środa 2 listopada 1938 roku. Posterunek policji przy cmentarzu Doły w Łodzi. Kilka godzin później kobieta zmarła w szpitalu w dzielnicy Radogoszcz. Przed śmiercią nie powiedziała ani słowa.

Na cmentarz przybyła natychmiast ekipa śledcza. Między pagórkami, na których położony jest cmentarz, biegnie ul. Smutna. Policjanci odkryli tam nadpalony stos drewna. Obok leżały: kawałek przewodu elektrycznego, damski płaszcz, jedwabna bluzka, wełniana sukienka i czarne zniszczone pantofle.

W pobliżu znaleziono butelkę (z nalepką fabryki octu) zawierającą resztki denaturatu oraz małą walizeczkę. W takich walizeczkach robotnicy przechowywali drugie śniadania.

W czwartek 3 listopada policja zaapelowała do mieszkańców Łodzi o pomoc w ustaleniu, kim była spalona kobieta. Nazajutrz jej rysopis wydrukował łódzki „Głos Poranny”: wzrost 162 centymetry, postać wysmukła, lat 25–30, włosy ciemny blond, oczy szare, brwi łukowate, nos średni, w górnej szczęce brak jednego zęba, a w dolnej – dwóch przednich zębów.

Zanim piątkowe wydanie „Głosu” trafiło do kiosków, w nocy kobietę rozpoznał jej ojciec. Zaniepokojony, że drugą dobę nie wraca do domu, zgłosił na policji zaginięcie córki.

W sobotę 5 listopada miejska popołudniówka „Echo” doniosła, że kobieta spalona na cmentarzu to „dwukrotnie karana więzieniem komunistka” Władysława Bytomska.

ZŁE MIASTO

Rodzice Bytomskiej przyjechali do pracy do wielkiego miasta z okolicznych wiosek. Ojciec Wawrzyniec ze wsi Nowe Boczki w Sieradzkiem, matka Michalina Borowiak – z Lipin koło Głowna pod Łodzią.

Około 1900 roku zamieszkali na przedmieściach Łodzi – Bałutach (obecnie jedna z dzielnic).

„Bałuty były synonimem wszystkiego najgorszego. Ongiś sądy carskie wysyłały tam na pobyt pod nadzorem policji wypuszczonych z więzień kraju złodziei, oszustów i innych tego rodzaju fachowców” – pisze autor „Opowieści o życiu i śmierci Władysławy Bytomskiej”, w PRL-u przechowywanej pieczołowicie w archiwach Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Bytomscy mieszkali w pokoiku na parterze czynszowej kamienicy przy Dworskiej 29 – ulica, czy raczej wiejska droga, wiodła do dworu.

Mieli trzy córki. Włada urodziła się pierwsza, 16 października 1904 roku. Po niej były Celina i Marianna (nazywano ją też Maria).

„W domu u niej była taka bieda, że nawet musiała iść na wieś do chłopa, gdzie wybierała świniom kartofle z korytka” – opowiadała po wojnie o Bytomskiej jedna z koleżanek Helena Mielczarek.

Poszła do pracy w fabryce podobno jako siedemnastoletnia dziewczyna. „Trafiła do Komunistycznej Partii Polski w wyniku naturalnej, rzec można, konfrontacji osobistych doznań z otaczającym ją światem »złego miasta« – pisała o Bytomskiej w 1964 roku „Trybuna Ludu”.

NIECH ŻYJE POLSKA REPUBLIKA RAD!

Pierwszy raz aresztowano ją za komunizm w listopadzie 1928 roku. Policja zwróciła na nią uwagę w październiku w czasie strajków o podwyżki w fabrykach włókienniczych w Łodzi. Bytomskiej udało się na wiecu przekonać strajkujące kobiety, by poparły przygotowaną na piśmie prośbę o pomoc do Międzynarodówki Komunistycznej w Moskwie.

Wbrew Polskiej Partii Socjalistycznej, która postanowiła przerwać strajki, Bytomska namawiała robotnice do wyjścia na ulice. Krzyczała: „Niech żyje strajk aż do zwycięstwa!” i „Niech żyje Komunistyczna Partia Polski!”.

W czasie rewizji w mieszkaniu Bytomskich policja znalazła w piecu niedopaloną odezwę KPP, kończącą się wezwaniem do przyłączenia Polski do ZSRR: „Niech żyje ZSRR – ojczyzna międzynarodowego proletariatu! Niech żyje Polska Republika Rad!”.

Bytomska zaprzeczyła, że należała do KPP. Sąd jej nie uwierzył. Dostała cztery lata. Odsiedziała trzy.

LENIN PAPASZA, KPP MASZA

„Jeśli chodzi o pobyt w więzieniu, to Włada Bytomska całe swoje wykształcenie tam zdobyła” – powiedziała Helena Mielczarek pracownikom Komitetu Łódzkiego PZPR, którzy zbierali po wojnie relacje o życiu Bytomskiej.

Włada na wolności ukończyła siedem klas szkoły podstawowej. Opowiedziała Helenie Mielczarek, jak więźniarki uczyły się pisać patyczkami z drewna. Maczały je w zupie i pisały na taboretach. Po zapisaniu całego blatu zmywały go i pisały na nowo.

„Więzienie było dla niej uniwersytetem” – mówiła pracownikom KŁ PZPR inna jej koleżanka Guta Morawiecka-Działkowa.

Romana P. zetknęła się z Bytomską w więzieniu w Łodzi, po jej powtórnym aresztowaniu. Pamięta, że wtedy była już „oczytana, posiadała spore wykształcenie marksistowskie” (wspomina w „Głosie Robotniczym” w 1958 roku).

„Nazywałyśmy ją »naszą poetką«” – mówiła Morawiecka.

„Układała i recytowała wiersze. Lubiła śpiewać: »Lenin, Lenin nasz papasza, KPP nasza masza«” – pisze Romana P.

Helena Mielczarek cytuje pieśń, którą Bytomska miała ułożyć w więzieniu ku czci Szymona Harnama, który zginął w strzelaninie z policją podczas strajku w fabryce Biedermana w Łodzi:

Pięść się zaciska, gromadzi się gniew

Znów polała się robotnicza krew
Towarzysz Harnam na straży zmarł nam
Od faszystowskiej kuli padł
Nieustraszony żołnierz czerwony
Nam jego walka przykład da […]
Prawda ta musi w każdego się wryć
Strajk listopada siódmego ma być
Przeciw zbrojeniom, podłym dążeniom
Armatnim kulom, nie pójdziem na żer
Staniemy zbrojnie przeciwko wojnie
Nie damy tknąć ZSRR!

AWANS I MIŁOŚĆ

Po wyjściu z więzienia Włada się zakochała. Wybrankiem był Józef Sroczyński, murarz (trochę utykał, bo spadł z rusztowania) i sekretarz KPP w dzielnicy Bałuty (pseudonim partyjny: „Jan”). Ślubu nie brali, ale wszystkie koleżanki Bytomskiej nazywały Sroczyńskiego „jej mężem”.

Pożycie musiało być krótkie, bo na wolności była zaledwie kilka miesięcy – od listopada 1931 do sierpnia 1932 roku. Zaszła w ciążę, ale usunęła ją, bo właśnie stała się etatową działaczką KPP – najpierw Centralnego Wydziału Kobiecego w Warszawie, potem Komitetu Okręgowego w Łodzi.

Przesłuchiwana w KŁ PZPR Helena Mielczarek tłumaczy, że usunięcie ciąży przez Bytomską było wymyślonym pretekstem, by w mieszkaniu Mielczarków mogło odbyć się zebranie członków KPP: „Ja do partii nie należałam, bo mój mąż był ogromna »klepa«, a przy tym zawodowym pijakiem, tak, że jak kogo spotkał, to naopowiadał więcej niż w rzeczywistości było. Otóż żeby on o tych zebraniach nie wiedział, podstępem z Bytomską wysadzałyśmy go z domu. Namówiła mnie, żebym mu powiedziała, że ona jest w ciąży i musi zrobić poronienie”.

SUKNIA Z BIAŁYM ŻABOTEM

Gdy w sierpniu jechała do Ozorkowa pod Łodzią, by podsycać strajk w fabryce bawełnianej Schlosserów, została znów zatrzymana. Tym razem dostała sześć lat, z czego odsiedziała cztery.

„Krytycznego dnia mąż jej uparł się stanowczo, żeby ubrała czarną suknię z białym żabotem” – wspomina współwięźniarka Guta Morawiecka-Działkowa.

Po aresztowaniu Bytomska doszła do wniosku, że suknia miała być znakiem rozpoznawczym dla policji.

„Miała absolutne zaufanie do swego męża. Dopiero później pod wpływem opowiadań Reni Liberman [jednej ze współwięźniarek – red.], z których Włada dowiedziała się, że „Jan” jest uważany za prowokatora, rozpoczął się okres wielkiej tragedii osobistej Władysławy. Uwierzyła Partii i sama dodała do licznych zarzutów argument dla niej ostateczny” – relacjonuje inna współwięźniarka Romana P. we własnoręcznie spisanym wspomnieniu przechowywanym w KC PZPR.

W stenogramie z przesłuchania Guty Morawieckiej znajduje się dopisek: „Uwaga, którą nie należy publikować: Bytomska, gdy wróciła z więzienia, nie zastała męża w domu – wyjechał. Nie żyli już ze sobą, nie wiem nawet, czy się spotykali. O powtórnym małżeństwie myśleć nawet nie chciała. Zbyt była zajęta”.

Renia Liberman ujawniła Romanie P., że Józef Sroczyński, pseudonim „Jan”, „został niezwłocznie wysłany do ZSRR z opinią prowokatora”. Był to początek lat 30. Stalin rozpoczął właśnie „czystki” wśród działaczy KPP. Sroczyński nie wrócił.

PRZĄDKA, CO KOCHAŁA MASZYNĘ

Stanisław Augustowski, członek PPS-Lewicy (legalnej przybudówki KPP), pamięta, że gdy Bytomska wyszła z więzienia w listopadzie 1936 roku, wraz z kolegami uzbierał 30 zł.

„Nie miała co na siebie włożyć. My jej powiedzieli, żeby kupiła sobie kamaszki i co jej potrzebne” – relacjonuje.

Półtora roku później Międzynarodówka Komunistyczna na polecenie Stalina rozwiązała KPP. Jako powód podano opanowanie KPP przez prowokatorów.

W tym samym czasie Bytomska dostała pracę w tkalni wełny i jedwabiu Hirszberg i Birnbaum. Lewicowe związki miały tam słabe wpływy. Robotnice mówiły na Bytomską „bolszewiczka”.

„Pluły na nią. Niszczyły jej garderobę, przybito kalosze gwoździami do podłogi, płaszcz zrzucano, rwano nici na maszynie” – wspomina jej koleżanka Helena Mielczarek.

Mimo to, jeśli wierzyć relacji Guty Morawieckiej, Bytomska miała cieszyć się z pracy w fabryce i mówić: „Kocham swoją maszynę! A kiedy w sobotę po pracy wyczyszczę ją i błyszczy tak, że mogę przeglądać się w niej jak w lustrze, radość mnie ogarnia ogromna”.

Co innego pamięta Romana P.: „Mówiła mi o swym rozgoryczeniu z powodu złośliwości »ciemnych robotnic«”. Dodaje też, że „Włada w ostatnim czasie robiła niekiedy wrażenie egzaltowanej, podnieconej i roztargnionej”.

Mimo wszystko robotnice wybrały Bytomską na swoją przedstawicielkę, by negocjowała warunki pracy w fabryce.

„Koleżanki, mimo że je nieco odpychała swym ponurym charakterem, miały do niej wielkie zaufanie” – przyznaje sanacyjny „Kurier Łódzki”.

Na początku listopada 1938 roku Bytomska przekonała prządki, by zastrajkowały w obronie trzech robotnic, które po zwolnieniu nie dostały odszkodowania za urlop, i dwóch uczennic usuniętych bez przyczyny. Strajk miał podobno odbyć się w czwartek 3 listopada. Ale Bytomska już nie przyszła.

WERSJA PIERWSZA: SANACYJNA

„Krytycznego dnia, tj. środę 2 listopada, Bytomska wyszła z fabryki o godzinie 9-tej wieczorem. Zazwyczaj szła do domu w towarzystwie koleżanek, tym razem jednak, na co zwrócono uwagę, poszła sama do

domu. Czy wynikałoby z tego, że miała się z kimś spotkać?” – spekulował „Kurier Łódzki”.

Kilka dni później popołudniówka „Echo” i lewicujący „Głos Poranny” opublikowały wyniki sekcji zwłok. Według lekarzy „Bytomska zmarła wyłącznie wskutek opaleń ciała i oparzeń. Żadnych śladów obrażeń cielesnych, które mogłyby wskazywać na inne przyczyny śmierci lub gwałt fizyczny, nie stwierdzono”.

Wszystkie łódzkie dzienniki, od pepeesowskiego „Łodzianina” po sanacyjny „Kurier Łódzki”, poinformowały też, że rodzina Władysławy w piątek 4 listopada odnalazła pod poduszką w jej łóżku list pożegnalny.

List Władysławy wydrukowało „Echo” (akta policyjne zawierają meldunek, który potwierdza jego treść):

Ojcze! Dotrzymałam słowa i wyprowadziłam się. Nie szukajcie mnie, ani czekajcie, bo nigdy już nie wrócę. W fabryce należy się jedna tygodniówka i za dwa dni. Pójdziesz z moją książką z kasy chorych na godzinę pierwszą, powiesz, że wyjechałam i za pracę dziękuję – to ci wypłacą Ojcze. Zostawiam Wam wszystko, przyda się. Maryśkę [chodzi o Marię Makowską, siostrę Władysławy – red.] *wyrzucają, to się na moje miejsce wprowadzi i nie będziesz samotny. Żegnajcie. Włada.*

Dociekliwe „Echo” podało, że w czasie rewizji w domu Bytomskich policja odkryła, że ktoś do karafki stojącej na stole wlał ocet. A obok stosu drewna, na którym spłonęła Bytomska, znaleziono „butelkę z etykietą fabryki octu, ale zawierającą resztki spirytusu denaturowanego”.

WERSJA DRUGA: PEERELOWSKA

„Sprawa rzekomego listu Władysławy, w którym zapowiada swe samobójstwo, była intrygą defensywy [policji politycznej – red.]” – przekonuje Romana P., po wojnie pracowniczka Zakładu Historii Partii, w notatkach złożonych w KC PZPR.

Romana P. widziała się z Bytomską po raz ostatni na rok przed jej śmiercią. Twierdzi: „Władysława wiedziała, że sanacyjny terror upatrzył ją sobie za ofiarę, aby przestraszyć komunistów. Gdy odwiedziła mnie,

nieoczekiwanie mówiła o tym, że widzimy się po raz ostatni”. Bytomska miała też zwierzać się, że policja grozi jej „złym końcem”.

Przesłuchiwana przez pracowników KŁ PZPR Helena Mielczarek zapewniała, że w prosektorium widziała zmasakrowane zwłoki Bytomskiej: „Była już ubrana. Ale przy dotknięciu skonstatowałam, że prawa ręka jej w dwóch miejscach była złamana, gdyż kości chrupiały. Dwa zęby miała wybite, podobno miała i żebra złamane, ale tego już stwierdzić nie mogę. Głowa była okopcona, włosy spalone, zwęglone”.

Helena Mielczarek podpisała policyjny protokół, który stwierdza, że Bytomska popełniła samobójstwo. Tłumaczyła się partii, że policja zmusiła ją do tego, grożąc aresztowaniem.

Guta Morawiecka opowiada, że Władę „prześladował jakiś typ”, który „składał jej wizyty w domu”. Podawał się za byłego więźnia politycznego, a naprawdę był policyjnym agentem.

„Zbrodnia ta obrazuje atmosferę terroru w przededniu wyborów. Władze bezpieczeństwa w wielkim ośrodku proletariackim, w centrum Polski, pokazały, że nie cofną się przed niczym” – napisała profesor Maria Turlejska w książce „Rok przed klęską” (czwarte wydanie z 1969 roku), zalecanej wielu pokoleniom studentów historii. Ale dziś profesor Turlejska ma wątpliwości.

– Na tę historię natknęłam się, przeglądając przedwojenne gazety. To było makabryczne, niesłychane i rzadkie wydarzenie. Napisałam o nim. Ale właściwie nie wiadomo, kto zamordował Bytomską. Może to była prowokacja, a może jakieś osobiste porachunki? – zastanawia się Turlejska.

Profesor Lucjan Kieszczyński, przed wojną związany z PPS, na przełomie lat 60. i 70. spisał życiorysy łódzkich działaczy robotniczych. KŁ PZPR wydał je jako dwutomową książkę.

– Musiałem tłumaczyć się w Komitecie, dlaczego nie uwzględniłem tak sztandarowej postaci jak Bytomska. Był na to duży nacisk wpływowych działaczy – mówi Kieszczyński.

– Chodziło o to, by skompromitować policję, że związała komunistce ręce kolczastym drutem i zrobiła z niej płonącą pochodnię. Chcieli mieć jakąś bohaterkę. A innej nie było. To była pewna przesada. Policja nie miała powodu, by ją zabijać. Takich działaczy jak ona były setki – twierdzi Kieszczyński.

Zwłoki Bytomskiej w 1949 roku ekshumowano i pochowano w Alei Zasłużonych cmentarza na Dołach w Łodzi.

WERSJA TRZECIA: STALINOWSKA

Pogrzebem Władysławy miała zająć się Helena Mielczarek, jej bliska koleżanka. Komuniści zaczęli nawet zbierać na to pieniądze. Ale przekazali je „na sieroty walczących na froncie hiszpańskim", bo pogrzebem zajął się ojciec Władysławy i siostra ze szwagrem – Maria i Edward Makowscy.

Helena Mielczarek w zeznaniach złożonych pracownikom KŁ PZPR dziwi się, skąd ojciec Władysławy i Makowscy wzięli pieniądze na pogrzeb. Podejrzewa, że dostali je od kogoś – w domyśle od policji.

„Marysia, pseudonim »Wiesia«, była działaczka Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, po śmierci Władysławy zatraciła poprzednią więź ze swoimi towarzyszami i byłymi przyjaciółmi" – pisze Romana P. w notatce złożonej w KC PZPR.

„Milczenie jej rodziny, a nawet podobno oszczerstwa rzucane na Władę przez Makowskiego, przy całkowitej neutralności lub przychylności Marysi, oddzieliły ją od współtowarzyszy Władysławy, dla których pozostała Ona (Władysława) uosobieniem rewolucyjnego bohaterstwa i bezgranicznego oddania idei komunizmu" – zapewnia partię Romana P.

Edward Makowski, szwagier Bytomskiej, zapisał się w 1945 roku do Milicji Obywatelskiej. Ale wtedy komisja kontroli partyjnej zaczęła badać, czy aby nie współpracował z sanacją. Na początek Makowskiego przeniesiono z Łodzi na Ziemie Odzyskane. Został komendantem powiatowym w Kołobrzegu, potem w Złotowie. W 1949 roku dostał nawet awans na zastępcę szefa wydziału Komendy Wojewódzkiej w Szczecinie. Kilka miesięcy później usunięto go z PZPR i MO. Stał się zwykłym ślusarzem w porcie szczecińskim.

Maria Makowska, siostra Bytomskiej, po wojnie też była w MO, najpierw w szczecińskiej komendzie, potem w biurze dowodów osobistych. Od 1956 do 1958 roku musiała pójść do pracy jako „wydawacz narzędzi" w stoczni szczecińskiej. Z PZPR jej nie wyrzucono.

Profesor Kieszczyński nie wierzy, by Makowski był agentem policji sanacyjnej.

– Gdyby tak było, doszłoby do sprawy sądowej. W latach 50. lekką ręką szafowano oskarżeniami – uważa.

Pod koniec lat 50. Makowskiego zrehabilitowano. Wrócił do PZPR, ale już nie do MO.

Gdy dziesięć lat później Maria chciała pójść na rentę, miała kłopoty z udowodnieniem, że przed wojną działała jako komunistka. Napisała z prośbą o pomoc do Romany P. Ta złożyła list Marii Makowskiej w KC PZPR z adnotacją: „może będzie on kiedyś pomocny w wyświetleniu okoliczności śmierci Władysława".

Oto treść listu:

Kochana Romo! Już pięć razy do Ciebie pisałam, darłam i znowu pisałam, z kilka arkuszy zapisałam (…) Kiedyś opowiem Ci szeroko historię Władysława, dziś nie mam siły do tego, poza tym chcę Ci wyjaśnić, że jeśli ktoś robił, dokąd mu siły pozwoliły, to chyba i ja mogę się do tych zaliczyć […] Romo, mnie boli, że zupełnie o nic się nikt z tow. do mnie nie zwraca, ani nie ma jednym słówkiem nigdzie o mnie, a inni mniej daleko robili i jakoś mają inne uznanie, inne stanowiska. Ja w imię idei poświęciłam całą młodość, matkę, ojca i dzisiaj nawet nie wiem, czy dożyję tej chwili, że wypracuję dla siebie rentę, a sił mam już tak niewiele. Teraz w związku z czterdziestoleciem KZMP, czyż mogłabym i ja dołożyć kilka wspomnień z działalności KZMP. Czuję się dziś bardzo zmęczona, wróciłam z pracy, była dziesiąta. A zatem kończę i pozdrawiam Cię. Zapomniana M. Makowska.

WERSJA CZWARTA: CO PODEJRZEWAJĄ TOWARZYSZE

W dawnym archiwum KC PZPR odnalazłem stenogramy z zeznaniami towarzyszek Bytomskiej, które świadczą o tym, że zwątpiły one w lojalność Władysława wobec KPP.

Stenogram z zeznaniem Heleny Mielczarek: „Wiem, że nie przejmowała się nigdy tym, że siedzi. Twierdziła w każdym liście, że to ją hartuje do

walki. W więzieniach była bita i maltretowana”.

Dalej następuje skreślenie czerwonym flamastrem akapitu: „W Łęczycy załamała się i wydała kilku innych, którzy brali czynny udział w strajkach, gdyż już nie mogła znieść tych tortur”.

Romana P. wspomina, że gdy w 1937 roku widziała się z Władą po raz ostatni, ta „nie miała przydziału partyjnego” i „cierpiała z powodu tej niejasnej sytuacji”.

Profesor Lucjan Kieszczyński, który po wojnie opisywał działalność łódzkich komunistów, twierdzi, że część towarzyszy uznała Bytomską po jej wyjściu z więzienia w 1936 roku za „żonę prowokatora”.

Pokreślony jest też maszynopis życiorysu Władы „Pomnik Prządki”. Napisał go w 1947 roku Bogusław Kuczyński. Na stronie 6 ktoś (autor?) skreślił zdanie: „Po wyjściu z więzienia wróciła do szeregów Partii, gdyż drugi pobyt w więzieniu nie złamał jej, tak samo jak pierwszy”. Obok odręczny dopisek: „W więzieniu nie wyłamała się z szeregów Partii”.

Podejrzenia przerodziły się nawet w domysły, kto zabił Bytomską. Jak pisze ten sam autor, „w zagranicznych pismach kursowała przez jakiś czas wiadomość: *Specjalny wysłannik Kominternu w przebraniu kolejarza zabija znaną polską działaczkę komunistyczną.”*

W Łodzi – jak w całej Polsce – już w latach 20. komuniści wydawali wyroki śmierci na prowokatorów. Czy Bytomska padła ofiarą podejrzliwych towarzyszy?

WERSJA PIĄTA: BAŁUCKA

Stanisław Augustowski, były członek PPS-Lewicy, po odwilży w 1956 roku spisał piórem ze stalówką swoje domysły, kto zabił Bytomską. Kartkę wysłał do KC PZPR.

„Defa [policja polityczna – red.] tego nie mogła zrobić, bo to nie miało żadnej podstawy. Dlatego, że Partia KPP była rozwiązana w sierpniu 1938 roku, a morderstwo było dokonane w listopadzie 1938 roku. (…) Po drugie defa znała wiele groźniejszych i świadomszych towarzyszy i towarzyszek i im tego nie zrobiono. A Bytomska nie była taka wielka działaczka”.

Augustowski napisał, że byli tacy, co „twierdzili, że morderstwa Władysławy Bytomskiej dokonali z rodziny przyjaciela, robiąc pomstę za niego, który był wysłany do ZSRR i tam miał być wykończony jako prowokator" [podejrzewa zemstę rodziny Józefa Sroczyńskiego, męża Władysławy – red.]. Domysłów tych nie opublikowano.

Łódzkie Bałuty. Dawna ulica Dworska zmieniła po wojnie nazwę na Władysławy Bytomskiej. Postawiono przy niej szare bloki. Między nimi pod numerem 29 zachowała się odrapana, trzypiętrowa kamienica. Tu mieszkała Bytomska.

Pod drzwiami trzech mężczyzn o czerwonych twarzach pije wino z gwinta. Wchodzę od frontu i potykam się o butelki. Ciemny korytarz, spada tynk ze ściany. Trochę się boję. Drewnianymi schodami idę na pierwsze piętro.

– Bytomska? Takiej nie pamiętam – chwilę zastanawia się najstarsza lokatorka, która wprowadziła się w 1945 roku. Przedwojennych mieszkańców wysiedlili Niemcy, bo w czasie wojny było tu getto.

Na tabliczce napis, że domem administrują „Spadkobiercy Konstantego i Marianny Zieleniewskich". Jedna ze spadkobierczyń prowadzi punkt ksero z drugiej strony kamienicy. O Bytomskiej opowiada mi jej matka:

– Znam tę historię od dziadka. Proszę pana, jaka tam komunistka spalona za ideę! To był zwyczajny bałucki romans.

Dziadek jej opowiadał, że Bytomska była ładna. Rzuciła narzeczonego, który wyjechał do Rosji, a sama zakochała się w innym. Narzeczony wrócił i ją zamordował.

Prawnuczka Konstantego (ta, która prowadzi ksero) narzeka, że władze Łodzi zmieniły nazwę ulicy: z „Władysławy Bytomskiej" na „Wolność i Niezawisłość" [powojenna organizacja antykomunistyczna – red.].

– Nie mam nic przeciwko organizacji, ale ten skrót: WiN! Znajomi śmieją się z nas, że na tej ulicy jest pełno takich, co piją wina – mówi kobieta.

Profesor Kieszczyński pod koniec lat 60. spotkał się z żyjącym wówczas szwagrem Bytomskiej Edwardem Makowskim.

– Mówił o niej, że zadawała się z podejrzanymi typami. Wie pan, to Bałuty. Twierdził, że piła wódkę po melinach, działy się orgie. Może doszło tam do jakiejś awantury. Jak to na melinach… – relacjonuje Kieszczyński.

PIERWSZA WERSJA SIOSTRY

W 1997 roku odnalazłem Marię Makowską, siostrę Władysława.

Miała 85 lat, mieszkała w Łodzi, w bloku na osiedlu, które w latach 50. nazwano imieniem Władysława Bytomskiej. Poszedłem bez uprzedzenia. Przyciskam guzik domofonu.

– Dzień dobry. Jestem dziennikarzem. Chciałbym porozmawiać o siostrze.

– Proszę wejść. Wszystko panu opowiem. – Głos w domofonie nie jest wcale zdziwiony.

Maria Makowska zachowuje się tak, jakby od dawna na mnie czekała. Nie pyta nawet, jak ją znalazłem.

– Na pogrzebie ludzie chcieli ją zobaczyć. Powiedzieliśmy: nie! Chcieliśmy zapamiętać Władę taką, jaka była. Ale ludzie postawili na swoim. Sama kiedyś powiedziała: nie obchodzi mnie ojciec, matka, tylko klasa robotnicza. No to nie była nasza, tylko klasy robotniczej! Odkryli jej twarz. Wyglądała okropnie.

– Pani męża oskarżano, że wydał siostrę policji…

– Z męża zrobili mordercę. Na przesłuchaniu wybili mu ząb. Przeżył to ciężko, w końcu serce nie wytrzymało. Gdybym go o cokolwiek podejrzewała, rozeszłabym się z nim. On nie mógł tego zrobić, bo wtedy był ze mną w domu.

– Dlaczego go oskarżono?

– Ci powojenni, z PPR, to już nie byli komuniści. W partii rządzącej ludzie pchali się na stanowiska. Nie to, co przed wojną, wierzyliśmy, że przyszły ustrój będzie lepszy. Nawet granatowa policja nas szanowała.

– Czy list Władysława był prawdziwy?

– Przychodził do niej taki jeden Żyd, wykształcony, buchalter z farbiarni. Nazywał się Artur Halbersztadt. Może to on podrzucił list. Słyszałam, że później w Białymstoku zamordowali go towarzysze.

DRUGA WERSJA SIOSTRY

– A teraz powiem panu, jak było naprawdę – mówi mi Maria Makowska, gdy wychodzi jej córka, która przysłuchiwała się rozmowie.

– Nie chciałam mówić przy niej, bo to mogłoby być ponad jej siły.

Maria ma dwie córki, obie po pięćdziesiątce. Córki są przekonane, że ciotkę Władę spaliła sanacyjna policja. Maria nigdy nie powiedziała im, co naprawdę sądzi o śmierci Władysławy.

– Po mojemu Władysława mogła popełnić samobójstwo. Kartka z listem była prawdziwa. Pismo można podrobić, ale to na pewno był jej sposób mówienia. Towarzysze zaczęli mnie atakować już na pogrzebie, dlaczego tej kartki nie ukryłam. Mieliśmy z mężem kłopoty, bo mówiliśmy prawdę. Oni chcieli usłyszeć, że ją zamordowała policja – mówi mi Maria.

Dlaczego Władysława mogła popełnić samobójstwo?

– Ona przeżyła tragedię. Była taka jakaś łatwowierna. Rzuciła męża, gdy towarzysze powiedzieli, że to prowokator. Gdy wyszła po czterech latach z więzienia, partia jej nie przyjęła. Powiedzieli, że sama jest podejrzana, bo miała męża prowokatora. Mogła to zrobić. Tylko dlaczego się spaliła?

Maria nie wierzy w to, że Sroczyński kazał ubrać się Władzie w sukienkę z białym żabotem, by wskazać ją policji. Przecież miała wszystkiego dwie albo trzy sukienki. Nie można tak podejrzewać człowieka. Mąż Marii też bronił Sroczyńskiego. Wtedy Władysława powiedziała siostrze, że sama też powinna się rozwieść, bo partia zawsze ma rację.

– Ja nie byłam taka fanatyczka – mówi Maria.

Maria opowiada, że ojciec pokłócił się z Władysławą kilka dni przed jej śmiercią. Ojciec był wierzący (uczył się w seminarium, mało nie został księdzem). Rozpaczał, że córki to komunistki. Gdy dowiedział się, że Władysława znów wywołała strajk w fabryce, powiedział: „Teraz dostaniesz dziesięć lat, a ja zostanę sam”. Potem Maria widziała płaczącą Władysławę („mimo że miała twardy charakter”). 1 listopada, choć niewierząca, Władysława poszła modlić się na grób matki.

Maria też zwątpiła ostatnio w komunizm. Załamała się i zaczęła nawet chodzić do kościoła. Po raz ostatni była tam na własnym ślubie pół wieku temu.

– Nie żałuję, że byłam komunistką. Każdy ustrój musi przeminąć, kapitalizm też nie będzie wieczny. Ale gdybym drugi raz odrodziła się w jakim kwiatku czy bratku, nigdy nie zapisałabym się do żadnej partii.

CZY MOGŁA SAMA SIĘ ZWIĄZAĆ?

Przed pomnikiem Bytomskiej na cmentarzu na Dołach w Łodzi stoi staruszka i żali się grabarzowi. Ktoś właśnie odłupał brązową płytę z sąsiedniego grobu Szymona Harnama (tego, o którym śpiewała pieśni Bytomska). Pewnie sprzedał na złom.

Staruszka przychodzi raz w tygodniu i porządkuje groby.

– Jacy byli, tacy byli, ale po co mścić się na umarłych – skarży się.

„Potworna zbrodnia czy wyrafinowane samobójstwo?” – pytał 59 lat temu „Kurier Łódzki”. Gazeta zastanawiała się: „Znaleziony na ulicy Smutnej obok miejsca wypadku kawałek drutu (przewodnik elektryczny) wskazuje na to, że Władysława Bytomska, zanim została podpaloną, musiała mieć związane ręce. Czy mogła sobie sama je związać?”.

ROZDZIAŁ 6

JAK WYROŚLI BADYLARZE?

MICHAŁ MATYS

Za najbogatszych w PRL-u uchodzili ci, którzy uprawiali sałatę, ogórki i pomidory. Polacy patrzyli na nich z zazdrością i podziwem. Władze ich nienawidziły, ale tolerowały. Dlaczego warzywa zapewniały fortunę?

– To się chyba wzięło od badyla – podejrzewa Stanisław Tyc.

– Od łodygi bez liści, czyli pędu rośliny – przytakuje Elżbieta Orłowska i pokazuje na róże w szklarni.

Oboje to badylarze spod Kalisza.

Hasło „badylarz” w słowniku języka polskiego pojawiło się już w 1958 roku. Pierwsze znaczenie: „żartobliwie: podmiejski ogrodnik uprawiający warzywa”. Drugie: „łowieckie: łoś–byk mający rosochy podobne do jeleniego wieńca”.

W filmie dokumentalnym „Zagadki tamtych lat” językoznawca profesor Michał Głowiński wyjaśnia:

– „Badylarz” w PRL-u to jak „prywaciarz”, słowo nacechowane negatywnie. Głoszono, że jest zamożny, co w skromnie żyjącym społeczeństwie miało budzić niechęć i złość. Budzenie zawiści to stały element propagandy komunistycznej.

Być badylarzem w PRL oznaczało być bogaczem. Ale podmiejscy ogrodnicy to też najsprawniej działająca część gospodarki PRL-u. Dostarczali kwiaty, pomidory, ogórki i sałatę. Dlaczego władze PRL-u tak bardzo ich nienawidziły? Czy dlatego, że byli namiastką wrogiego kapitalizmu?

KUŁAK ANTONI ZA SIWUCHĄ GONI

– Nazywali nas kułakami – opowiada Jan Zdunek, ogrodnik z Pleszewa koło Kalisza, którego rodzina od pokoleń zajmuje się rolnictwem.

Po II wojnie światowej, aby zostać kułakiem, wystarczyło mieć więcej niż 15 hektarów ziemi, dwie krowy, świnie i konia, czyli własny zaprzęg.

Jan Zdunek jako dziecko kułackie był nieustannie karcony w szkole.

– Dla wszystkich dzieci przysyłano tran do picia. Ale nam się nie należał, bo byliśmy kułakami – opowiada.

Po reformie rolnej ogłoszonej przez komunistów w 1944 roku powierzchnia większości gospodarstw nie przekraczała 5 hektarów (a na ziemiach zachodnich – 15 hektarów). Bo zgodnie z reformą rozparcelowano wszystkie gospodarstwa powyżej 50 hektarów (na ziemiach zachodnich powyżej 100 hektarów).

Podzieloną ziemię otrzymali chłopi, którzy dotąd jej nie mieli lub uprawiali niewielkie działki. Ale w 1948 roku komuniści zaczęli ich zmuszać, aby oddali to, co niedawno dostali. Planowali kolektywizację na wzór Związku Radzieckiego – miały powstać spółdzielnie rolnicze podobne do radzieckich kołchozów, do których należałaby ziemia.

Polska Kronika Filmowa z 1953 roku relacjonowała, jak powstała spółdzielnia Jasne Łany we wsi Gromadno – tysiąc sto piąta spółdzielnia w województwie bydgoskim. Stary chłop z wąsem chodzi po drodze i potrząsa dzwonkiem. Zwołuje zebranie. Przychodzą kobiety w chustach i siadają na ławkach.

Lektor czyta:

Trzeba gospodarzyć po nowemu. To jest temat dzisiejszego zebrania. Przewodniczy najstarszy wiekiem kowal Polachowski. Cały inwentarz pozostaje dalej w osobistym władaniu, wspólna pomoc w uprawie pól, to

jest najprostsza forma spółdzielczości – zrzeszenie uprawy ziemi. Taką formę przyjęli jednogłośnie.

Ale na zbliżeniu widać tylko pojedyncze ręce podniesione w górę.

Chłopi nie mieli ochoty oddawać ziemi. Gdy zaczęli się opierać, obarczono ich obowiązkowymi kontyngentami – musieli oddawać państwu część swoich zbiorów. Rujnowało to ich gospodarstwa.

Mało brakowało, aby kolektywizacja zakończyła się katastrofą na rynku żywności. W miastach pojawiły się kłopoty z zaopatrzeniem. Propaganda obarczyła winą dwóch wrogów. Pierwszy to stonka, która zjadła nam ziemniaki – mieli ją rzekomo zrzucić z samolotów Amerykanie. Drugi to kułacy, którzy nie chcieli żywić Polaków.

Rolnicy spod Kalisza zapamiętali rozpętaną nagonkę.

– Partyjni aktywiści chodzili po gospodarstwach i sprawdzali, czy nie zostało jeszcze coś do zabrania – opowiada Jan Zdunek.

– Na stodole ojca ktoś napisał białym wapnem: „Kułak nie oddał zboża państwu”. A zboże rosło na polu, bo jeszcze nie zaczęły się żniwa – wspomina Elżbieta Orłowska.

Polska Kronika Filmowa uwieczniła, jak partyjny aktywista rozwiesza na płotach karykatury tłustych kułaków i recytuje ich nazwiska:

Grzegorczyk Antoni za siwuchą goni, od 7 lat zwleka z dostawami mleka. Nie oddał on zboża ani mięsa, ani mleka, na biedę i nędzę on ciągle narzeka. Nie miałby Grzegorczyk tej rzekomej nędzy, jeśliby na wódkę nie tracił pieniędzy.

Rolnicy przetrwali dzięki Władysławowi Gomułce, przywódcy partii komunistycznej, który w 1956 roku powrócił do władzy.

– Gomułka uważał, że polski model socjalizmu powinien różnić się od radzieckiego. Był zdania, że kolektywizacja w Polsce to zły pomysł – wyjaśnia profesor Wojciech Morawski z Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Gdy w 1956 roku Gomułka ogłosił, że spółdzielnie rolnicze powinny być tworzone wyłącznie na zasadach dobrowolnych, z blisko 10 tysięcy spółdzielni pozostało zaledwie 1600.

– W innych krajach socjalistycznych doprowadzono kolektywizację do końca. PRL był jedynym krajem, w którego rolnictwie dominowały indywidualne gospodarstwa. To była polska specyfika – dodaje profesor Morawski.

SMOG NAD JABŁONNĄ

Indywidualni rolnicy w PRL-u byli enklawą kapitalizmu. Wśród nich najbardziej kapitalistyczni okazali się badylarze, którzy pojawili się po 1956 roku.

– Ci, którzy mieli ziemię na obrzeżach dużych miast, zaczęli uprawiać warzywa i owoce, na które utrzymywały się wysokie ceny. Hodowali też kwiaty na eksport na Zachód – mówi profesor Wojciech Morawski.

Badylarze jako nieliczni w PRL sprzedawali swoje produkty na wolnym rynku.

– Poluzowanie handlu pomidorami, ogórkami czy truskawkami nie budziło takich zastrzeżeń ideologicznych jak liberalizacja cen mięsa. Nie było to wrażliwe politycznie. Bo nigdy nie było strajku z powodu cen truskawek – tłumaczy profesor Morawski.

W stolicy powstało wielkie targowisko na Okęciu. Badylarze zjeżdżali tam bladym świtem i wystawiali warzywa i owoce. Było to coś na kształt wielkiej hurtowni. Zaopatrywali się w niej właściciele warzywniaków i straganiarze, którzy handlowali na mniejszych bazarach. Targowisko na Okęciu przeżywało największy rozkwit w latach 80.

– Rynek warzywny został w dużym stopniu uwolniony. Ceny były tam mniej więcej prawdziwe. Kształtowały je podaż i popyt – twierdzi profesor Morawski.

Uprawa warzyw stanowiła jednak wyzwanie, bo nie było z czego zbudować szklarni – w PRL-u brakowało wszystkiego.

Opowiadają badylarze spod Kalisza.

Jan Zdunek:

– Były przydziały na materiały budowlane. Dostawało się je na budowę chlewni czy obory. Ale na ogrodnictwo ich brakowało. Jeździłem po innych województwach i kupowałem je na nazwiska znajomych rolników.

Stanisław Tyc:

– Każda szklarnia była budowana z czegoś innego. Szkielet można było postawić z szyn kolejowych, a ogrzewanie skonstruować z rur ze starych parowozów.

Gdy badylarz zbudował już szklarnię, miał kłopot ze zdobyciem opału do jej ogrzania. Węgiel także przydzielano. Aby go otrzymać, trzeba było

zakontraktować dostawy pomidorów lub ogórków dla państwa.

Kontraktowało się powierzchnię uprawy w szklarni. Dostawało się 130 kilogramów węgla na 1 metr kwadratowy – wspominają badylarze.

Zwykle to nie wystarczało.

– Jedną z najsłynniejszych wsi badylarskich w PRL-u była Jabłonna koło Warszawy. W latach 80. miała największe zanieczyszczenie powietrza w kraju. Było tam gorzej niż na Górnym Śląsku. Badylarze opalali w szklarniach starymi oponami. Smród panował koszmarny – wspomina profesor Wojciech Morawski.

KWIAT PRL-U

Badylarze najwięcej zarabiali na hodowli kwiatów.

– To był idealny prezent na imieniny. W sklepach było niewiele, a kwiatek to jedyna elegancka rzecz, którą udawało się kupić – mówi Elżbieta Orłowska, właścicielka szklarni pod Kaliszem.

Badylarze mieli największe obroty, gdy nadchodziły popularne imieniny Jadwigi, Stanisława, Jana, Anny czy Barbary. Najlepszy był jednak 8 marca – Dzień Kobiet, celebrowany w PRL-u niczym święto państwowe.

Państwowa telewizja nadawała tego dnia programy uzasadniające, jak ważne są dla PRL-u kobiety. Zapamiętałem relację z fabryki z napisem na ścianie: „Kobiety polskie zawsze z Partią”. Reporterka pyta mężczyznę w jesionce:

– *Czy Dzień Kobiet trzeba organizować?*

– *Oczywiście.*

– *A dlaczego?*

– *No jak to?! Aby lepiej pracowały kobity!*

W latach 70. Edward Gierek, przywódca partii komunistycznej, co roku 8 marca jechał do starannie wybranego zakładu i przemawiał do pracownic. „Serdecznie Was wszystkie pozdrawiam!” – unosił rękę przed kamerami, a potem osobiście rozdawał goździki.

– Popyt na goździki był niesamowity. Rosły przez cały rok, przełamywało się im tylko pąki, aby wysyp był na 8 marca. Uzupełniało się je tulipanami. Ale z nimi nie można było się spóźnić, bo następnego dnia

nikt już ich nie kupił – opowiada Andrzej Aumiller, były dyrektor Państwowego Gospodarstwa Ogrodniczego w Naramowicach i późniejszy poseł Unii Pracy.

Czerwone goździki stały się najpopularniejszymi kwiatami w PRL-u. Bez nich nie mogła odbyć się żadna oficjalna uroczystość. Trafiły do obiegowego powiedzenia: „Rąsia, buzia, klapa, goździk” – w PRL-u wręczano je równie często jak odznaczenia, które wpinano w klapy marynarek.

Paradoks polegał na tym, że czerwone goździki od starożytności były jednym z symboli chrześcijaństwa. Oznaczały mękę Chrystusa i miłość, w imię której dał się ukrzyżować (ich kształt miał przypominać gwoździe, którymi przybito go do krzyża, a czerwony kolor – jego krew). W XV wieku Leonardo da Vinci namalował obraz „Madonna z goździkiem”.

Dla badylarzy goździk miał same zalety. Był łatwy w hodowli i wytrzymały – mógł długo stać w wodzie, zanim zwiądł. Czasem tylko łamała się cienka łodyga. Ale wtedy można było wbić w nią drut lub szpilkę i kwiat nadal się trzymał.

PRL stał się goździkowym mocarstwem. Szacuje się, że w latach 70. wyrastało u nas co roku 7 miliardów kwiatów, z których ponad połowa to goździki! PRL eksportowała je na Zachód, a także do Związku Radzieckiego i pozostałych krajów socjalistycznych.

Dopiero w latach 80. goździki zaczęły być stopniowo wypierane z kwiaciarni przez gerbery i frezje. Zniknęły wraz z upadkiem PRL-u.

NAJWYŻSZA SZKLARNIA NA ŚWIECIE

23 czerwca 1968 roku Edward Gierek, wówczas przywódca partii na Górnym Śląsku, otworzył eksperymentalną szklarnię wieżową. Miała 54 metry wysokości i 11 metrów średnicy. Była najwyższą szklarnią na świecie. Miała dostarczać sałatę dla całego Górnego Śląska. Zbudowano ją w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

Park wymyślił w 1950 roku wojewoda śląski generał Jerzy Ziętek. Stworzył go na kopalnianych hałdach, nieczynnych wyrobiskach i wysypisku śmieci. W kolejnych latach powstawały: wesołe miasteczko,

ogród zoologiczny, tor wodny dla kajaków, kąpielisko, kolejka linowa, wąskotorówka, planetarium, hala wystaw (tzw. Kapelusz) oraz Stadion Śląski.

Park zajmował 600 hektarów. Stał się słynny we wszystkich państwach socjalistycznych. Podziwiali go radziecka kosmonautka Walentyna Tierieszkowa i przywódca kubański Fidel Castro.

Generał Ziętek rozwijał w parku również ogrodnictwo. Założył ogród różany, w którym zasadził 30 tysięcy róż, a potem zaczął organizować ogólnopolskie wystawy ogrodnicze.

W czasie wizyty w Austrii i Szwajcarii zobaczył wieże szklarniowe, w których na niewielkiej powierzchni uprawiano olbrzymie ilości warzyw. Postanowił, że zbuduje taką samą wieżę w Chorzowie.

W wieży na 285 ruchomych półkach zasadzono sałatę. Półki jeździły w górę i w dół, aby każda roślina miała tyle samo światła słonecznego. Sałata była automatycznie podlewana i nawożona. Do obsługi wystarczyły dwie osoby.

Sałata w wieży rosła jednak zaledwie przez pół roku. Do budowy ścian wieży – zamiast szkła – użyto bowiem plastikowych płyt. Po pół roku uszkodziła je siarka, którą było zanieczyszczone powietrze na Górnym Śląsku. Płyty sczerniały i sałacie zaczęło brakować światła. W wieży można było hodować jedynie… paprotki.

Kilka lat później wiatr zaczął zrywać lekkie plastikowe płyty. W 1983 roku zdecydowano, że wieżę trzeba rozebrać.

BRATNIA POMOC Z BUŁGARII

Gdy w grudniu 1970 roku Edward Gierek objął władzę, zaczął budować wielkie szklarnie w całym kraju.

– To przykład gigantomanii charakterystycznej dla Gierka. Uważał, że im większa szklarnia, tym lepsza – uważa profesor Wojciech Morawski.

– W każdym biznesie ważna jest optymalna wielkość. Badylarze doskonale to wyczuwali. Gierek tego nie rozumiał. Kolektywizacja pozostała mu w głowie, bo należał do chowu ZMP[4] – dodaje profesor Morawski.

Pierwsze szklarnie Gierek postawił, gdy rządził na Górnym Śląsku. W 1968 roku państwowa telewizja pokazywała traktory i ludzi budujących Państwowy Kombinat Ogrodniczy w Tychach.

„Postawiliśmy tyczkę, że w tym miejscu ma być kombinat. Zadaliśmy sobie trud i wyliczyliśmy: przeciętna wieku to jest 20 lat i 6 miesięcy. Z tym, że ja, stróże i kilka sprzątaczek psują nam tę przeciętną" – wypowiadał się dyrektor.

„Bardzo mi się tu podoba przy goździkach i w ogóle przyjemna praca" – wtórowała mu dziewczyna przyjęta do pracy w szklarni.

Na początku lat 70. Gierek podpisał umowę z Bułgarią, zaprzyjaźnionym krajem socjalistycznym. Bułgarzy kupili od Holendrów licencję na konstrukcję nowoczesnych szklarni i zaczęli budować je w Polsce.

W 1975 roku premier Piotr Jaroszewicz na VII Zjeździe rządzącej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej z dumą mówił, że dostawy wielkich szklarni z Bułgarii zapewniają „wzrost produkcji warzywniczej przede wszystkim dla dużych ośrodków miejskich". A „Dziennik Telewizyjny" donosił o budowie Kombinatu Państwowych Gospodarstw Ogrodniczych w Naramowicach pod Poznaniem. Informował:

Gospodarność podpowiada, że najlepiej produkować jak najbliżej miasta. Daje to oszczędność na transporcie, a przede wszystkim delikatny towar trafia do klienta w dobrym stanie. Uprawia się ogórki, pomidory, sałatę i rzodkiewki. W kooperacji z Bułgarią powstają nowe szklarnie, które rozszerzą powierzchnię upraw do 30 hektarów w ciągu najbliższych czterech lat.

– Zapadła decyzja, że należy przyspieszyć spożycie warzyw. Jest to potrzebne dla zdrowia. Z tego okresu proszę zobaczyć, jakich mamy przystojnych mężczyzn i piękne dziewczyny. Pod dostatkiem było witamin i warzyw. W krótkim czasie przy każdym wielkim mieście powstały duże obiekty szklarniowe: 6-hektarowe, 12-hektarowe, 24-hektarowe – tłumaczy Andrzej Aumiller, były dyrektor kombinatu w Naramowicach w filmie dokumentalnym z cyklu „Zagadki tamtych lat".

Gdy na rynku zaczęło brakować mięsa, żartowano, że zastąpią je warzywa. W 1980 roku Kabaret TEY Zenona Laskowika naśmiewał się w piosence: „Nam polędwica oraz schab nie smakuje tak jak szczaw".

Państwowe szklarnie wpadły w kłopoty przez politykę. Wiosną 1982 roku w całej Polsce dojrzewały pomidory, ale nikt ich nie odbierał.

Spółdzielnie ogrodnicze, które je zakontraktowały, przestały je kupować.

– Została podjęta decyzja polityczna, że skoro Bułgarzy zalegają nam za statki i samochody, to niech zapłacą pomidorami. Widziałem osobiście, jak tiry i pociągi przywoziły z Bułgarii zielonkawe pomidory zamoczone w specjalnym preparacie – opowiada Andrzej Aumiller.

Nikt nie pomyślał o tym, co zrobić z pomidorami hodowanymi w państwowych szklarniach. Tysiące ton zgniło.

Jakiś czas potem „Dziennik Telewizyjny” wytropił, że Państwowe Gospodarstwo Rolne w Piekoszowie koło Kielc wyrzuca ogórki na hałdy obok szklarni.

„Chcieliśmy sprzedać ogórki w Kielcach, również do spółdzielni ogrodniczej w Warszawie, Łodzi i na Śląsku. Myśmy cenę obniżyli maksymalnie: od 10 do 30 złotych za 1 kilogram” – żalił się dyrektor Zbigniew Stanek.

Ogórki na rynku kosztowały 100 złotych, ale spółdzielnie ich nie chciały.

„Coś tu nie gra” – dziwił się reporter „Dziennika Telewizyjnego”.

Tajemnicy ogórków nie udało się mu jednak wyjaśnić.

DO WIĘZIENIA ZA ZIMOWE SZPARAGI

Prywatni ogrodnicy – badylarze byli poza kontrolą władz PRL.

– Mieli ciężkie życie, czasem próbowano dokręcać im śrubę. Mieli jednak własną ziemię i nie musieli wchodzić w ten biznes za czyjąś zgodą – uważa profesor Wojciech Morawski.

– Oczywiście jeśli ktoś zadarł z państwem, to możliwości zniszczenia go były duże. Ale badylarze na ogół z nim nie zadzierali – dodaje.

„Gazeta Wyborcza” opisała historię badylarza represjonowanego w PRL-u i osadzonego w więzieniu. W 2006 roku rozpoczął walkę o przywrócenie dobrego imienia.

Edwin Taglewski uprawiał warzywa pod Toruniem. W 1967 roku zakontraktował 150 ton szparagów zimowych – miała je odebrać Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska w Bydgoszczy i wyeksportować na Zachód. Ale ówczesny przywódca PRL-u Władysław Gomułka wywołał antysemicką nagonkę – w 1968 roku tysiące osób pochodzenia

żydowskiego musiało wyjechać. Zepsuło to reputację kraju na świecie. Wiele zachodnich firm zerwało kontrakty handlowe z PRL-em. Wśród nich byli odbiorcy żywności. Dlatego spółdzielnia z Bydgoszczy nie odebrała zamówionych u Taglewskiego szparagów i nie podając przyczyn, odmówiła mu zapłaty.

– Zostałem z warzywem, które zgniło w kopcach, i półmilionowym długiem wobec Banku Ludowego w Toruniu. W takiej sytuacji jesienią 1968 roku wystąpiłem do sądu z powództwem przeciw spółdzielni. Sędzia ostrzegła mnie, żebym cofnął pozew, bo mogę gorzko pożałować – wspominał Edwin Taglewski w 2008 roku w „Gazecie Wyborczej".

Przeciwko badylarzowi zaczęły się represje. Kontynuowano je po zmianie władz PRL-u, gdy w 1970 roku Gomułkę zastąpił Gierek. Prokurator oskarżył Taglewskiego, że wyłudził z banku kredyt (mimo że sam bank nie zgłosił pretensji, bo odzyskał pieniądze po zajęciu majątku Taglewskiego).

Gdy zaczął się proces, partyjne gazety – stołeczna „Trybuna Ludu" i lokalna „Gazeta Pomorska" – pisały, że badylarz „podkupuje" pracowników państwowym gospodarstwom ogrodniczym, „jeździ taksówkami", a „nasiona kupuje za dewizy". Taglewski został skazany na 9 lat więzienia. Wyrok podtrzymał Sąd Najwyższy – składowi sędziowskiemu przewodniczył Roman Kryże. Ten sam, który w 1965 roku wydał wyrok śmierci w głośnej w PRL-u aferze mięsnej.

Taglewski wyszedł na wolność w 1980 roku. Pozwolono mu wyjechać do Niemiec. W 2006 roku jako 83-latek zwrócił się do Ministerstwa Sprawiedliwości o to, aby wystąpiło do Sądu Najwyższego o kasację wyroku sprzed lat.

PAZERNI, BEZWZGLĘDNI

„Dziennik Telewizyjny" wyemitował 1 czerwca 1984 roku felieton o tym, kto w PRL zarabia najwięcej. Na ekranie piętrowe wille i mercedesy – symbole bogactwa. Autor felietonu Roman Janczewski informuje:

Wśród najzamożniejszych Polaków są na przykład wybitni kompozytorzy, dyrygenci, artyści, architekci. Słowem ludzie, których talent, umiejętności,

budzą powszechny szacunek w kraju i za granicą. To, że są milionerami, nikogo nie dziwi, a duże pieniądze po prostu im się należą.

Kolejna sekwencja: szklarnie i targ z ogórkami. Autor kontynuuje:

Często zazdrośnie patrzymy na majątek ludzi umownie nazywanych badylarzami. Jednak w większości doszli oni do swoich fortun własną, niejednokrotnie ciężką pracą w zgodzie z urzędem finansowym.

Zbliżenie na plik banknotów o nominałach 5 tysięcy złotych:

Z danych statystycznych nie wynika, ilu jeszcze mamy bezkarnie działających kombinatorów, którzy zarabiają miliony kosztem nas wszystkich. Ludzie ci mają pewne wspólne cechy: są pazerni, bezwzględni w interesach, czują pogardę dla innych, którzy mają mniej od nich.

Na ekranie pojawiają się studolarówki, a autor przestrzega:

Tylko w ciągu czterech miesięcy tego roku ujawniono 292 przestępców gospodarczych. Osoby te posiadały majątek szacowany na około 2 miliardy złotych. A rok się jeszcze nie skończył!

GRABILI PIENIĄDZE GRABIAMI

Badylarze nie mogli być zbyt bogaci.

– W PRL-u dla bogaczy był szklany sufit. Ktoś, kto zgromadził majątek około 50 tysięcy dolarów, miał kłopot. Większa skala interesów zaczynała przyciągać uwagę władz. Zwiać z tym na Zachód to też żaden interes. Bo tam to zbyt mała suma. Z tego nie mógł wyrosnąć prawdziwy Rockefeller – tłumaczy profesor Wojciech Morawski.

Elżbieta Orłowska, właścicielka szklarni koło Kalisza, pamięta, że o badylarzach opowiadano niestworzone historie.

– Krążyła legenda, że mój ojciec miał samolot, którym dostarczał kwiaty do Szwecji – mówi Orłowska.

Tłumaczy, że w PRL-u brakowało wszystkiego i każdy wyprodukowany towar można było łatwo sprzedać – aby utrzymać się, wystarczyło prowadzić szklarnie na przyzwoitym poziomie; dorabiali się ci, którzy wkładali w to więcej pracy.

W szklarni ojca pracowała cała rodzina. Róże trzeba było przycinać codziennie.

– W każdą niedzielę o siódmej rano szliśmy ciąć i sortować kwiaty. Potem do kościoła. Po powrocie jedliśmy obiad i znów szliśmy do szklarni pakować róże na wysyłkę – wspomina Elżbieta Orłowska.

– W ogrodnictwie nauczyliśmy się, że aby dobrze egzystować, trzeba liczyć tylko na siebie – dodaje.

– Jak ktoś miał uprawę pod szkłem, to już był wielki badylarz. Uważano, że jest bogaty. Wszyscy na niego najeżdżali. Na partyjnych zebraniach mówiono, że ludzie w fabrykach pracują po osiem godzin i tyle nie zarabiają – wspomina Jan Zdunek, ogrodnik z Pleszewa.

Jako młody chłopak dostał hektar od ojca. Na pustym polu postawił szklarnie. Zamieszkał w kotłowni. Dom budował przez osiem lat.

Dorobił się na pomidorach.

– Nie sprowadzano ich z Zachodu, bo dolar był drogi – tłumaczy Zdunek.

Andrzej Aumiller, były dyrektor państwowego kombinatu ogrodniczego w Naramowicach, twierdzi, że w latach 60. i 70. prywatni ogrodnicy robili ogromne majątki.

– W szklarniach pieniądze grabiło się grabiami. Dobry ogrodnik stosujący najnowsze technologie jeździł mercedesem! – mówi Aumiller w filmie „Zagadki tamtych lat”.

– Najpierw kupiłem sobie używanego żuka. Na przetargu od państwowego zakładu pracy. Prywatnie nie szło kupić. W 1981 roku dokupiłem stara, bo potrzebowałem ciężarówki do wożenia opału. Jak trochę się dorobiłem, to sprawiłem sobie nowego Fiata 125p. Dopiero później – mercedesa. Pokochałem go i jeżdżę nim na stare lata – opowiada Jan Zdunek.

– Mieli mercedesy, bo to był dobry biznes – przyznaje profesor Wojciech Morawski.

Propaganda socjalistyczna nie mogła tego ścierpieć.

– Badylarze nie pasowali do socjalistycznego wzorca człowieka – uważa profesor Morawski.

RUDI SCHUBERTH W KUFAJCE

Jest czerwiec 1980. Za dwa miesiące wybuchnie strajk w Stoczni Gdańskiej i powstanie Solidarność.

Trwa XVIII Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. Popularny w PRL-u Kabaret TEY, założony przez Zenona Laskowika, naśmiewa się z badylarzy. Na scenie Rudi Schuberth w kufajce, gumiakach i berecie. Trzyma ręce w kieszeniach i śpiewa:

Po co dzisiaj mam się uczyć,
po co się po szkołach włóczyć,
po co tracić cenny czas, wiedza pójdzie w las i tak.
Po co słuchać profesora o powstaniach i zaborach,
w mojej głowie świta dziś złota, chociaż płytka myśl:
ja sobie wybuduję szklarnię, szklarnię albo dwie,
może ktoś lubi żyć ofiarnie, ja niestety nie! (na widowni śmiech i brawa)
Szklarnie postawię, cóż w tym złego, szklanych domów sześć,
według licencji Żeromskiego, a bezdomnym cześć!

Historyk gospodarki profesor Wojciech Morawski twierdzi, że w PRL-u inteligencja nie znosiła badylarzy.

– Byli od niej bogatsi. Inteligencja postrzegała to jako patologię i niesprawiedliwość. Natrząsała się z ich prostactwa. Badylarze w PRL-u to specyficzna grupa społeczna: prawdziwi chłopi, którym pod wpływem bogactwa czasem odbijało. Byli jak dzisiejsi nowobogaccy: irytowali z powodów obyczajowych – uważa profesor Morawski.

Inteligenci i badylarze nie potrafili się porozumieć. Profesor Morawski pamięta również, że zdarzały się sympatyczne gesty badylarzy. Po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku zaangażował się w komitet pomocy dla represjonowanych dziennikarzy, założony przy warszawskim kościele Świętej Anny. Pamięta badylarzy, którzy w geście solidarności ze zwalnianymi dziennikarzami zaoferowali im pomoc.

KAPITALISTA, KTÓRY ZACZYNAŁ W SZKLARNI

Romuald Stachowiak to numer 67 na liście najbogatszych Polaków miesięcznika „Forbes” opublikowanej w 2014 roku – według niej ma 395 milionów złotych. Karierę w biznesie zaczynał jako badylarz.

W filmie dokumentalnym „Zagadki tamtych lat” Stachowiak opowiada, jak w PRL postrzegano badylarzy:

– To był taki prosty człowiek w gumiakach, który niewiele wie i niewiele umie. Przydarzyło mu się szczęście, bo ma szklarnię, i pewnie jeszcze oszukuje. Ale ta praca wymaga ogromnej wiedzy. Nie da się coś tam posiać, coś tam zebrać, troszeczkę polać wodą i samo wyrośnie.

W wydawanym w Szczecinie piśmie „Prestiż” Stachowiak opowiada, jak został badylarzem:

– Moim marzeniem było podjęcie pracy w handlu zagranicznym, dyplomacji. Poznałem na studiach cztery języki – angielski, rosyjski, hiszpański i niemiecki. Jednak studia kończyłem w 1982 roku, w stanie wojennym, w totalnym kryzysie. Zacząłem więc od rejsu na trawlerze oceanicznym świnoujskiej „Odry”. Spędziłem pół roku na Alasce. To był ciężki kawałek chleba, ale dobrze płatny. Po powrocie myślałem o pracy w jakiejś państwowej firmie, ale znajomy namawiał: „Roman, szklarnie to fajny biznes”.

Gospodarstwo ogrodnicze kupił za oszczędności, z pomocą rodziny. Pamięta, jak zimą szuflował węgiel do pieca oraz czuwał nocą, aby w szklarni było ciepło. Fortuny nie zbił. Sprzedał szklarnie w 1986 roku, gdy zwróciło mu się to, co w nie zainwestował.

Zmienił branżę – zaczął produkować meble. Na początku lat 90. założył ze wspólnikami sieć sklepów Komfort, sprzedających dywany, wykładziny i drewniane podłogi. Dziś ma firmę, która buduje biurowce i apartamentowce.

Stachowiak miał nosa, bo gdy w 1989 roku upadł komunizm, a wraz z nim PRL, ogrodnictwo przestało być opłacalne. Wolny rynek, otwarcie granic i uwolnienie kursu złotego spowodowały, że do Polski napłynęły tanie pomidory, ogórki i sałata uprawiane w zachodnich i południowych krajach.

W Jabłonnie pod Warszawą, za PRL-u wsi badylarzy, szklarnie bardzo szybko opustoszały. Jedne popadły w ruinę, inne przerobiono na… garaże.

Obszary wokół stolicy stały się atrakcyjnymi terenami budowlanymi. W Wilanowie na terenie dawnej wsi Zawady pozostały już tylko pojedyncze szklarnie. Badylarze posprzedawali ziemię pod osiedla domów jednorodzinnych i niewielkich apartamentowców. Wprowadzili się do nich współcześni nowobogaccy, których obyczaje są podobne do peerelowskich badylarzy.

WIELKI POWRÓT OGRODNIKA?

W lutym 2013 roku dziennik ekonomiczny „Puls Biznesu” poinformował, że Gospodarstwo Ogrodnicze T. Mularski zainwestuje 250 milionów złotych w budowę gigantycznego kompleksu szklarni w miejscowości Świerkle w pobliżu Elektrowni Opole. Do ogrzewania zamierza wykorzystać ciepło, które powstaje przy wytwarzaniu prądu. Pod szkłem znajdzie się 80 hektarów, na których będą uprawiane pomidory.

Tadeusz Mularski to ogrodnik spod Otwocka koło Warszawy. W 1976 roku zaczął z żoną Marią hodować kwiaty. Gdy upadł PRL, zaryzykowali – rozwijali uprawę pomidorów, gdy inni z nich rezygnowali. Dziś wspólnie z piątką dzieci prowadzą szklarnie w trzech województwach: mazowieckim, śląskim i lubuskim. Stali się największymi producentami pomidorów szklarniowych w kraju.

Stosują niemal kosmiczne technologie. W szklarniach zamontowali system komputerowy, który steruje temperaturą i wilgotnością powietrza oraz zajmuje się podlewaniem pomidorów. Kamery nad wierzchołkami roślin śledzą, w jakim tempie rosną – aktualizowane co kilka minut zdjęcia można oglądać na stronach internetowych gospodarstwa.

Mularscy mają rywala. Jest nim Andrzej Toronowski, biznesmen ze Zgorzelca, który od lat pojawia się na listach najbogatszych Polaków. Dotąd uchodził za polskiego „króla bananów”. Importuje je z własnych plantacji w Ameryce Południowej i ma największą ich dojrzewalnię w Polsce.

Toronowski postanowił zostać ogrodnikiem i zainwestować w pomidory. Należąca do niego firma Citronex zamierza zbudować szklarnie o powierzchni blisko 100 hektarów w pobliżu Elektrowni Turów.

Możliwe, że do uprawy znajdą się kolejni chętni. Prawie połowa pomidorów sprzedawanych w Polsce pochodzi z importu. Być może znów nadchodzi czas badylarzy.

ROZDZIAŁ 7

NAPAD STULECIA

PIOTR LIPIŃSKI

Jedna z największych PRL-owskich zagadek kryminalnych to napad na oddział banku w Domu pod Orłami w centrum Warszawy. Zastrzelono dwóch strażników. Sprawców nigdy nie wykryto.

– I nagle rozległ się strzał! – zapamiętał Wacław Nowowiejski, wówczas dziennikarz „Kuriera Polskiego", którego redakcja mieściła się w sąsiednim budynku. – Ludzie w redakcji zaczęli krzyczeć, a ja pobiegłem do działu miejskiego, którego okna wychodziły wprost na bank Pod Orłami.

Jego koleżanka redakcyjna, Maria Dobrzyńska wspomina:

– Nagle ktoś krzyknął, że coś się dzieje pod bankiem, jakaś strzelanina. Wszyscy rzucili się do okien i pierwsze wrażenie: coś leży, coś leży…

Był grudniowy wieczór 1964 roku. W socjalistycznej Polsce właśnie działo się coś nieprawdopodobnego: napad z bronią w ręku na bank. W centrum Warszawy!

Andrzej Gass, dziennikarz śledczy w latach PRL-u, opowiada:

– Zrobiło się ogromne zamieszanie, bo w tym czasie nie zdarzały się takie napady w centrum miasta.

Pieniądze zrabowano przy wejściu do III Oddziału Narodowego Banku Polskiego mieszczącego się przy ulicy Jasnej 1, w budynku zwanym Domem pod Orłami, od wizerunków dwóch majestatycznych ptaków na

dachu. Wieziona do banku gotówka była utargiem Centralnego Domu Handlowego.

ŚWIĄTYNIA HANDLOWA

Centralny Dom Towarowy był wówczas świątynią handlową.

CDT był czymś takim, jak w dzisiejszej Warszawie Złote Tarasy albo Galeria Mokotów. Ale jedynym w swoim rodzaju.

W Paryżu mają Galerie Lafayette i Au Printemps, w Londynie – Woolwortha, Marksa i Spencera czy Selfridge, w Moskwie Uniwermag – opisywało w grudniu 1964 roku „Życie Warszawy". – *W Warszawie mamy trzy litery C.D.T. – czyli Centralny Dom Towarowy i jego pobratymców, powszechne domy towarowe, zwane popularnie „pedetami"*.

Porównanie do zachodnich sklepów było zasadne pod względem rangi CDT-u, ale już z pewnością nie z powodu dostępnego towaru. Skromna gomułkowska Warszawa nie mogła się równać z paryskim przepychem.

Ale budynek olśniewał architekturą, robiąc wrażenie nawet na specjalistach z zagranicy. Zaprojektowano go w stylu powojennego modernizmu. Kiedy oddawano go do użytku na początku lat 50., był w Warszawie pierwszym gmachem niemal całkowicie przeszklonym, włącznie z zaokrąglonymi rogami. Na dokładkę mógł się pochwalić kolejną wyjątkową cechą – podziemnym parkingiem. Choć powstał on raczej z myślą o dostawcach niż o klientach, bo ci tylko z rzadka posiadali samochody.

Do pracującego dwanaście godzin na dobę CDT-u w grudniu 1964 roku codziennie przychodziło niewiarygodnie dużo ludzi – aż 100 tysięcy klientów! Jedni kupowali, drudzy tylko się rozglądali. W ostatnim kwartale roku CDT upodobali sobie wagarowicze.

Przed świętami największym powodzeniem cieszyły się telewizory, radioodbiorniki, lampki choinkowe, czarne garnitury, obuwie wizytowe i domowe, płyty, sukienki balowe i kosmetyki.

Sklep zatrudniał ponad pół tysiąca sprzedawców i kilkuset asystentów. Obsługiwali 130 stoisk. Dzienny obrót w grudniu wahał się pomiędzy 2 a 5

milionów złotych. Podobno rocznie CDT sprzedawał tyle co cztery sklepy Marks and Spencer.

Codziennie zgłaszano kradzieże kieszonkowców, dlatego w CDT znajdował się również posterunek milicji. Większe przestępstwo powiodło się tylko raz. Złodziej ukrył się na noc, a potem umknął z łupem, spuszczając się na linie zabranej z działu gospodarstwa domowego. Co jakiś czas jednak strażnicy znajdowali kogoś, kto próbował podobnej metody – a to na noc ukrywał się pod materacami, a to udawał, że zatrzasnął się w toalecie.

Nikt jednak wcześniej nie próbował zrabować całego milionowego utargu CDT-u.

ZŁOTA NIEDZIELA

W poniedziałek 21 grudnia – dzień przed napadem – bandyci mogli przeczytać w prasie, ile pieniędzy klienci CDT-u wydali w „złotą niedzielę". Tak nazywano tę ostatnią przez bożonarodzeniowymi świętami.

Odnotowano, że dzień był ciężki i dla sprzedawców, ze względu na tłumy, i dla samych klientów, z powodu tłoku w długich kolejkach. Prasa chwaliła („Express Wieczorny" i „Życie Warszawy"), że Centralny Dom Towarowy w ciągu dnia sprzedał towaru za oszałamiające 4 miliony 800 tysięcy złotych. A średnie ówczesne zarobki wynosiły mniej niż 2 tysiące złotych.

Czy gangsterzy czytali prasę?

CIEMNE MIASTO

Milicyjny dokument opisywał:

W dniu 22 grudnia 1964 roku o godz. 18.32 oficer dyżurny Komendy MO m.st. Warszawy major Tobolski przyjął telefoniczny meldunek od redaktora gazety „Kurier Polski" ob. Olszewskiego o tym, że przed bankiem na ul. Jasnej słychać było strzały, w wyniku czego są ranni lub zabici

i prawdopodobnie dokonano napadu na bank lub samochód z konwojem pieniężnym.

Następnego dnia „Express Wieczorny” opisywał zdarzenie, które wstrząsnęło całą Polską:

Kiedy kasjerka w asyście dwóch konwojentów wysiadła z samochodu, zmierzając w stronę wejścia, zbliżyło się do nich dwóch mężczyzn, którzy bez ostrzeżenia zaczęli strzelać z pistoletów. Jeden z konwojentów padł śmiertelnie ugodzony kulami. Był nim 28-letni Zdzisław Skoczek. Widząc to, drugi konwojent, także już trafiony kulą, usiłował, trzymając worek z pieniędzmi, wbiec do gmachu banku. Niestety – tuż przed samym wejściem jeden z bandytów wyrwał mu worek z zawartością ponad 1,3 miliona złotych. Bandyci, ostrzeliwując się, zbiegli. Kierowca Warszawy, mimo ostrzeliwania jego wozu przez bandytów, cały czas naciskał klakson, alarmując o napadzie.

I nagle zapadła cisza.

– Warszawa była ciemnym miastem – wspomina Andrzej Gass. – Dla oszczędności paliła się co druga latarnia.

– Pierwsze minuty po napadzie to była cisza – opowiada Wacław Nowowiejski, dziennikarz „Kuriera Polskiego”. – Pustka. Ale jak przyjechała milicja, to tłum, który ukrywał się w zaułkach, zaczął niemal biec, żeby cokolwiek zobaczyć. Milicja zgłupiała, nie wiedziała, jak się zachować.

Pierwsze radiowozy pojawiły się pod bankiem już po sześciu minutach.

Zarządzono blokady dróg wyjazdowych z miasta. Ale ze sporym opóźnieniem.

– W „Kurierze” rozpoczęła się sodoma i gomora – ciągnie Wacław Nowowiejski. – Milicja zabrała nam pomieszczenie, powołali specjalny sztab. W środku było pełno telefonów. Rozpoczęli dokładne śledztwo. Przesłuchiwano każdego, kto był w budynku, obojętnie czy przy oknie, czy widział cokolwiek, czy nie widział.

OSIEM KILOGRAMÓW PIENIĘDZY

Śledztwo potwierdziło wiele faktów opisywanych przez gazety następnego dnia, ale wykryło też oczywiście więcej szczegółów. Milicja ustaliła, że 22 grudnia 1964 roku wieczorem, około godziny 18.30 pod III Oddział Narodowego Banku Polskiego podjechał samochód marki Warszawa z utargiem z Centralnego Domu Towarowego. Przywiózł dokładnie 1 milion 336 tysięcy złotych.

Z auta wysiedli dwaj konwojenci: Zdzisław Skoczek i Stanisław Piętka oraz główna kasjerka Jadwiga Michałowska.

Konwojent Piętka dźwignął ważący 8 kilogramów worek z pieniędzmi. Ruszył z nim w stronę banku. Po drodze zderzył się z niskim mężczyzną idącym wzdłuż budynku od ulicy Jasnej. Ów mężczyzna strzelił w pierś strażnika, wyrwał worek z pieniędzmi i uciekł w stronę ulicy Hibnera (dziś Zgoda).

Drugi z napastników, wysoki, pojawił się nagle i oddał bez ostrzeżenia dwa strzały w głowę konwojenta Skoczka. Trzeci raz strzelił do leżącego już strażnika. Ten zginął na miejscu. Bandyta, wycofując się, ostrzelał jeszcze samochód Warszawa.

Był to najbardziej spektakularny napad w okresie PRL-u.

Andrzej Gass stwierdza:

– To był szok dla milicji.

SPOKOJNIE PIEC CIASTO

Tego samego dnia, kiedy dokonano napadu, Polacy przygotowywali się jak co roku do świąt Bożego Narodzenia. A władza świętowała swój sukces – w Płocku otwarto kombinat petrochemiczny. Podczas przemówienia Władysław Gomułka się chwalił: „Ludność Polski wzrasta dwa razy szybciej niż przeciętnie w Europie”.

Polacy tymczasem niepokoili się, czy udadzą się świąteczne wypieki. Bo mogło zabraknąć gazu i prądu.

To był jeden z PRL-owskich problemów: w okresach świątecznych, ze względu na zwiększone zapotrzebowanie na energię, nagle gasło światło albo stygły kuchnie. „Życie Warszawy” tym razem jednak uspokajało: „Możemy spokojnie piec ciasto. Gazu i prądu nie zabraknie”.

Polska goniła zachodnie technologie „modowe”. W grudniu zapowiedziano, że w przyszłym roku pojawią się krajowe koszule non-iron (czyli: nie prasować), zwane wówczas „niemnącymi”. Zamierzano je produkować z polskiego stylonu.

Reklamy w gazetach kusiły „niebywałą okazją” – lodówkami na raty. „Lodówka w domu to zdrowe święta” – zachęcał pokaźny anons. Producent zapraszał „klientów na pokazy praktyczne i pogadankę »Co przechowywać w lodówkach i w jaki sposób«”.

Na święta miało nie zabraknąć ryb i kurcząt. Gorzej z mięsem. Choć prasa nie pisała wprost o brakach, to jednak informowała: „Zwiększone dostawy schabów, nóżek i wędlin świątecznych szybko znikają ze sklepów”.

Trwał proces związany z aferą mięsną. Wyrok śmierci na głównego oskarżonego miał odstraszyć malwersantów. A to właśnie przez nich – zdaniem władz – w socjalistycznej Polsce brakowało mięsa. Sklepy miał zapełnić nie rynek, ale wymiar sprawiedliwości.

SPRAWCY Z PAPER MÂCHÉ

Po zebraniu zeznań od świadków milicja sporządziła portrety pamięciowe bandytów. Polacy potem żartowali, że sprawców napadu nigdy nie wykryto, bo umarli ze śmiechu, gdy przeczytali swoje rysopisy.

Potem milicja wykonała z masy paper mâché manekiny sprawców. Na konferencji prasowej, która się odbyła w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej, jeden z manekinów miał twarz zakrytą płachtą, co wywołało straszne wrażenie na dziennikarzach. Okazało się, że milicja nie wiedziała jeszcze dokładnie, jak wyglądał.

W telewizji pułkownik Stanisław Górnicki, szef służby kryminalnej KG MO zapewniał: „W dotychczasowym śledztwie ustalono szereg danych

o sprawcach napadu. Nie podajemy jednak wszystkich do wiadomości publicznej ze względu na dobro śledztwa”.

700 MIESIĘCZNYCH PENSJI

Grudzień 1964 roku, w którym dokonano napadu, był dość ciepły. Przez większość miesiąca zima w Polsce była bardzo lekka, przypominała raczej wiosnę. Dopiero w trzeciej dekadzie grudnia – wówczas gdy rozegrały się krwawe wydarzenia – chwyciły mrozy powodujące oblodzenie w Warszawie.

Polska w grudniu 1964 roku, choć zdecydowanie skromniejsza niż obecnie, przed końcem roku żyła jednak tym samym co dziś.

Polacy już planowali sylwestra. Największy bal, z dwiema orkiestrami, miał się odbyć w filharmonii. Sprzedawano bilety do Piekiełka, gdzie uczestnicy przyjęcia mieli oglądać filmy z początków kina z Charlie Chaplinem, Busterem Keatonem i kreskówki Walta Disneya.

W Polsce po raz pierwszy podano komunikat o warunkach narciarskich w Tatrach. Prasa chwaliła, że poza krajami alpejskimi nikt w Europie nie publikuje takich informacji. Podobno już co trzydziesty Polak jeździł na nartach. Śniegu na razie było jednak mało. Ale na święta wyprzedano już wszystkie sypialne miejscówki w pociągach do Zakopanego.

Gazety chwaliły, że przekroczono roczny plan i wyprodukowano 20 550 samochodów Warszawa.

Podczas napadu na bank Pod Orłami napastnicy zrabowali, przeliczając na średnią płacę, przynajmniej 700 miesięcznych pensji. Wystarczyłoby na sylwestry, samochody i wyjazdy narciarskie do końca życia. Gangsterzy nie musieli już nigdy więcej napadać.

Ale jak się okazało, uderzyli nie pierwszy raz. Milicja szukała ich bezskutecznie już od siedmiu lat.

BEZ MASEK

Milicja ustaliła, że tej samej broni użyto w trzech innych napadach. Świadkowie także podobnie opisywali napastników.

Pierwszy raz bandyci uderzyli w Warszawie w grudniu 1957 roku, na zapleczu kina Luna. Napadli kasjerkę sklepu obuwniczego Chełmek.

Po raz drugi zaatakowali w kwietniu 1959 roku. Późnym wieczorem, u stóp skarpy mariensztackiej, zamordowali milicjanta. Plutonowy Stanisław Kiełczykowski dostał kilka ciosów ostrym narzędziem i strzał w głowę. Zrabowano jego służbową broń.

Dwa miesiące później, 1 czerwca 1959 roku, ci sami mężczyźni napadli na konwój z pieniędzmi z poczty przy ulicy Armii Ludowej. Jednego z konwojentów ciężko ranili, drugiego dobili strzałem w głowę.

Pułkownik Stanisław Górnicki, szef służby kryminalnej KG MO, na antenie telewizji powiedział:

– Sprawcy w działaniu są bezwzględni. Ustalono bezspornie, że ta sama banda dokonała 1 czerwca 1959 roku napadu na Urząd Pocztowy 57 mieszczący się przy ulicy Armii Ludowej róg Marszałkowskiej, gdzie zabito Łukasza Czeczunia, konwojenta, raniono drugiego z konwojentów i zrabowano 666 tysięcy złotych.

Na tych samych sprawców wskazywała identyczna broń użyta w kolejnych napadach. Działali też podobnie: w kolejnych napadach coraz szybciej wyciągali pistolety. Strzelali, zanim ktokolwiek zorientował się, że został zaatakowany, i mógł zacząć się bronić.

Ostatni i pierwszy napad łączyła też inna cecha: bandyci uderzyli w okresie przedświątecznym. Nigdy też specjalnie się nie kryli – atakowali z niezamaskowanymi twarzami.

WYWIAD Z RANNYM

Po napadzie z 1959 toku – kiedy zginął jeden konwojent, a drugi został ranny – „Express Wieczorny” jako jedyny zdobył relację postrzelonego Stanisława Furmańczyka.

– Ilu było bandytów? – zapytał reporter.

– Dwóch – opowiedział konwojent. – Nie zauważyłem, czy mieli obstawę.

– Jak wyglądali?

– Jeden był niski w berecie i w jasnym płaszczu, drugi wysoki, ciemny, bodajże w brązowym ubraniu.

– Czy zażądali pieniędzy, czy też od razu strzelali?

– Od razu oddali kilka strzałów bez słowa uprzedzenia i wtedy straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w szpitalu.

– Czy przez Urzędem Pocztowym nie było nikogo w chwili napadu?

– W samochodzie siedział tylko szofer. Poza tym chyba nie było nikogo.

– A jak pan się czuje?

– Od poniedziałku jest duża poprawa i w tej chwili czuję się dobrze. Dziś już mogę mówić i jeść, oczywiście tylko jakieś płyny i kaszki.

Obrażenia były bardzo poważne. Kula przebiła ścianę gardła, język i policzek. Gdyby trafiła centymetr niżej, zmiażdżyłaby tętnicę szyjną i konwojent prawdopodobnie nie przeżyłby napadu.

Na podstawie zeznań świadka sporządzono rysopis napastników, który przekazano prasie. Pierwszy ze sprawców „lat około 30, ubrany w płaszcz jasny, popelinowy, spodnie ciemne, bez nakrycia głowy, szatyn, wzrost około 180 cm”. Drugi „lat około 30. Niski, krępej budowy, bez nakrycia głowy”.

W praktyce milicyjnej niestety najczęściej bywało tak, że gdy przestępstwa dokonało dwóch sprawców, to świadkowie pamiętali głównie to, że jeden był wysoki, a drugi niski.

PRZED MENTAMI

Kilka dni później do konwojenta zaadresowano niesamowity list. W wywiadzie „Express Wieczorny” podał, że ranny leży w warszawskim szpitalu na Lindleya; tu wysłano ową przesyłkę. Wycięte z gazety litery anonimu składały się w tekst:

huju
stul morde przed mentami
ta kulka ci się należy

z gazety wiemy gdzie mieszkasz
dziękujemy za 35 kulek
general w smrodzie się poniewieral
to nie ostatni strzal.

Do listu dołączono nabój kalibru 7,62 milimetrów.

Menty (czyli według gwary milicja) ustaliły, że tekst złożono z liter wyciętych z nagłówków „Trybuny Robotniczej”, datowanej na 3 czerwca 1959 roku. Wiadomo więc, że bandyci sięgali do prasy – kilka lat później mogli z niej wyczytać szczegóły o rekordowym utargu CDT.

Bartłomiej Międzybrodzki, opisując anonim w portalu historycznym Histmag.org, podejrzewał, że fragment o generale mógł dotyczyć wiceministra spraw wewnętrznych, który miał uczestniczyć w milicyjnych oględzinach. Czy bandyci obserwowali miejsce już po napadzie? Wydaje się to szokujące. Czy próbowali tą sugestią przestraszyć świadka, a o pobycie generała wiedzieli z innego źródła?

Może o obecności wiceministra usłyszeli od samych milicjantów? Bo byli z nimi związani?

TYSIĄCE WARSZAW

Po napadzie na bank Pod Orłami pułkownik Stanisław Górnicki, szef służby kryminalnej KG MO, opowiadał w telewizji:

– W dotychczasowym śledztwie ustalono, że sprawcy prawdopodobnie korzystali z samochodu, który stał na ulicy Hibnera, pod numerem 12 i krótko przed oddaniem pierwszych strzałów odjechał w kierunku Marszałkowskiej.

Rozpoczęto poszukiwania auta.

– W ciągu 15 dni skontrolowano 10,5 tysięcy warszaw w Polsce, głównie w województwie warszawskim i okolicach – mówi Janusz Jastrzębski, były komentator sądowy. – Planowano w najbliższym czasie skontrolować jeszcze 500.

– Niedawno – dodaje – spotkałem człowieka, który pracował w milicji i twierdził, że auto w kilka godzin po napadzie wywieziono do Huty Warszawa, tam wprowadzono jakąś boczną bramą i zniszczono.

Pojawiły się jednak zeznania świadków, że sprawcy mogli uciec w inny sposób niż samochodem. Andrzej Gass, dziennikarz śledczy w okresie PRL-u, opowiada:

– Daniela, konduktorka tramwaju 32, sama zgłosiła się i zeznała, że pomiędzy ulicami Próżną i Grzybowską do tramwaju, którym ona jechała, wskoczył jakiś mężczyzna z workiem. I nie dość tego. Nie pozwolił jej zamknąć przednich drzwi, cały czas stał i nerwowo się rozglądał. Dopytywał się, gdzie jest ulica Targowa czy też Dworzec Wileński, było to dosyć niejasne. Na wysokości Jagiellońskiej wyskoczył i pobiegł w stronę Targowej.

KRYPTONIM P-64

– Cała Warszawa żyła tym napadem, cały kraj nawet – wspomina Wacław Nowowiejski, dziennikarz „Kuriera Polskiego". – To był nieprawdopodobny zupełnie wypadek. W tym czasie nie mówiło się o niczym innym.

Maria Dobrzyńska, również dziennikarka „Kuriera Polskiego", zapamiętała, że śledztwu milicji kibicowali wszyscy: złapią czy nie złapią.

– W toku śledztwa sprawdzono tysiące osób, które znalazły się w kręgu podejrzeń – opowiada doktor Łukasz Kamiński, historyk Instytutu Pamięci Narodowej. – Były to osoby zarówno ze środowiska kryminalnego, jak i z podziemia antykomunistycznego, a także uczestnicy walk w podziemiu w latach 40. i 50.

Aby wykryć sprawców napadu, powołano w milicji specjalną grupę dochodzeniowo-operacyjną. Sprawa otrzymała kryptonim P-64 i klauzulę „tajne specjalnego znaczenia".

PYTAJĄC STALE O TATĘ

Złodzieje, kradnąc pieniądze, zabili człowieka, który sam utrzymywał swoją rodzinę: żonę i dwoje dzieci, trzyletniego Januszka i czteroletnią

Mariolkę. Po latach pozostały tylko strzępy informacji po człowieku, który zginął, bo ktoś chciał się wzbogacić.

28-letni Zdzisław Skoczek mieszkał na wsi pod Warszawą. Codziennie dojeżdżał do pracy w CDT. Wcześniej był wartownikiem w Locie i CPN-ie. U siebie na wsi kiedyś kierował kółkiem rolniczym, należał do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i działał w straży pożarnej.

Przedstawiciel „Kuriera Polskiego" – znany pisarz i dziennikarz Kazimierz Moczarski – oraz kierownictwo CDT dotarli do rodziny zabitego konwojenta, przywożąc im finansowe wsparcie i drobne upominki świąteczne. Po smutnej wizycie w gazecie napisano: „Tylko raz Mariolka się uśmiechnęła, gdy zobaczyła zielonego misia. Januszek, nachmurzony, przytula się do mamy, pytając stale o tatę".

SŁABOŚĆ APARATU BEZPIECZEŃSTWA

Klauzula „tajne specjalnego znaczenia", którą opatrzono śledztwo, do dziś robi wrażenie na byłych milicjantach. Jeden z nich zgadza się opowiadać tylko anonimowo:

– Z całego kraju, z komend wojewódzkich, zebrano najlepszych oficerów dochodzeniowo-śledczych, ściągnięto ich do Warszawy. Pomagali nam w ustaleniu sprawców, w uporządkowaniu całości materiału.

– W śledztwie zajmowałem się tymi sprawami, które wcześniej nie zostały wykryte – wspomina. – W związku z tym na warsztacie miałem „Chełmek", a potem to już było zabójstwo Kiełczykowskiego, UPT-57 i bank.

Janusz Jastrzębski, były komentator sądowy:

– Pierwsi milicjanci, którzy zaczęli działać na miejscu zdarzenia, popełnili szereg poważnych błędów. Przede wszystkim pozwolili na ruch przechodniów. Nie zabezpieczyli miejsca, w którym leżał zabity strażnik. Przechodnie podawali im znalezione łuski. Blokady pojawiły się na mostach dopiero po 43 minutach, czyli praktycznie bandyci mogli już spokojnie opuścić ten rejon, jeśliby odjechali samochodem.

Doktor Łukasz Kamiński, historyk IPN:

– Była to sprawa bardzo głośna, publiczna, padły ofiary śmiertelne. Za punkt honoru postawiono sobie schwytanie sprawców, ponieważ każdy tydzień, rok, kiedy pozostawali oni na wolności, świadczył o pewnej słabości aparatu bezpieczeństwa.

Śledztwo prowadzono na niespotykaną dotąd skalę. W ciągu pięciu dni od zdarzenia sprawdzono alibi kilku tysięcy osób, przeprowadzono kilkadziesiąt rewizji, przesłuchano kilkuset świadków. Bez rezultatu.

– Rozważano teorię, że za tą akcją mogła stać jakaś organizacja podziemna o charakterze politycznym – mówi doktor Łukasz Kamiński. – Pierwsza połowa lat 60. to czas, kiedy Służba Bezpieczeństwa co roku wykrywała kilka organizacji. Oczywiście przeważnie drobnych, choć uzbrojonych w broń palną. Tutaj obawiano się, że mają do czynienia z przeciwnikiem dobrze wyszkolonym, zorganizowanym, wyposażonym w broń palną, który może zorganizować podobny napad na tle politycznym.

DRUŻYNA KOSZYKÓWKI

Wyłapywano wysokich.

– Mój kolega w wieczór, kiedy dokonano napadu, wracał tramwajem – opowiada Andrzej Gass. – Był bardzo wysoki: 180 czy 190 centymetrów. Wyciągnął go z tramwaju tajniak i zaprowadził do Pałacu Mostowskich. Zobaczył, że znalazł się w korytarzu, gdzie są sami wysocy mężczyźni. Dowcipkowali, że milicja szuka kandydatów do drużyny koszykówki, ale każdy z nich musiał wykazać alibi.

– Wykonano gigantyczną pracę – dodaje. – Sprawdzano meliny, sprawdzano w biurach dowodów osobistych, sprawdzano charaktery pisma, w biurach dowodów osobistych sprawdzono 300 tysięcy fotografii mężczyzn, którzy pasowali do rysopisów.

OD DOŁU DO SKARBCA

Napad w Domu pod Orłami pozostał w ludzkiej pamięci głównie z powodu brutalności sprawców. Ale znacznie większą sumę skradziono dwa lata wcześniej w banku w niewielkim Wołowie koło Wrocławia. Tam łupem sprawców padła dziesięciokrotnie wyższa kwota – ponad 12 milionów złotych. Wszystko w banknotach 500 i 100-złotowych.

19 sierpnia 1962 roku grupa złożona z siedmiu bandytów dostała się do oddziału NBP przy placu Jana III Sobieskiego 6 w Wołowie. Napastnicy z naciągniętymi na głowy pończochami związali strażnika. Potem za pomocą podnośnika samochodowego wybili dziurę w stropie, z piwnicy na parter, od dołu dostając się do skarbca.

Napad wyglądał na dzieło profesjonalistów. Uciekający zadbali nawet o rozlanie oleju silnikowego, żeby pies tropiący nie mógł podjąć śladu.

Szukając sprawców, organy ścigania posłużyły się podstępem. Wypuszczono plotkę o planowanej wymianie pieniędzy. To miało skłonić przestępców do skorzystania z gotówki. Decyzja była przemyślana, bowiem milicja znała numery wszystkich skradzionych pięćsetek.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Jedną z żon napastników skusiła w sklepie narzuta. Zapłaciła skradzionym banknotem. Ale wówczas już wszyscy sprzedawcy w Polsce byli wyczuleni na wysokie nominały.

Sprawców złapano. Mózgiem wielkiego napadu okazał się właściciel zakładu prowadzącego naprawy radioodbiorników i telewizorów. Ów 38-letni „boss” rok wcześniej pracował przy systemie alarmowym w banku w Wołowie.

Inni bandyci to między innymi rymarz i taksówkarz. Żaden z nich nie był wcześniej karany. Znani i szanowani w swoim miejscu zamieszkania. A dodatkowo, jak na tamte czasy, stosunkowo zamożni. Nikt ich nie podejrzewał.

Czy poza podejrzeniami mogli być też sprawcy napadu na bank Pod Orłami?

SZAJKA UB

Polacy wkrótce zaczęli przypuszczać, że milicja nie może złapać sprawców, bo są nimi… milicjanci. Albo inni funkcjonariusze związani z resortem spraw wewnętrznych.

– Bardzo szybko pojawiły się pogłoski, że napadu dokonali wysocy funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa – opowiada doktor Łukasz Kamiński. – Złapanie przestępców mogło te pogłoski zdementować.

Zbigniew Zawadzki, sekretarz redakcji „Kuriera Polskiego”, zapamiętał:

– Po październiku 1956 roku nastąpiły duże redukcje w służbach specjalnych. Sądziliśmy, że to była jakaś szajka, w której uczestniczyli byli UB-ecy.

Andrzej Gass przypuszcza:

– Jeśli założyć, że co najmniej jeden, a może nawet dwóch spośród bandytów było funkcjonariuszami, to wiedzieli, w którą stronę idzie śledztwo, i potrafili się doskonale kamuflować.

Andrzej Gass w 1998 roku opublikował w „Kulisach” artykuł o napadzie. Niedługo później ze Śląska przyszedł do redakcji list. Informowano w nim, że sprawcy napadu byli oficerami Służby Bezpieczeństwa. Wkrótce po skoku zostali zidentyfikowani, wykryci i zlikwidowani przez SB.

Doktor Łukasz Kamiński, historyk IPN, wątpi jednak w taką wersję:

– Jedynym źródłem tej hipotezy jest anonimowy list. Wydaje się to jednak teza bardzo mało prawdopodobna.

W zachowanych aktach sprawy P-64 znajduje się ciekawy ślad: zeznania świadka Ewy G., która w marcu 1966 roku powiedziała, że dzień przed napadem widziała w okolicach banku znajomego – Zdzisława. Razem ze swoim kolegą Lutkiem Zdzisław miał być związany ze środowiskiem milicji i Służby Bezpieczeństwa. Odpowiadał rysopisowi sprawcy napadu.

– To nazwisko dosyć znane – opowiada Andrzej Gass. – Ten człowiek był piłkarzem. Przewinął się przez kilka klubów w Polsce, grał w klubach warszawskich, między innymi w Orle i Gwardii Warszawa, czyli klubie milicyjnym. Mógł zostać funkcjonariuszem SB lub milicji, bo sportowców wówczas zatrudniano na etatach.

Ale czy uczestniczył w napadzie, już nam nie powie. Zmarł w 1998 roku w jednej z podwarszawskich miejscowości.

NIE WIADOMO, KIM BYLI

Milicja podejrzewała setki, jeśli nie tysiące osób.

– Może wśród tych tysięcy sprawdzonych byli rzeczywiści sprawcy? – zastanawia się doktor Łukasz Kamiński. – Tylko ta skala sprawiła, że oni się zagubili, że brak błędów z ich strony doprowadził do tej wielkiej prestiżowej porażki komunistycznego aparatu bezpieczeństwa.

Napad na bank Pod Orłami przy ulicy Jasnej w Warszawie stał się legendą. W 1989 roku sprawa uległa przedawnieniu. Do dziś nie udało się wyjaśnić, kim byli sprawcy.

Andrzej Gass, dziennikarz śledczy okresu PRL-u mówi:

– Któryś z nich mógłby napisać okrutny kryminał. O tym, jak był największym zbójem PRL-u.

ROZDZIAŁ 8

NIEWOLNICY PRL-u

PIOTR LIPIŃSKI

Co się działo z nastolatkami, którzy nagle znikali na polskich ulicach? Gdzie szukali ich rodzice?

Niewolnictwo powróciło do Polski zaraz po tym, gdy komuniści obiecali wszystkim lepsze życie. Niewolnikami były dzieci.

Był 25 lutego 1948 roku. Tego dnia pojawiła się ustawa, która wcieliła w życie pomysł nowej, oszczędnej władzy: Polskę odbudują dzieci. Do przymusowej pracy, za którą nie płacono ani grosza, zapędzono szesnasto-, siedemnasto- i osiemnastolatków.

Tych współczesnych niewolników mogło być nawet 1,5 miliona. Dziś te dzieci mają ponad 80 lat.

ROMANTYCZNY MIT

Znów się pieśń na usta rwie
SP, hej SP
Nieodłączne siostry dwie
Młodzież i SP

Szumem wabi morza siwy brzeg
Wzywa pieśń Warszawy
Rytmem łopat rozdzwonimy wnet
Piastowskie szlaki sławy.

– Ta pieśń rozbrzmiewała w ustach junaków, których na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego wieku pokazywała propagandowa Polska Kronika Filmowa. SP to Służba Polsce. Junacy – młodzi ludzie, którzy w niej pracowali, „z zapałem", jak podkreślał komentarz lektora kroniki.

Komunizm polega na tym, że rzeczywistość jest lustrzanym odbiciem propagandy. To, co udaje białe, naprawdę jest czarne.

Tak zrodził się romantyczny mit o junakach, którzy ochotniczo odbudowywali ojczyznę.

BYDLĘCE WAGONY

– Miałem dopiero 17 lat, jak mnie zrobili niewolnikiem – opowiada Władysław Ryznar. Dziś liczy prawie 80. – W domu była bieda: ojciec miał parę hektarów, konika i czwórkę dzieci. Jak dostałem wezwanie do Służby Polsce, to zrazu się ucieszyłem: myślałem, że mnie do wojska biorą – czyli już taki dorosły jestem. Było inaczej: razem z innymi chłopakami zapędzili nas na stację kolejową w Łańcucie i zaryglowali w „krowiakach" – wagonach towarowych. Nigdy wcześniej nie jechałem pociągiem, więc ta podróż w bydlęcym wagonie była pierwsza w życiu.

Transport dojechał do Częstochowy. Wszystkich ubrano w junackie mundury.

Władek nigdy nie dostał żadnej gazety do ręki, ale dla junaków wydawano wówczas propagandowe „Wiadomości Służby Polsce". W numerze 2 z 1949 roku, w dziale „Listy z brygad", napisano:

Pochodzimy przeważnie ze wsi i jesteśmy oczywiście w większości wypadków synami rolników. Początkowo było nam trudno przyzwyczaić się do gwarnego życia obozowego, ale po pewnym czasie i to przeszło. Przyzwyczailiśmy się. Każdy z nas – po wysłuchaniu wielu gawęd i pogadanek – rozumie dokładnie, że przyszliśmy tu, aby odbudowywać zniszczone obiekty przemysłowe czy też budować nowe. Wiedząc o tym, jaką

nadzieję pokłada w nas całe społeczeństwo polskie, postanowiliśmy zabrać się do pracy w każdej dziedzinie naszego życia, ażeby w zupełności zasłużyć na zaufanie, jakim nas wszyscy darzą.

Ryznar obozowe życie zapamiętał inaczej. Rano: czarna kawa, chleb i marmolada, a potem wszystkich wieźli do huty nazwanej imieniem Bolesława Bieruta.

– We dwóch ładowaliśmy przez kilkanaście godzin cement – wspomina Władysław Ryznar. – Nosiliśmy 50-kilowe worki – a przecież mieliśmy dopiero 17 lat. Pracowaliśmy bez przerwy od 8 do 18, kiedy przychodziła druga zmiana.

Wieczorem, po pracy, było szkolenie wojskowe. A w nocy – alarmy.

– Żaden z nas nie dostał złamanego grosza za pracę – mówi Władysław Ryznar. Niedawno badał go lekarz i stwierdził, że mężczyzna ma wrodzoną wadę serca: nie powinien trafić ani do Służby Polsce, ani później do wojska. Ale wtedy na komisjach nikt serca nie badał, tylko patrzył czy ma ręce do pracy.

Pewnego dnia załadowali wszystkich na paki ciężarówek i powieźli w nieznane. Komenda „z wozu” padła w Katowicach. Tam już stały tłumy innych chłopaków w junackich mundurach. Z głośników leciały komunistyczne pieśni.

Polacy mieli się cieszyć, że właśnie zmienia się nazwa miasta – z Katowic na Stalinogród.

W niedzielę do kościoła junakom nie wolno było chodzić. Nawet jak Władysław Ryznar dostał zaproszenie na ślub brata, to nie dali mu przepustki na rodzinne święto.

– Ale pewnej nocy uciekliśmy z obozu, w sześciu – zapamiętał. – Poszliśmy oglądać klasztor na Jasnej Górze. Co to za wspaniałość dla nas była! Wspięliśmy się na samą wieżę! Potem się nad nami znęcali, całej kompanii robili nocne alarmy, ale nie żałowaliśmy. Co tam Stalinogród, myśmy Jasną Górę widzieli!

LEPSZE I SZCZĘŚLIWSZE ŻYCIE

Młodych ludzi wysyłano do przymusowej pracy na podstawie ustawy z 25 lutego 1948 roku o powszechnym obowiązku przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży oraz o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu. Artykuł 1 głosił, że obowiązek wprowadza się „Celem włączenia twórczego zapału młodego pokolenia do pracy nad rozwojem sił i bogactwa Narodu".

Dalej było konkretnie: władze przygotowywały spisy młodzieży w wieku 16–21 lat. Komisje kierowały do brygad SP, czyli obozów pracy. Unikanie stawienia się oznaczało areszt do dwóch miesięcy albo grzywnę do 20 tysięcy złotych. Potem – kolejne wezwanie do pracy.

Służba w SP nie zwalniała z wojska – junacy po niej trafiali do garnizonów.

Ludwik Stanisław Szuba w książce „Powszechna Organizacja »Służba Polsce« w latach 1948–1955" napisał:

Założenia były takie, że młodzież będzie pracować 4 dni w tygodniu, a kolejne 2 dni zostaną poświęcone na szkolenia. Młodsi niż 18 lat mieli pracować 6 godzin dziennie, starsi – 8. W praktyce junacy pracowali (zwłaszcza w brygadach) przez 6 lub 7 dni w tygodniu po 8–10 i więcej godzin dziennie z uwagi na dodatkowe zobowiązania produkcyjne podejmowane w imieniu junaków przez aktywistów ZMP.

Komenda Główna SP wydała swój pierwszy rozkaz specjalny (4 maja 1948 roku):

Przejęci wielką ideą służenia Polsce Ludowej ruszamy zbratani młodzi synowie i córki chłopów, robotników i inteligentów, aby na gruzach pozostawionych przez niemieckich faszystów i na gruzach ustroju wyzysku i krzywdy społecznej budować wraz z całym narodem nowe, lepsze i szczęśliwsze życie.

BUTY PO PACHY, RYDEL I KOSA

– Trudno dziś to powiedzieć – opowiada Jan Kluz – ale wtenczas człowiek był za niewolnika.

Do pracy Kluz był przyzwyczajony – kiedy miał pięć lat, już siadał na krowę i pędził ją w pole, żeby się trawą nasyciła. To był jego pierwszy obowiązek. Rodzice mieli zaledwie trzy hektary, więc ojciec pracował jeszcze w cukrowni.

Kiedy młody Kluz miał 19 lat, dostał pismo, żeby się stawić na stację kolejową w Przeworsku. Załadowali chłopaków do wagonu towarowego, nie powiedzieli, dokąd i po co jadą.

– Było nas czterech z mojej wioski – mówi. – Nic my nie wiedziały, gdzie nas wiezą[5]. My siedziały i my jechały aż do Miłoradza. A tam był taki wielki budynek jak stodoła. I nas tam było z tysiąc junaków. Łóżka były piętrowe, z desek zrobione. Dostały my gumowe buty po pachy, rydel i kosę. I zaczęły my robotę na Żuławach Wiślanych.

Osuszanie tego terenu było jednym ze sztandarowych placów budowy komunistycznej Polski. Propaganda mogła odwoływać się do nienawiści Polaków wobec Niemców, którzy wycofując się podczas II wojny światowej, wysadzili wały chroniące przed zatopieniem poldery – urodzajne tereny poniżej poziomu morza.

– Zaczynały my pracę od tego, że kilka kompanii wsiadało do wagonów, które co dzień pchała inna kompania, bo nie było parowozów – wspomina Jan Kluz. – Jechali my albo innego dnia pchali my z godzinę. Taki to był pociąg, że człowiek robił za maszynę.

Na miejscu każdy junak dostawał przydział – 60 metrów rowu na osobę. Cały dzień musiał stać w wodzie, kosić i karczować.

– A krzaczory były takie, że w jednego nie szło wyrwać – opisuje Jan Kluz. – Dookoła pomykały szczury wodne. Człowiek robił dziennie za darmo dziesięć godzin, a do jedzenia i do picia nic nie dostawał. Nawet się do kolegi nie wolno było odezwać, bo one chodziły i goniły do pracy.

Wieczorem wracali do wielkiej stodoły.

– Do mycia to my nie mieli żadnych łazienek, ino koryto z kranami – opowiada Kluz. – Na wieczór dawali nam zupę z ziemniakami i brukwią. To ziemniaki każdy zjadł, ale brukiew była tako słodka, że ja jo wypluwoł.

Jan Kluz pracował w Prusach Wschodnich pod Malborkiem. Niektórzy junacy w nagrodę pojechali oglądać zamek krzyżacki. Numer 2 „Wiadomości Służby Polsce” w dziale „Listy od junaków” opisywał:

W zamku oglądaliśmy narzędzia tortur, jakimi Krzyżacy posługiwali się w czasie badań i sądów nad przedstawicielami podbitych przez siebie narodów. Przypomniało to nam niedawne czasy hitlerowskie. Zamek przypominał nam walki Polski z Zakonem Krzyżackim, a później z Niemcami. Zwiedzanie zamku krzyżackiego pozwoliło nam wyobrazić sobie, jaką wielką potęgą był Zakon Krzyżacki i zmusiło nas do zwrócenia bacznej uwagi na Niemców, którzy pod opieką swych anglosaskich opiekunów znów szykują się do napastniczej wojny.

PRZYSZŁOŚCI ŚWIAT TĘCZOWY

Komuniści obliczyli, że w Polsce żyje ponad dwa miliony zdolnych do pracy młodych ludzi w wieku 16–21 lat. Wielu z nich to przeciwnicy nowej władzy: działali w niepodległościowym podziemiu, w harcerstwie, w katolickich organizacjach, takich jak Sodalicja Mariańska.

Kiedy po II wojnie światowej władzę w Polsce przejęli komuniści, zderzyli się z murem niechęci Polaków. Od początku próbowali zdobyć „rząd dusz”, ale propaganda była mało skuteczna. Zdecydowanie lepiej sprawdzały się środki przymusu.

Ludwik Stanisław Szuba w swojej książce opisywał:

W opinii partii istniejące organizacje dysponowały słabym, opornym na postępowe zmiany aktywem na najniższych szczeblach. Związek Walki Młodych prowadził robotę uświadamiającą tylko w miastach, gdyż na wsiach nie posiadał struktur. W tej sytuacji perspektywa jedności młodzieży wydawała się podówczas bardzo daleka. Reakcyjne elementy kierowały swój wysiłek na pracę z młodzieżą i prowadziły dywersyjną robotę.

SP miała więc stać się nie tylko źródłem darmowej siły roboczej. Miała też wytresować nowego Polaka.

Nie lęka się pracy nie
SP hej SP
Bo swą przyszłość widzi w niej

SP hej SP
Dalej z nami fundamenty kłaść
Pod gmach Polski nowy
Maszeruje rozśpiewana brać
W przyszłości świat tęczowy.

W DZIURAWYCH NAMIOTACH

Zbigniewa Kołomyję zgarnięto do przymusowej pracy prosto z ulicy:

– Siedziałem na ławeczce i czekałem na kolegów, a podszedł milicjant, wcześniej był u nas w domu, i bach, daje mi wezwanie, żebym się stawił w budynku straży pożarnej.

Chłopiec miał wówczas dopiero 16 lat, był rok 1948.

– A stamtąd, tak jak byłem ubrany, do wagonów kolejowych – jazda bez jedzenia, bez picia, nie wiadomo, po co i dokąd.

Dojechali do Łodzi, którą mieli odgruzowywać. Zbyszek zapamiętał tylko jedną długą ulicę: Piotrkowską. Wcześniej nie widział żadnego wielkiego miasta. Pochodził z ubogiej wiejskiej rodziny, ojciec podczas wojny należał do Batalionów Chłopskich. Kiedy przyszli Rosjanie, chcieli ojca rozstrzelać, bo poczęstował ich papierosami Mewa. Jak ma papierosy, to pewnie wielki pan, którego „dołżno rasstrielat'". Tymczasem ojciec dopiero po wojnie dorobił się skrawka ziemi: dostał trzy hektary po reformie rolnej. Zbyszek od dzieciństwa pasł krowę.

Świat w Łodzi był więc rzeczywiście większy, ale jedzenie i traktowanie gorsze niż w domu. Na śniadanie dostawali niesłodzoną kawę, czerstwy chleb, marmoladę, a czasami ser topiony. I praca cięższa: od 8 do 17, 18, zależy, jak samochód po nich przyjechał. Wozili taczkami gruz, układali cegły.

Spali w dziurawych namiotach.

– Rodzice najpierw nie wiedzieli, co się ze mną stało – wspomina Zbigniew Kołomyja. – Szukali mnie po szpitalach, na milicji, gdzie dowiedzieli się, że zabrano mnie do Służby Polsce. Ojciec się wściekł: jak to tak zabrać nieletnie dziecko bez pytania rodziców? Awanturował się. Szczęśliwie po miesiącu miałem wypadek przy pracy.

Podczas odgruzowywania przy jakimś starym budynku Zbigniew Kołomyja poślizgnął się i przebił na wylot rękę grubym drutem zbrojeniowym. Krew zmieszała się z pyłem. Zbiegli się wszyscy na krzyk junaka.

Rana okazała się na tyle poważna, że przestraszyła dowódców – dali chłopakowi do podpisania papier, iż go zwalniają, bo jest chory. Ale nie wolno mu było nikomu mówić, że służył w junakach.

HANDLARZE LUDŹMI

Kiedy Zbigniew Kołomyja szczęśliwy wrócił do domu, inni podobno bili rekordy. „Wiadomości Służby Polsce" donosiły o przodowniku, który wyrobił 840 procent normy:

Pytam się go, w jaki sposób osiągnął tak imponujący wynik.

To nic takiego… odpowiada Maniek Sierak z dumą spoglądając na otrzymany przed chwilą zegarek. To się może udać każdemu, kto trochę pomyśli. Pracując na swoim odcinku, kopię ziemię w głębokim rowie i narzucam ją na taczki. Rów jest głęboki na 7 m więc żeby ułatwić sobie pracę urządziłem się tak – przekopałem płytszy, pochyły rów do którego wrzucam ziemię a stąd następnie wywożę ją taczkami. W ten sposób udało mi się osiągnąć 800 % normy.

Dobrze, a co was skłoniło do tego wysiłku. pytam się dalej.

– No – odpowiada trochę zmieszany – chcę pracować dla dobra Polski Demokratycznej.

Rodzice na wszystkie sposoby kombinowali, jak ustrzec dzieci od SP.

Waldemar Wojciech Bednarski i Mariusz Dariusz Bednarski w książce „Powszechna Organizacja »Służba Polsce« na Ziemi Tomaszowskiej 1948–1955" opisali nastroje w rodzinach potencjalnych junaków:

Jan Kuzdraliński, mający w swojej rodzinie 7 osób zdolnych do pracy, nie pozwolił swojej córce pójść do brygady, bo „on za młodu o to walczył, aby tak nie było jak jest obecnie" i dodał jeszcze, podobnie jak to stwierdzało wielu chłopów, że „Niemcy też brali do junaków, a w Polsce Ludowej to samo się dzieje". Andrzej Cywiński powiedział, że władza ludowa, przez tyle lat nic nie dawała młodym, dopiero jak jego córka

dorosła, to sobie o niej przypomniała. Matka junaczki Janiny Kowalik ze wsi Słupeczno, w gminie Wysokie, wyrzuciła kartę powołania za sołtysem, mówiąc, że tylko „handlarze ludźmi handlują”. Z kolei Józef Adamczyk, z gromady Stryjno, w gminie Izbica, stwierdził, że wolałby wysłać córkę do partyzantki niż do brygady. Podczas werbunku do brygad w gminie Białopole, w powiecie hrubieszowskim, przy wręczaniu kart powołania, jedna z kobiet, matka przyszłego junaka, powiedziała: „mój syn do brygad nie pojedzie, jak on chodzi nago i boso, to komenda tego nie widzi, Hitler wymyślił junaków i wy jego śladem idziecie i mordujecie młodzież przy pracy”.

KORYTKO BLASZANE I KRANIKI

Maria Lorenc trafiła do Służby Polsce za karę, że jej rodzice mieli dwa sklepy.

– Wtedy komuniści walczyli z prywatną inicjatywą – wspomina. – Ojca w końcu zmuszono do zlikwidowania sklepików.

Junaczek było znacznie mniej niż junaków. Marię Lorenc zmuszono do pracy w PGR-ze Krzeczyn Mały w powiecie Lubin. Pełła i sadziła rośliny.

– Mieszkałyśmy, co prawda, w dawnym dworze, ale nie było ciepłej wody, tylko korytko blaszane i kraniki – zapamiętała. Prysznic też był, ale stale nieczynny. Rygor w PGR-ze panował lekki – w niedzielę wymykały się do kościoła, a dowódcy udawali, że o niczym nie wiedzą.

Po pracy odbywały się zajęcia ideologiczne. Siadały w dużej sali w przedwojennym dworze, żeby usłyszeć o zdobyczach komunizmu. Maria Lorenc była najlepiej ze wszystkich dziewcząt wykształcona, więc prowadziła prasówki.

Najchętniej opowiadała dziewczętom o Wyścigu Pokoju i zwycięstwach Stanisława Królaka.

Junaczki z brygady Marii Lorenc miały nawet zabawę taneczną. Na sali znajdowały się same dziewczęta odświętnie ubrane, a przygrywał im tylko jeden instrument: puzon.

KAŻDY Z DUMĄ DZIERŻY ŁOPATĘ

Z „Wiadomości Służby Polsce”:

Rano, skoro tylko zagra syrena alarmowa, z każdego namiotu wybiegają gromady junaków w strojach gimnastycznych na zbiórkę.

Każdy z dumą dzierży łopatę czy też inne narzędzie potrzebne do pracy i niecierpliwie czeka na rozkaz, aby z wesołym śpiewem ruszyć do pracy, zmienić kolegów pracujących od rana.

Każdy junak wie dobrze, że pracą swą pomaga w odbudowie naszej Ojczyzny, dlatego też wesoły śpiew wzbija się pod niebo, a oczy promieniują zadowoleniem.

Brązowe ciała zlewają się z brunatną ziemią. Tworzą jedną całość. Drżą ramiona od wysiłku, drży ojczysta ziemia od uderzeń. Rów coraz głębszy, coraz dłuższy, już niknie w dali. W krótkim czasie na tym odcinku powstanie błyszcząca linia kolejowa – nasz cel.

Przez 5 godzin młode ramiona wykuwają nową rzeczywistość, nowy byt. My pokażemy światu, że Polski jesteśmy warci nie tylko, gdy karabin jest w garści.

ROK O KASZY I KAPUŚNIAKU

Czesław Michalski był jednym z najmłodszych niewolników – miał dopiero 16 lat.

W „krowiaku” zawieźli go do Krakowa. Z bydlęcego wagonu trafił od razu na obchody święta 1 Maja. Dostał do ręki szturmówkę i pomaszerował w pochodzie skandującym: „Lenin!”, „Stalin!”.

Potem trafił do Nowej Huty, na sztandarową budowę komunistycznej Polski. Kiedy junacy zajechali na plac budowy w podkrakowskiej wsi Mogiła, wokół rozciągały się jeszcze pola, na których rósł tytoń. Brakowało fachowców, więc każdy, kto się znał na poziomicy, z miejsca zostawał murarzem.

Rano szli do pracy, śpiewając na rozkaz: „My, espe, my roboty nie boimy się”. Na budowie wszędzie wisiały głośniki, z których puszczano pieśni

komunistyczne zagrzewające do pracy. Orkiestra grała, gdy jakaś kompania biła rekord.

Często grała.

I tak minął rok.

Czesław Michalski, jeden z najmłodszych, był też jednym z najdłużej pracujących przymusowo robotników. Rok o kaszy i kapuśniaku. Rok z dala od rodziców. Rok za darmo.

Na koniec zaproponowali mu, żeby został na budowie, teraz już za pieniądze. Nawet obiecali, że mu kupią nowe ubranie.

Nie chciał. W nagrodę za rok pracy dostał książkę o Stalinie.

DEZERTERZY

Wzorcowa historia junaka powinna wyglądać tak (opublikował ją nr 3 „Wiadomości Służby Polsce" w dziale „Listy z brygad"):

Kiedy rozlega się wieść o „Służbie Polsce" Stachowiak Michał marzył o tym, aby dostać się jak najprędzej w jej szeregi. Za pewien czas dostał kartę powołania na komisję. Był niezmiernie uradowany. Już wtedy szczycił się przed swymi kolegami we wsi, że to on dostał kartę. Nie wszyscy bowiem mieli tyle szczęścia co on. Tylko trzech we wsi otrzymało podobne karty.

Przyszedł dzień odjazdu. Porucznik, Komendant Powiatowy „SP" sformował dwuszereg, kazał odliczyć i okazało się, że mamy wśród siebie o jednego za dużo. Wskazał więc na Michałka i mówi:

– Wy zostaniecie, wrócicie do domu. – Przez chwilę stał bez ruchu. W skroniach mu szumiało, serce biło mocno, łzy szkliły się w oczach.

Usłyszał znowu:

– Stachowiak jesteście zwolnieni. Proszę odmaszerować.

Michałko nie poszedł jednak do domu. Wziął walizkę i bez uśmiechu, z walizką w ręku, posuwał się z tyłu za chłopcami idącymi na dworzec.

Po pożegnaniu przez władze miejscowe i organizacje młodzieżowe miał nastąpić odjazd. Chłopcy siedzieli już w ubranych zielenią wagonach i widząc, że Michałko stoi ze łzami w oczach i przypatruje się odjeżdżającym, zaczęli prosić porucznika, aby wziął jego też. Tak mówili, tak prosili, aż porucznik zgodził się zabrać i jego.

Michałko jak kamień wpadł do wagonu niezmiernie ucieszony, że i on będzie mógł jechać do Warszawy.

Junak Stachowiak Michał jest obecnie najlepszym junakiem. Kilkakrotnie był umieszczany w rozkazach kompanijnych i batalionowych, a nawet został wyróżniony za pracę przez d-cę brygady.

Prawdziwi, a nie propagandowi junacy, czasami uciekali.

Ludwik Stanisław Szuba w swojej książce cytuje jednego ze złapanych dezerterów:

Z brygady mnie zmósiło zebym uciek marne jedzenie i mało gotują co dzień kasze w kaszy mało kartofli i w dodatku przypalają jak nie przypalą to za mało słona lub surowe. Chleba terz jest bardzo mało. Włosy nam pościnali bez badania goowy jak kto nie dał ściąć to go złapało 3 ze sztabu i mu krzyż wycieli na głowię. Dowództwo się z nami bardzo źle obchodzi pościnali nam włosy i teraz wyzywają od małpich ludzi. Tak krzyczelim, że nam się jeś chcę to wygnali w lasy i kazali padnij powstań, jajka nam dali to prawie wszystkie zepsute.

Inny junak uciekł po tym, jak mu kazano w kancelarii robić przysiady do utraty sił.

Komisje kontrolne stwierdzały: muchy i włosy kucharek wpadały do wiader z jedzeniem; podawano zepsutą kapustę, w której znaleziono robaki; junacy spali na deskach bez pościeli; junakom nie wydano 448 kilogramów mydła; zastępcy dowódców kompanii byli zawszeni.

JEDZENIE STAWAŁO W GARDLE

Zdzisław Krochmal trafił do Służby Polsce, bo jego ojciec był posłem. Tyle że Polskiego Stronnictwa Ludowego, czyli opozycji zwalczanej przez komunistów.

Przed wojną Jan Krochmal był przemysłowcem naftowym. Komuniści szukali na niego haka – rozpytywali, czy ludzi przed wojną nie wyzyskiwał. Ale wszyscy o nim dobrze mówili, a kiedy kilkadziesiąt lat później umarł, pewien przedsiębiorca pogrzebowy nie chciał wziąć od syna pieniędzy za trumnę.

– Ojciec spodziewał się aresztowania – wspomina Zdzisław Krochmal. – Nawet mówił to Władysławowi Gomułce, słynnemu przywódcy komunistów. Znali się od przedwojennych czasów – Gomułka był u Krochmala w kopalni kowalem.

Jak po wojnie powiedział Gomułce, że obu zamkną, to ten się żachnął: przecież jestem władzą!

Ale w końcu komuniści rzeczywiście zaczęli zamykać nawet członków swojej partii, wśród nich Gomułkę. PSL-owca później również aresztowali.

– Ale najpierw mnie wybrali do Służby Polsce, pewnie żeby ojcu dokuczyć – wspomina Zdzisław Krochmal.

Pewnego dnia po szkole poszła fama, że będą chłopaków do wojska brać, bo przyszli jacyś generałowie. I niektórzy ucieszyli się, bo myśleli, że ich wezmą do szkół oficerskich. Wszystko to jednak była ułuda – żadni tam generałowie, ale zwykli porucznicy nawiedzili szkołę, a chłopaków wcielili nie jak dorosłych do wojska, tylko zagnali do pracy z kilofem.

Wśród wybranych był młody Krochmal.

– Kiedy nas brali, żaden nie wiedział, co to jest Służba Polsce – zapewnia.

Jechali prawie dobę w bydlęcych wagonach. Po drodze zabierali kolejnych nastolatków, najwięcej w Rzeszowie.

Dojechali do Fortu Traugutta przy Dworcu Gdańskim w Warszawie.

Dzień zaczynał się o piątej rano. Spali na siennikach ze słomy, w namiotach w nocy było zimno, a o świcie biegli umyć się w korycie pod gołym niebem. Z rury lała się lodowata woda.

Potem odgruzowywanie Warszawy. Na Marszałkowskiej ładowali gruz do wózków, które po torach pchali kilka kilometrów – dopiero później wynajęto konie od prywaciarza. Po pracy od noszenia cegieł Zdzisław Krochmal nie mógł wieczorem rozprostować dłoni.

– Jedzenie było makabryczne – zapamiętał. – Rano kawa zbożowa, kanapki ze smalcem i skwarkami. A na obiad kasza z sosem i gotowana słonina. Nie chciało mi to przejść przez gardło, pieniło się w ustach.

– Tresowali nas – jak idąc do roboty, zmyliłem krok marszowy, to musiałem za karę biegać wokół kompanii.

Przez miesiąc w ogóle nie wolno było wyjść z koszar. Karali wszystkich, jak ktoś uciekł w niedzielę do kościoła.

Ojciec w tym czasie też był w Warszawie – w gmachu Sejmu na Wiejskiej. Syn raz dostał przepustkę, a nawet bilet tramwajowy i pojechał do ojca. Spotkali się, ale PSL tak mało znaczyło w komunistycznym świecie, że ojciec nawet nie mógł wydostać syna z SP.

NARZUCIMY PODPALACZOM POKÓJ

Wyszkolenia potrzebowali także ci, którzy potem mieli ideologicznie szkolić junaków. Aby podnieść intelektualny poziom nadzorów, wydawano „Poradnik Pracownika Służby Polsce". Kolejne numery na ostatnich stronach zawierały wyjaśnienia pojęć, których agitatorzy mogli nie zrozumieć:

Egzekwować – wydostać od kogoś należność.

Plansza – luźna ilustracja.

Fikcja – zmyślenie.

Suwerenność – niezawisłość.

Laureat – zdobywca nagrody.

Emblemat – odznaka.

Izolować – oddzielać.

Horyzont – widnokrąg.

„Poradnik" zawierał też odpowiedzi na pytania:

Czy można pomalować tuby megafonów, które pordzewiały na skutek wpływów atmosferycznych?

Jeżeli tuby megafonów rdzewieją, należy natychmiast kupić farbę olejną koloru khaki i po uprzednim oczyszczeniu ich z rdzy pomalować. Wykonanie powyższego dopilnować winni z-cy d-ców brygad do spraw pol.–wych.

W jakiej książce przychodować materiał flagowy? Ponieważ płótno flagowe jest materiałem jednorazowego użytku, trzeba je zaprzychodować w książce materiałów zużywalnych (osobno białe i czerwone).

Zalecane hasło: „Narzucimy podpalaczom pokój".

144 PROCENT NORMY

Projekt ustawy, która umożliwiła kierowanie młodzieży do przymusowej pracy, podpisał między innymi Jerzy Morawski, wiceprzewodniczący Zarządu Głównego Związku Walki Młodych. Oprócz niego dokument sygnowali przewodniczący trzech innych organizacji młodzieżowych: Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Związku Młodzieży Demokratycznej i Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici".

Na posiedzeniu Sejmu w lutym 1948 roku Jerzy Morawski mówił, że ustawa powstaje po to, aby wyrobić wśród młodzieży właściwy stosunek do pracy.

W listopadzie 1949 roku Jerzy Morawski uczestniczył w odprawie kierownictwa SP i Związku Młodzieży Polskiej (do niego przymusowo wcielono inne organizacje młodzieżowe). Podczas tego spotkania dowódca SP pułkownik Edward Braniewski stwierdził, że średnia wydajność brygad wyniosła 144 procent normy, a zamiast zaplanowanych 6 milionów dni junacy pracowali 9,5 miliona dni. Wypracowali prawie 2 miliardy złotych dochodu dla państwa. Podał też liczbę junaków i junaczek SP: 1 350 000 pracowników.

Związek Młodzieży Polskiej sprawował wówczas kierownictwo polityczne nad SP.

Jerzy Morawski, sekretarz Zarządu Głównego ZMP, ma dziś 91 lat. Nie czuje się na siłach, żeby rozmawiać o SP.

NA DROGĘ PO CZTERY SUCHARY

Henryk Jakiel został niewolnikiem przez Stalina. Groteskowo.

Kiedy ojciec Henryka ciężko zachorował, syn rzucił szkołę i poszedł na przyuczenie do zawodu w Sanockiej Fabryce Wagonów. Wycinał z blachy detale do wozów strażackich.

Był 13 marca 1953 roku. Zmarł Józef Stalin. W hali fabrycznej wszędzie wisiały głośniki. Radiowęzeł nadawał kolejne wspomnienia o przywódcy

światowego ruchu komunistycznego. A Henryk Jakiel akurat mocno zranił się blachą w rękę.

Zawył z bólu. I znowu usłyszał o wielkim Stalinie.

– Taka mnie złość wtedy wzięła – wspomina – że chwyciłem młotek i ciepnąłem w ten głośnik. A on tylko zabełkotał i spadł.

Wtedy się zaczęło. Młodocianego robotnika zaczęli wzywać: do związków zawodowych, do Związku Młodzieży Polskiej, do partii. Tak przez dwa dni. Trzeciego dnia zabrał go Urząd Bezpieczeństwa.

– Nie bili – zapamiętał – ale tak włosy naciągali, aż mnie głowa cała piekła.

Dostał kartę powołania do SP. I jak inni: do bydlęcych wagonów i dalej w świat. Na drogę dostali po cztery suchary i konserwę jedną na sześciu.

– Wysikać się można było tylko przez otwarte drzwi wagonu – opowiada. – A jak kto chciał kupę zrobić, to musiał sobie podłożyć gazetę i potem to wyrzucić.

Dojechali do Stalinogrodu, czyli dawniejszych Katowic.

– Jak zatrzymaliśmy się na stacji, to wszystkim płakać się chciało – mówił. – Zewsząd było słychać tylko szwargotanie po rosyjsku i po niemiecku.

Wysłano go najpierw do pracy w kamieniołomie: było strasznie. Waliło się ciężkim młotem w skałę. Pchało we dwóch wielkie kolibki po szynach. Jak coś wysadzali w powietrze, to nawet nie powiedzieli, żeby uszy zatkać, to i niejednemu ustami poszła krew. Raz go odłamek trafił tuż nad uchem i rozciął skórę. Praca trwała tyle, „ile zegar utrzymał”, czasami po 12, a czasami po 15 godzin dziennie.

Potem kilka miesięcy w kopalni węgla: zjeżdżał na 1200 metrów, pracował znowu po kilkanaście godzin dziennie przy budowaniu filarów. Dalej do Fromborka, do zbierania ziemniaków i darcia buraków. Tam się jego koledzy pochorowali, bo do jedzenia dostawali skisłe mięso i ziemniaki. Wypominano im pochodzenie z Rzeszowszczyzny, gdzie grasowały ukraińskie oddziały UPA. Jak się poskarżyli na posiłki, to dowódcy krzyczeli: „A co wy chcecie, wy bando UPA od Rzeszowa, wy żeście nigdy tak dobrze w domu nie mieli!”.

WCZASY

SP rozwiązano w 1955 roku.

W marcu 1949 roku płk Edward Braniewski, pierwszy komendant główny SP, stwierdził: „Brygady były dla większości młodzieży, szczególnie wiejskiej, prawdziwymi wczasami”.

POSTSCRIPTUM

Junacy SP nigdy nie doczekali się odszkodowania za przymusową pracę. Od kilku lat ich przedstawiciele ślą do parlamentu i rządu prośby o przeprowadzenie ustawy, która przyznałaby im zadośćuczynienie.

Niestety, spotykają się z murem bezczynności, co wynika prawdopodobnie z „romantycznego mitu”, jaki udało się utrwalić komunistom wśród Polaków. Panuje powszechne, choć błędne, przekonanie, że wszyscy junacy byli ochotnikami, którzy na dokładkę za swoją pracę dostawali pieniądze. Oraz, że służba w SP zwalniała od wcielenia do wojska.

W interesie Skarbu Państwa jest zapewne wnikliwe i czasochłonne rozpatrywanie żądań byłych junaków – w końcu najmłodsi mają obecnie ponad 80 lat.

ROZDZIAŁ 9

JAK WEDEL STAŁ SIĘ SYMBOLEM PRL-u?

MICHAŁ MATYS

Za datę powstania Polski Ludowej przyjęto 22 lipca 1944 roku. Komuniści postanowili upamiętnić ten dzień w nazwie najważniejszego zakładu przemysłowego. Wybrali fabrykę czekoladek.

W PRL-u wymyślono legendę, która uzasadniała, dlaczego fabryka Wedla dostała nową nazwę: Zakłady Przemysłu Cukierniczego im. 22 lipca. Podobno po wyzwoleniu warszawskiej Pragi, jeszcze pod gradem niemieckich bomb, lecących z lewego brzegu Wisły, załoga Wedla ręcznie robiła karmelki, aby zawieźć je komunistom, którzy u boku Armii Czerwonej tworzyli rząd – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN). 22 lipca 1944 roku wydał on manifest (tak zwany Manifest Lipcowy), odezwę do narodu polskiego, który zapowiadał komunizm w Polsce. Datę tę uznano później za narodziny Polski Ludowej, a każdą rocznicę hucznie świętowano.

Czemu polscy komuniści postanowili nadać imię najważniejszego dla nich wydarzenia akurat fabryce czekolady? Może dlatego, że Wedel to jedna z kilku najbardziej znanych polskich marek okresu międzywojennego. Na Zachodzie rozpoznawane były konstruowane u nas

samoloty RWD i PZL, lokomotywy Cegielskiego oraz… karmelki i czekoladki Wedla.

BOMBONIERKA JAK WRÓŻKA

Wszystko zaczęło się od Karola Ernesta Heinricha Wedla, wykształconego w Berlinie cukiernika, który w 1845 roku przyjechał do Warszawy. Wszedł do spółki Karola Grohnerta, który prowadził cukiernię przy ulicy Piwnej 12. Interes szedł tak dobrze, że po sześciu latach Karol Wedel postanowił się usamodzielnić.

W 1851 roku założył sklep i „parową fabrykę czekolady” przy ulicy Miodowej naprzeciwko kościoła kapucynów. Wymyślił recepturę na własne karmelki śmietankowe. W „Kurierze Warszawskim” zamieścił ich reklamę:

Zupełnie nowy i szczególny utwór cukierniczy, a nade wszystko wyborny środek leczący i łagodzący wszelkie cierpienia piersiowe, nader skuteczny na słabości te w miesiącach wiosennych, a nawet dla niecierpiących i zwolenników delikatnego smaku – bardzo przyjemny wyrób.

Karmelki stały się cukierniczym przebojem.

W 1876 roku Karol Wedel przekazał fabrykę w prezencie ślubnym swojemu synowi Emilowi. To właśnie kopia jego podpisu widnieje na wszystkich tabliczkach wedlowskiej czekolady. A to dlatego, że stała się tak popularna, iż zaczęto ją podrabiać.

Fabryka czekolady zaczęła błyskawicznie się rozrastać. Tak szybko, że Emil Wedel postanowił ponownie ją przenieść. Tym razem na ulicę Szpitalną (obecnie róg placu Powstańców Warszawy) na zaplecze kamienicy pod numerem 8, w której zamieszkała rodzina Wedlów. Do dzisiaj na jej dachu pozostał znak firmowy: chłopiec jadący na zebrze dźwigający tabliczki czekolady. W kamienicy wciąż działa pijalnia czekolady Staroświecki Sklep – przetrwała dwie wojny i komunizm.

Staroświecki Sklep trafił do literatury. Bywali w nim Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Zofia Nałkowska.

Na ladach wznosiły się stosy czekoladek i cukierków (…) wspaniałe, niezapomniane atłasowe bombonierki, które wydawały się największymi cudami sztuki (…) Pewnego razu zdobyłem się na odwagę i wyciągnąwszy

rękę, pogłaskałem taką bombonierkę – wydawało mi się, że dotknąłem jakiejś tajemniczej skóry, że pogłaskałem rękę wróżki

– pisał Jarosław Iwaszkiewicz we wspomnieniach z dzieciństwa.

ZABRALI I SPOLICZKOWALI

Jan Wedel, syn Emila, kupił samolot RWD-13 rozwijający prędkość 210 km/godz. i zaczął nim dostarczać czekoladę do Paryża. Potem przeprawił się przez ocean i otworzył stoisko na targach w Nowym Jorku.

Jan zrobił doktorat z chemii, ale okazał się mistrzem marketingu. Olgierd Budrewicz w swojej książce o wedlowskiej czekoladzie przytacza anegdotę o królu Afganistanu, który przyjechał z wizytą do Polski. Król podróżował pociągiem i na każdej stacji widział reklamę fabryki. Nie wiedział, co oznacza, ale uznał, że to powitanie. Gdy wysiadł z pociągu, na wszelki wypadek zawołał do witającej go delegacji: „Ewedel!”.

Za Jana Wedla fabryka stała się czekoladowym koncernem. Gdy ją przejmował w 1927 roku, zatrudniała 200 osób. Tuż przed wybuchem II wojny światowej – blisko półtora tysiąca!

Jan zadecydował o budowie nowego kompleksu fabrycznego wraz z miasteczkiem robotniczym przy ulicy Zamoyskiego na warszawskiej Pradze. Były tam żłobki, przedszkola, scena teatralna, a nawet klub sportowy Rywal. W pobliżu Jan ustawił automaty ze słodyczami, pierwsze w stolicy.

Zyskał opinię społecznika. Ufundował pomnik Ignacego Paderewskiego w parku Ujazdowskim, sponsorował budowę Filharmonii Narodowej i kościoła katolickiego Matki Boskiej Zwycięskiej w pobliżu fabryki (choć sam był ewangelikiem).

Po II wojnie światowej komuniści zabrali mu fabrykę. Przetrwała bez większych zniszczeń. W 1945 roku Jan próbował postawić ją na nogi. Ale komuniści uznali, że może być najwyżej „doradcą do spraw organizacyjnych”. Według jednej z wersji wkrótce potem przyszło do niego dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Spoliczkowali go. Jan wyszedł i już nigdy nie wrócił do fabryki.

Wkrótce potem komuniści wyrzucili go także z jego willi w podwarszawskim Konstancinie. Wprowadził się do niej generał Aleksander Zawadzki, zastępca dowódcy Armii Polskiej w ZSRR, a później wicepremier i przewodniczący Rady Państwa (w PRL-u był to odpowiednik prezydenta).

Jan Wedel zamieszkał w kamienicy przy ulicy Szpitalnej 8, w mieszkaniu pod numerem 1. Często schodził do sklepu po 20 dekagramów karmelków z jego dawnej fabryki. Zmarł w 1960 roku. Na jego pogrzebie grała orkiestra dęta z fabryki – na pożyczonych instrumentach, bo zabroniono jej użyć zakładowych.

ŚWIĘTO D. E. WEDLA

Gdy w 1951 roku zmieniono nazwę fabryki, pojawił się kłopot. W Polsce ani na świecie nikt nie znał czekoladek ZPC im. 22 lipca. Stąd nową nazwę szybko opatrzono dopiskiem „d. E. Wedel” (czyli dawniej E. Wedel).

– Znalazł się ktoś, kto mądrze pomyślał, aby zachować dawną nazwę. A może po prostu lubił nasze czekoladki. To zasługa tej osoby, że marka przetrwała – mówi Paweł Szcześniak, dyrektor zarządzający Wedla.

Gdy rozmawiałem z nim w 2012 roku Wedel był wciąż największą w kraju fabryką czekolady, gdy tymczasem wiele innych upaństwowionych firm zakończyło życie wraz z PRL-em.

W miarę upływu czasu, zwłaszcza po kolejnych odwilżach politycznych, na tabliczkach czekolady zmniejszał się napis „im. 22 lipca” (w latach 80. drobnych literek prawie nie było widać), a potężniał „d. E. Wedel”. Podwójna nazwa fabryki stała się jednak obiektem dowcipów. W PRL-u 22 lipca był dniem wolnym od pracy. „Mamy święto d. Wedla” – mówili Polacy.

Do ZPC im. 22 lipca dołączono trzy inne zakłady, które komuniści również zabrali przedwojennym właścicielom: wytwórnię słodyczy Syrena, fabrykę krówek w Milanówku i piekarnię w Płońsku. „Życie Warszawy” informowało w 1963 roku z dumą, że przedsiębiorstwo produkuje dziewięć razy więcej słodyczy niż przed wojną.

Przy okazji gazeta oburzała się:

Niecierpliwi mieszkańcy stolicy głoszą wszem, że łatwiej i szybciej można kupić samochód marki młodej fabryki na Żeraniu niż zdobyć pudełko firmowych czekoladek w sklepie fabrycznym „22 lipca”.

I wyjaśniała, dlaczego tak się dzieje:

Przyczyna jest prosta: mamy więcej środków, wyższy jest przeciętny poziom życiowy rodzin. Możemy więc pozwolić sobie na coraz pełniejsze zaspokojenie apetytu na słodycze.

Jednak z biegiem lat problem narastał. Czekolady wciąż brakowało. Gospodarka komunistyczna była sterowana z góry. Władze planowały wszystko – łącznie z tym, ile tabliczek czekolady powinni zjeść Polacy. A ci uparcie chcieli jej zjadać więcej, niż ustalili rządzący.

Partia komunistyczna, jak pisały gazety, zdecydowała się zatem „na eksperyment” – w drodze wyjątku pozwoliła zakładom 22 lipca na przyjmowanie zamówień bezpośrednio od handlu. Ale to też nie rozwiązało problemu braku czekolady.

Hitem PRL-u stały się… ścinki z Torcików Wedlowskich. Gdy sprzedawano je w sklepie firmowym na kilogramy, ustawiała się długa kolejka.

– To bardzo dobre wafle, miały wielu amatorów. Dzisiaj takich ścinków nie sprzedajemy, ale nie dlatego, że są niedobre. Wykorzystujemy je do czegoś innego – twierdzi dyrektor Paweł Szcześniak.

Torciki z wafli, kremu orzechowego i czekolady wymyślił jeszcze przed wojną Jan Wedel. Do dzisiaj są ręcznie dekorowane.

– Panie, które to robią, to prawdziwe artystki – mówi dyrektor Szcześniak.

Peerelowska prasa informowała, że „na olimpiadzie jakości w 1970 roku z okazji Konferencji Przemysłów Cukierniczych Krajów Socjalistycznych w Belgradzie torciki uzyskały złoty medal” i stały się wyrobem eksportowym.

Dostawali je wszyscy dygnitarze, którzy przyjeżdżali do ZPC im. 22 lipca: Edward Gierek i Fidel Castro, a nawet szach Mohammad Reza Pahlawi, który zdążył przyjechać, zanim obaliła go rewolucja w Iranie. Szach nie zjadł torcika, bo ochroniarze sprawdzali, czy nie ma w nim bomby, i połamali przysmak. Ale podobno torcik i tak mu się spodobał.

CZEGO POTRZEBA DO SZCZĘŚCIA

Praca w ZPC im. 22 lipca d. E. Wedel nie należała do lekkich. „Gazeta Wyborcza” opisywała dział „Rarytasy”, produkujący popularne w PRL-u bombonierki:

Kobiety nazywane układaczkami siedzą, w białych fartuchach i niebiesko-białych czapeczkach z daszkiem, po obu stronach długiej taśmy. Wkładają drobne czekoladki do małych foremek. Jedna układaczka w ciągu ośmiu godzin musi przygotować 1100 takich porcji. W połowie dnia ręce odpadają ze zmęczenia.

Najsłynniejszy wyrób fabryki to mleczna pianka oblana czekoladą. Podobno, gdy w 1936 roku Jan Wedel zastanawiał się, jak ją nazwać, zadał pytanie: „Czego potrzeba do szczęścia człowiekowi, który już wszystko posiada?”. Ktoś odparł: „Tylko ptasiego mleczka”. I ta nazwa pozostała.

Tajemnicą receptury jest czekolada. Chodzi o to, aby dała łatwo się odkleić od białego nadzienia. Najwierniejsi fani obgryzają ją ze wszystkich stron, a na koniec zjadają piankę. Podobno kiedyś próbowano ulepszyć recepturę czekolady i w rezultacie nie dawało się jej odłupać. Ale w fabryce nikt już tego nie pamięta.

– Niemożliwe! To byłby koszmar. To nasz kultowy wyrób – zapewnia dyrektor Szcześniak.

Sam lubi obgryzać czekoladę, czasem tylko ze spodu mu się nie chce, bo – jak twierdzi – ta warstwa wymaga wiele finezji i czasu.

W latach 50. partia komunistyczna zadecydowała, że ZPC im. 22 lipca powinny podzielić się recepturą z „bratnimi fabrykami z ZSRR”. Dostała ją moskiewska fabryka Rot Front, która zaczęła produkcję Pticzjego Mołoka. W Rosji można je do dziś spotkać. Na szczęście nie stało się konkurencją dla Wedla.

– To tanie produkty, przeciętnej jakości – tłumaczy Paweł Szcześniak.

W latach 80., w czasach kryzysu, ZPC im. 22 lipca miały jednak kłopot. Brakowało walut wymienialnych (złotego nie dało się na nic wymienić) na zakup ziarna i masła kakaowego – podstawowych komponentów do produkcji czekolady.

„W zależności od posiadanych surowców raz oblewaliśmy piankę czekoladą, a raz masą czekoladopodobną. Daję słowo, że trudno rozpoznać,

które z nich są lepsze” – przekonywała w „Przekroju” Stefania Tuszyńska, główny technolog ZPC im. 22 lipca.

W ten sposób dla Ptasiego Mleczka powstał czekoladopodobny zamiennik – Piankowe.

WYRÓB CZEKOLADOPODOBNY

Wyroby czekoladopodobne to coś, co wymyślono w PRL-u w latach 80.

„Nie są wcale gorsze od czekoladowych. Tłuszcze produkuje się z orzeszków shea, oleju palmowego, a więc z tłuszczów roślinnych nie gorszych od kakaowca. Żeby pana przekonać, powiem, że coraz więcej odbiorców zagranicznych dopytuje się u nas o wyroby czekoladopodobne” – zapewniała główna technolog zakładów.

A dyrektor naczelny ZPC im. 22 lipca Andrzej Karbowniczek, w 1984 roku w „Życiu Warszawy”, obwieścił „z całym przekonaniem, że na świecie panuje teraz rewolucja w dziedzinie produkcji czekolady” oraz że w RFN i Szwecji również tworzy się wyroby czekoladopodobne. Gazeta dodawała od siebie, że są one „łatwiej strawne od prawdziwej czekolady”.

Polacy nie uwierzyli. Ale kupowali, bo nic innego nie było. A gazety tropiły, gdzie można kupić resztki prawdziwej czekolady. Na początku 1983 roku „Express Wieczorny” doniósł, że choć ZPC im. 22 lipca nie mają dewiz i musiały drastycznie ograniczyć produkcję „wyrobów ziarnochłonnych”, dyrekcja sprowadziła maszyny z NRD i „już w drugim kwartale pokażą się w naszych sklepach dawno nie widziane wedlowskie galaretki owocowe”.

U kresu PRL-u, w grudniu 1987 roku, tygodnik „Przekrój” postawił fundamentalne pytanie: czy będzie jeszcze czekolada?

– Będzie na pewno. Na kartki i nawet poza reglamentacją, trochę droższa, po 350 złotych za tabliczkę – zapewniała Stefania Tuszyńska, główny technolog ZPC im. 22 lipca.

– Czekolada, czy czekoladopodobna? – dopytywał dziennikarz.

– Prawdziwe czekolady, które zachowały się w pamięci naszych klientów: Zamkowa i Belwederska. Opakowanie będzie takie jak dawniej. Piękne,

bordowe etykiety z wytłaczanymi napisami. Wytłaczają je Koreańczycy północni, a co nie jest bez znaczenia, płacimy im w złotówkach.

Po upadku PRL-u okazało się, że wyroby czekoladopodobne mają swoich fanów. Na internetowym portalu Allegro kolekcjonerzy wystawiają na licytacje ich opakowania. Można tam znaleźć ogłoszenia: „Wyrób czekoladopodobny »Popularna Śmietankowa« – trzy opakowania firmy ZPC 22 Lipca d. E. Wedel. Aktualna cena 3 złote".

– Były produkty bardziej i mniej udane. Ale nie mamy czego się wstydzić. W PRL-u nie było skąd wziąć ziarna kakaowca. Fabryka nie miała na to wpływu, a na opakowaniach wyraźnie zaznaczała, co sprzedaje. Robiła, co mogła. Dlatego wśród Polaków nie zmienił się pozytywny odbiór marki Wedel – uważa Paweł Szcześniak.

KAPELUSZ Z TEKSASU

Po upadku PRL-u fabryka powróciła do starej nazwy – E. Wedel (początkowo z dopiskiem „d. 22 lipca"). Jej prywatyzacja i wejście na giełdę stało się symbolem powrotu do Polski kapitalizmu.

W lipcu 1991 roku minister prywatyzacji Janusz Lewandowski sprzedał Wedla amerykańskiemu koncernowi Pepsi Co. Umowa sprzedaży została podpisana na Zamku Królewskim w Warszawie. Gazety odnotowały, że dziennikarze i zaproszeni goście pokłócili się o przygotowane dla nich słodycze.

22 października 1991 roku „Gazeta Wyborcza" relacjonowała pierwsze dni w sprywatyzowanym Wedlu:

Każdy pracownik kwitował na liście imiennej odbiór papierowej torby z napisem Pepsi Co, długopisu firmowego i puszki pepsi. Prezes z Teksasu podarował prezesowi wedlowskiemu kowbojski kapelusz. – Witamy w rodzinie – powiedział.

Ale prywatyzacja Wedla do dzisiaj jest uważana za kontrowersyjną. Po pierwsze, całkowicie zignorowano dziesięciu spadkobierców Jana Wedla. Po drugie, Pepsi Co, któremu sprzedano fabrykę, zupełnie nie interesowały czekolada ani słodycze.

Spadkobiercy Wedla wygrali proces o prawo do posługiwania się jego nazwiskiem. Po tym jak Sąd Najwyższy odesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia, zawarli ugodę z Pepsi Co. Koncern musiał im słono zapłacić.

Natomiast Amerykanie zakupili Wedla wyłącznie dlatego, że potrzebowali jego sieci dystrybucyjnej, aby wprowadzić na nasz rynek chipsy i chrupki z ziemniaków i kukurydzy. Gdy je wprowadzili, wybudowali ich fabrykę w Grodzisku Mazowieckim. Natomiast Wedla pokawałkowali na części i pozbyli się z zyskiem.

W 1991 roku za 40 procent akcji Wedla zapłacili 25 milionów dolarów. W 1998 roku za samą fabrykę czekolady na warszawskiej Pradze, przy której pozostała nazwa E. Wedel, wzięli 76,5 milionów dolarów. Osobno sprzedali pozostałe filie, między innymi fabrykę Delicji w Płońsku, które straciły markę Wedel.

Dyrektor Szcześniak o prywatyzacji z 1991 roku wypowiada się dyplomatycznie.

– Nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy Wedla, gdyby jej nie było. Oczywiście wolelibyśmy mieć te części firmy, które straciliśmy. Ale na to już nie mamy wpływu – mówi.

PAWEŁEK WYBIERA SIĘ NA EURO

Fabrykę czekolady odkupiła brytyjska firma Cadbury o ponad stuletniej tradycji w produkcji słodyczy. Wydawało się, że pozostanie właścicielem Wedla przez lata. Nikt nie przewidywał, że w 2010 roku sama stanie się ofiarą przejęcia. Wykupił ją Kraft Foods, gigant spożywczy z USA.

Kraft Foods produkuje czekolady Milka oraz Alpejskie Mleczko – wyrób, który przypomina Ptasie Mleczko. Gdyby wraz z Cadbury przejął Wedla, powstałby w Polsce czekoladowy monopol. Tak przynajmniej uznała Komisja Europejska i postawiła warunek: jeśli Kraft chce przejąć Cadbury, musi pozbyć się Wedla.

W ten sposób w 2010 roku Wedel po raz kolejny zmienił właściciela. Tym razem kupiła go japońsko-koreańska Grupa Lotte. Ma siedzibę w Tokio i jest największym w Azji producentem gumy do żucia. „Polska

będzie pełnić dla nas funkcję centrum ekspansji na Europę” – ogłosił Takayuki Tsukuda, dyrektor generalny Lotte.

– Bycie częścią globalnego koncernu bardzo pomaga – potwierdza dyrektor Szcześniak.

Rzeczywiście, Grupa Lotte zakupiła działkę w Świdnicy na Dolnym Śląsku pod budowę nowej fabryki. A Wedel zaczął wydawać coraz więcej na reklamę swoich słodyczy. Został narodowym sponsorem Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej Euro 2012.

– Pawełek będzie oficjalnym batonem Euro – szczycił się dyrektor Paweł Szcześniak w trakcie rozmowy przed rozpoczęciem mistrzostw.

Pawełek pochodzi z PRL-u. Wymyślono go w 1982 roku, w czasach największego kryzysu. Przetrwał i skutecznie rywalizuje z Marsem, osławionym konkurentem z zagranicy. Ale to nic dziwnego. Wedel to wciąż jedna z najbardziej rozpoznawalnych polskich marek.

W 2012 roku „Lubię to!” zadeklarowało na Facebooku na oficjalnym profilu „E. Wedel” ćwierć miliona internautów (latem roku 2014 jest ich niemal 600 tysięcy). Paweł Szcześniak komentuje:

– Ludzie lubią nas, bo pamiętają Jana Wedla oraz wiedzą, że to był dobry człowiek. Produkował czekoladę po to, aby sprawiać im przyjemność.

ROZDZIAŁ 10

ZAGADKA ZNIKAJĄCEGO CUKRU

MICHAŁ MATYS

Cukru w PRL-u pożądano w szczególny sposób. Był to pierwszy towar sprzedawany na kartki. Jaką tajemnicę krył cukier? Jakie było jego drugie życie?

– Niestety ludzie nie potrafią żyć bez cukru – przedstawia mi swoją teorię profesor Zbigniew Messner, premier, ekonomista, który w latach 1985–1988 bezskutecznie próbował zreformować gospodarkę PRL-u.

– Jeżeli na rynku nie było niczego innego, to dziecko mogło dostać chociaż chleba z cukrem – opowiada Mirosław Łakomy z zarządu Kutnowskiej Hodowli Buraka Cukrowego.

– A za butelkę wódki czy kilogram cukru można było więcej załatwić niż za równowartość tych towarów w złotówkach – przypomina Łakomy.

– W PRL-u żyli jeszcze ludzie pamiętający II wojnę światową. Wiedzieli, że jeżeli będzie naprawdę źle, cukier może stać się czymś w rodzaju waluty – tłumaczy profesor Wojciech Morawski z Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Cukier był towarem strategicznym. W latach 80. w polskich sklepach rozgrywały się bitwy o cukier. Dokumentują to wpisy do książek skarg i zażaleń, które w PRL-u były na wyposażeniu każdego sklepu.

Skarga z 1983 roku:

Nie chciano sprzedać mi szampana, choć pijanemu jegomościowi sprzedano w tym czasie wino. Dlaczego? Bożena Zycholak.

Wyjaśnienie kierowniczki:

Zacznę od początku. O godz. 14.00 przywieziono do naszego sklepu cukier, który miał być sprzedawany bez kartek. Wieść szybko rozeszła się po mieście i spowodowała szturm. Do godz. 18.00 sprzedaliśmy 4 tony. Na moich oczach rozgrywała się prawdziwa bitwa. Jednocześnie musiałam policzyć utarg. W tym kotle wywiesiłam więc na dziale z alkoholem kartkę jakąkolwiek, nie patrząc nawet co tam napisane, że przerwa albo remanent i uciekłam na tyły na zaplecze. Była godz. 18.50, kiedy do mojego pokoju wszedł pijany olbrzym. Domagał się wina. Nie targowałam się, bo na biurku miałam rozłożone 13 milionów. Podałam mu butelkę. Zobaczyła to klientka, której już obsłużyć nie mogłam i się wpisała.

Skarga z 1988 roku:

Chciałam kupić kilogram cukru i kawę, pokazując legitymację II grupy inwalidztwa. Pani ze stoiska cukierniczego nie chciała mnie obsłużyć poza kolejnością. Wreszcie, gdy mnie załatwiała, cały czas ubliżała, co spowodowało podburzenie stojących w kolejce ludzi. Na skutek jej zachowania jakiś wulgarny typ wyrwał mi kawę i wrzeszczał do ucha, że ma w dupie moją legitymację inwalidzką. Stanisława Ostrowska.

Skarga z 1983 roku:

Zamiast 3 kg cukru ekspedientka sprzedała mi 3 kg mrówek faraona.

Wyjaśnienie kierowniczki:

Klient był w stanie nietrzeźwym.

PIERWSZY PODEJRZANY: BURAK

A kiedy cię pocałuję,
Trzy dni w gębie cukier czuję.
(Jan Kochanowski)

Pierwsza hipoteza, dlaczego w PRL-u brakowało cukru, głosiła, że to wina buraków cukrowych, które zawierały zbyt mało cukru. Problem stał się przedmiotem dowcipów w komediach kręconych w tamtych latach.

„Profesor”, grany przez Mieczysława Czechowicza w komedii „Poszukiwany, poszukiwana” z roku 1972, w reżyserii Stanisława Barei, tłumaczy:

Ja pracuję nad doniosłym wynalazkiem! Chodzi o potwierdzenie procentu cukru w cukrze w zależności od podziemnego promieniowania na tym terenie. A dzięki mojemu wynalazkowi dojdzie do tego, że w ogóle nie trzeba będzie sadzić buraków na cukier. Tyle będzie cukru w cukrze!

Aby wyjaśnić problem, pojechałem do Kutnowskiej Hodowli Buraka Cukrowego. Mirosław Łakomy z zarządu spółki – potentata w uprawie buraków – zaprosił mnie na pole. Zielone buraczane liście widać po horyzont.

Łakomy wyrywa pierwszą z brzegu roślinę.

– Wygląda podobnie jak burak uprawiany 25 lat temu. To nie jest przyczyna niedoborów cukru w PRL-u. Ta roślina jest niewinna. Winny jest ówczesny przemysł cukrowniczy – tłumaczy Łakomy.

PRL był prawdziwym buraczanym mocarstwem. Na wsi kto żyw uprawiał buraki cukrowe. W archiwach TVP znalazłem relację z kampanii buraczanej. Jest koniec lat 70., pole w jednym z PGR-ów (tak nazywano w skrócie Państwowe Gospodarstwa Rolne). Młoda blondynka wykopuje motyką buraki. Podchodzi do niej reporter.

– No to widzę, że pani tu świetnie idzie. Równie dobrze jak w oborze i chlewni, co, pani zootechnik?

– Przyzwyczaiłam się…

– Bo robota ciekawa na tyle?

– Bardzo ciekawa, urozmaicona.

Buraki rosły na powierzchni grubo ponad pół miliona hektarów. Dwu-, trzykrotnie większej niż obecnie. Dlaczego mimo to cukru nie przybywało?

– Ludzie znający się na rolnictwie mówią o tym, że władza zabrnęła w buraki, które pozwalały wykonać plan. Tworzyły dużą masę, natomiast było w nich mało cukru. To był błąd planistyczny – mówi profesor Wojciech Morawski, historyk gospodarki ze Szkoły Głównej Handlowej.

W jaki sposób cukier „znikał” z buraków?

– Po dostarczeniu do punktu skupu buraki czekały na przerób. Zdarzało się, że leżały przez trzy miesiące. Wiadomo, że wtedy traciły swoją masę i biologiczną zawartość cukru – wyjaśnia zagadkę Mirosław Łakomy.

Jeśli było sucho, wysychały. Jeśli padał deszcz, gniły. Cukrownie nie były w stanie w krótkim czasie przerobić tak dużej ilości buraków.

– Zdarzało się, że kampania buraczana przeciągała się do stycznia czy lutego. Gdy zima była mroźna, burak zamarzał i stawał się kamieniem, a gdy mrozy ustawały, zamieniał się w pulpę – opowiada Łakomy.

– Połowa, a czasami większa część zbiorów ulegała takiej degradacji, że z punktu widzenia technologicznego nie powinna być przerabiana – dodaje.

W archiwach TVP oglądam „Dziennik Telewizyjny" z lat 80. Kampania cukrownicza to temat dnia. Dyrektor cukrowni pokazuje reporterowi hałdę buraków.

– Mnie ten burak bardzo smuci, ponieważ został ogłowiony kilka dni wcześniej i do dzisiaj stracił już bardzo dużo buraka. Przede wszystkim odrosły już nowe liście, a główka buraka zaczyna gnić. One wszystkie są porośnięte, bo były za wcześnie ogłowione. I to jest nasza udręka w tej chwili…

– Ile mniej cukru może być z tych buraków?

– Około 20 procent.

Kazimierz Kobza ze Związku Plantatorów Buraka Cukrowego twierdzi, że przemysł był rozliczany wyłącznie z ilości kupionych buraków, a nie z uzyskanego z nich cukru.

– Rolnik je uprawiał, mimo że władza miała go w pewnej części ciała – żartuje Kobza.

Plantatorzy często dostarczali buraki cukrowniom, aby otrzymać je z powrotem jako przerobione odpady, tak zwane wysłodki.

– To bardzo dobry materiał na paszę. Po zakiszeniu karmiono nimi bydło – mówi Kobza.

Wniosek jest krótki: buraki, z których miał być cukier, zjadały… krowy i świnie.

DRUGI PODEJRZANY: ZWIĄZEK RADZIECKI

Herbata od mieszania nie zrobi się słodsza,
w tym celu należy dosypać cukru.
(Zygmunt Mycielski)

W powszechnym przekonaniu cukier – jak wszystkie inne brakujące towary – Polska eksportowała do Związku Radzieckiego.

– Ludzie w ogóle nie mieli tam cukru. Gdybyśmy oddali im wszystko, to też by wzięli – uważa Kazimierz Kobza.

Historyk gospodarki profesor Wojciech Morawski mówi co innego.

– Cukier to nie był podstawowy towar, za pomocą którego byliśmy eksploatowani przez Związek Radziecki. Były bardziej ewidentne przypadki. Na przykład wysyłaliśmy tam statki – twierdzi Morawski.

Na podobnej zasadzie Polacy wierzyli, że mieszkańcy Związku Radzieckiego zjadają im wędliny.

– W latach 80. krążył dowcip o świni, która modli się, żeby chociaż serce w kraju zostało. Ale to była przesada – wspomina Morawski.

– Cukier? Nie przypominam sobie. Jeżeli nawet eksportowaliśmy go do Związku Radzieckiego, to na pewno nie w takich ilościach, które mogłyby zaważyć na rynku – zapewnia profesor Zbigniew Messner.

– To są mity, proszę pana! – twierdzi.

W rzeczywistości znacznie większe ilości cukru PRL eksportował w przeciwnym kierunku – na Zachód. Na początku lat 70. stało się to bardzo opłacalne. Cena cukru na zachodnich giełdach sięgała wówczas ponad 1000 dolarów za tonę. Jak na polskie warunki była to zawrotna suma – równowartość samochodu Fiat 126p.

W zamian za cukier władze PRL-u mogły otrzymać wymienialną walutę, której wciąż im brakowało. Polski złoty był w świecie niewymienialny na obce waluty. Dlatego władze podjęły decyzje o zwiększeniu eksportu cukru. Ale cukrownie nie były w stanie wyprodukować tyle, aby wystarczyło na eksport i dla wszystkich w Polsce.

– To był błąd, że w Polsce po II wojnie światowej nie rozwijano produkcji cukru – uważa Kazimierz Kobza ze Związku Plantatorów Buraka Cukrowego.

Zbigniew Messner tłumaczy, że w bloku państw komunistycznych panował „socjalistyczny podział pracy”.

– Poszczególne kraje zobowiązały się do dostarczania niektórych swoich produktów dla całego bloku. Kuba była dostarczycielem cukru oraz grejpfrutów, zresztą niedobrych… – opowiada były premier.

Gdy w 1959 roku na Kubie wybuchła rewolucja i władzę objął Fidel Castro, Związek Radziecki postanowił go wesprzeć. Zadecydował, że

państwa komunistyczne powinny mu pomóc w zwiększeniu uprawy trzciny cukrowej. W zamian Castro miał zapewnić cukier dla całego bloku komunistycznego.

– Ale Kuba nie była w stanie wyprodukować wystarczającej ilości cukru. W końcu to mała wyspa – uważa Kobza.

– Kubańskiego cukru nie było dużo, w PRL-u pojawiał się od czasu do czasu. Ale wyraźnie różnił się od polskiego i miał gorszą opinię. Generalnie ludzie nie akceptowali cukru z trzciny – wyjaśnia Morawski.

– Cukier trzcinowy jest inny: brązowy i podobno zdrowszy od buraczanego – białego. Tak mówią lekarze. Na stare lata sam zacząłem go kupować – mówi Zbigniew Messner.

Twierdzi jednak, że w PRL-u dostawy brązowego cukru z Kuby były znikome.

– Nie mogły załatać wielkiej dziury w Polsce – przyznaje.

Krach nadszedł w 1976 roku – partia komunistyczna postanowiła wprowadzić kartki na cukier.

Wszystko zaczęło się 24 czerwca 1976 roku. W Sejmie wystąpił premier Piotr Jaroszewicz i zapowiedział drastyczne podwyżki cen żywności, przede wszystkim właśnie cukru i mięsa. Następnego dnia na ulice wyszli robotnicy, którzy zaprotestowali – w Radomiu i Ursusie doszło do zamieszek.

A w całej Polsce ludzie rzucili się na cukier.

– Wykupili wszystkie zapasy ze sklepów. Dochodziło do paradoksów – w magazynach był cukier, ale nie można było go dostarczyć do sklepów, bo brakowało samochodów – opowiada Mirosław Łakomy.

– Najbardziej aktywni stali się ci, którzy urodzili się przed wojną. Traktowali cukier jako dobro, które gromadzi się w razie zagrożeń. Lepiej mieć 10 kilogramów za dużo, niż gdyby miało go zabraknąć. Nie zepsuje się, najwyżej przerobi się go na wino lub coś innego… – tłumaczy Łakomy.

– Cukier można trzymać! Mąki nie można, bo się zalęgną tak zwane mole żywnościowe. A w cukrze nic się nie zalęgnie. Wystarczy położyć w suchym miejscu – przyznaje były premier Zbigniew Messner.

– Wiadomo było, że cukier to dobry interes. Kto mógł, to kupował. Bo za chwilę będzie podwyżka albo coś się stanie i trzeba kupić na zapas – dodaje Wojciech Morawski.

Protesty w Radomiu i Ursusie brutalnie stłumiono. Ale dzień po ich wybuchu – 25 czerwca – premier Jaroszewicz w przemówieniu telewizyjnym odwołał podwyżki. Miesiąc później, 25 lipca 1976 roku, wprowadzono kartki na cukier.

– Po roku 1976 podwyżki stały się dla rządzących tematem tabu, którego najlepiej nie ruszać. Bombą, która może wybuchnąć! Dla wyrównania popytu i podaży ratowano się kartkami – mówi Messner.

– Ale po wprowadzeniu kartek wzrost spożycia cukru był jeszcze wyższy. Kupowali wszyscy. Każda babcia emerytka, która jeśli nawet nie zamierzała kupować cukru – gdy miała kartkę, to poszła, kupiła go i wstawiła do szafki – opowiada były premier.

Rok 1976 stał się jednym z przełomowych w historii PRL-u. Powodów było kilka. W lutym Edward Gierek, przywódca Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, zażądał, aby Sejm uchwalił w konstytucji poprawki o „przewodniej roli" partii oraz o sojuszu PRL-u ze Związkiem Radzieckim. W czerwcu na ulice wyszli robotnicy. Poparli ich opozycyjni intelektualiści, którzy we wrześniu założyli Komitet Obrony Robotników. Ale wtedy nikt nie zdawał sobie z tego sprawy – w tym czasie peerelowska telewizja informowała, że na XIV Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu recital dała Zdzisława Sośnicka oraz że na igrzyskach olimpijskich w Montrealu polska reprezentacja zdobyła 26 medali.

Dziś nikt nie pamięta, że właśnie wtedy wprowadzono kartki na cukier – na długo przed kartkami na mięso. Od cukru zaczął się upadek gospodarczy PRL-u.

Edward Gierek musiał jeździć po Polsce i tłumaczyć się z wprowadzenia kartek na cukier. Telewizja Polska transmitowała jego spotkanie z robotnikami zakładów lotniczych w Mielcu.

„Bilety towarowe w ogóle traktować należy – towarzysze – jako metodę doraźnej, przejściowej reglamentacji. Jak chodzi o cukier, to przecież myśmy byli zmuszeni do wprowadzenia biletów. My traktujemy to jako rozwiązanie konieczne… A nie delektujemy się tym!" – przekonywał Gierek, popijając herbatę z cukrem ustawioną na mównicy.

Ale wbrew zapewnieniom Edwarda Gierka na początku lat 80. jego następcy wprowadzili kartki na mięso. A krótko po nich – na większość podstawowych artykułów potrzebnych do życia.

– Nie miałem w tym udziału – zapewnia Zbigniew Messner.

– Kartki były nonsensowne! Gdy wprowadzono je na buty, to konałem ze śmiechu. Jeśli na przykład ktoś nosił numer 43, przychodził do sklepu i krzyczał: „Zamienię kartki na numer 43”. Przecież to bzdura! – wspomina były premier.

Według niego za pomocą kartek można było regulować sprzedaż mięsa czy cukru, ale to niczego nie rozwiązywało.

TRZECI PODEJRZANY: BIMBER

Cukier krzepi…, wódka lepiej
(Melchior Wańkowicz)

Były premier Zbigniew Messner jest przekonany, że cukru brakowało na rynku, bo masowo wykupywali go bimbrownicy.

– Tak brzmiała oficjalna wersja. Ale ja ją potwierdzam. Wiele osób nielegalnie pędziło bimber. A z cukru okazywał się najlepszy, bo cukier był tani – twierdzi Messner.

– Cukier w socjalizmie miał podwójną naturę. Był jak Dr Jekyll i Mr Hyde. Z punktu widzenia sporej części społeczeństwa stanowił artykuł pierwszej potrzeby i powinien być możliwie tani. Z punktu widzenia innej części społeczeństwa był surowcem do produkcji bimbru – mówi Wojciech Morawski.

Historyk tłumaczy, że monopol na produkcję wódki miał państwowy Polmos. Dochody Polmosu przynosiły aż 10 procent budżetu PRL-u! Aby je zwiększyć, władze chciały podnieść cenę wódki. Ale obawiały się, że jeśli jednocześnie nie podniosą cen cukru, bimbrownictwo stanie się zbyt rentowne i zacznie jeszcze szybciej się rozwijać. W efekcie dochody Polmosu zamiast wzrosnąć spadną jeszcze bardziej.

Problem miało rozwiązać wprowadzenie kartek na cukier.

– Miesięcznie dostawało się kartkę na 2 kilogramy cukru po 10,50 złotych. Można było go kupić w większej ilości, ale po 26 złotych – opowiada Morawski.

Nie powstrzymało to jednak bimbrowników. W latach 80. wybuchł w Polsce kryzys gospodarczy i wprowadzono kartki na wódkę. Domowa

produkcja samogonu rozkwitła jak nigdy.

– W sytuacji rozchwiania systemu monetarnego bimber przejmuje funkcje pieniądza. Jest podzielny na mniejsze części, łatwo można wydawać reszty oraz jest zestandaryzowany, bo nie ma lepszego i gorszego bimbru. Można nim płacić i oceniać wartość różnych rzeczy – wyjaśnia Morawski.

Rządowy „Dziennik Telewizyjny” w głównym wydaniu donosił o obławie na bimbrowników. Reporter propagandysta udał się z funkcjonariuszami Milicji Obywatelskiej pod Warszawę – w okolice linii kolejowej do Lublina. Zatrzymywały się tam pociągi specjalnie po to, aby konduktorzy i pasażerowie mogli kupić bimber pędzony przez okolicznych mieszkańców.

– W sąsiedztwie stacji kolejowej Sobolew w powiecie Garwolin leży wieś Milanów. W ciągu ostatnich lat wielu mieszkańców wsi ukarano za nielegalny wyrób alkoholu. Towarzyszymy dziś kolejnej akcji MO – relacjonuje reporter.

Potem przesłuchuje gospodynię mieszkającą przy torach. Gospodyni opowiada, jak ktoś przyszedł do niej po alkohol.

– On mi mówi: „Niech mi pani przyniesie trzy litry bimbru…”. A ja struchlałam.

– Kto zadawał pytanie?

– Kierownik pociągu! One stale się opóźniały. Bo wysiadali i brali bimber.

– A kto koło torów sprzedaje ten bimber?

– Marciniak Wanda… – mówi gospodyni i zasłania ręką usta, zawstydzona, że doniosła na sąsiadkę.

Kolejna sekwencja. Milicyjny pies na polu buraków.

– Szukaj! – zachęca milicjant.

Pies wygrzebuje z buraków bańkę po mleku.

– Zobaczymy co w niej jest. Bimber! – triumfuje milicjant.

W 1985 roku wprowadzono zaostrzone kary dla bimbrowników. Jeśli wytwarzali większe ilości bimbru, groziło im więzienie bez możliwości zawieszenia kary.

– Kampanie antybimbrownicze wszczynał już Władysław Gomułka. Powrócił do nich generał Wojciech Jaruzelski – mówi Wojciech Morawski.

Generał wypowiedział wojnę bimbrownikom. Wydał rozkaz, aby Milicję Obywatelską wsparły Wojskowe Grupy Operacyjne. Krążyły po wsiach i lasach w poszukiwaniu siedzib bimbrowników.

Propaganda starała się, jak mogła, aby nagłośnić ich sukcesy. Spektakularne zatrzymania miały zniechęcić do pędzenia bimbru.

–Tu wśród wiekowych buków i dębów trzej panowie, zdecydowani przeciwnicy państwowego monopolu spirytusowego, aczkolwiek bynajmniej nie abstynenci, we własnym zakresie postanowili zaspakajać pragnienie. Milicja skonfiskowała niezbyt skomplikowaną aparaturę oraz system alarmowy w postaci sznurka, o który przewracać się mieli niezapowiedziani goście

– relacjonował jedno z zatrzymań „Dziennik Telewizyjny”.

Generał Jaruzelski niewiele jednak wskórał. A bimber pędziła także opozycja polityczna.

– Jeszcze z czasów wojennych pozostał stereotyp, że prawdziwy konspirator, po pierwsze, konspiruje, a po drugie, pędzi bimber. Pamiętam postacie z lat 80., które starały się sprostać takiemu wizerunkowi – żartuje Wojciech Morawski.

Przemysław Gintrowski, muzyk związany z podziemną Solidarnością, śpiewał w jednej ze swoich pieśni:

Gdy tak siedzimy nad bimbrem, Ojczyzna nam umiera,
piją w celach koledzy, wolno się kręci powielacz.
Drukujemy ulotki o tym, że jeszcze żyjemy,
grozi nam za to wyrok 10 lat więzienia.
Gdzieś niedaleko patrol jednego z nas zatrzymał,
pijemy jego zdrowie, w więzieniu to mu się przyda.

Gintrowski opowiada, jak sam pędził bimber – zwykle w czasie gry w brydża. Potrzeba do niej czterech osób. Ale w pewnym momencie jedna z nich musi wyłożyć karty na stół i wyłączyć się z gry.

– Mówi się, że ten ktoś to jest „dziadek”. Miał u nas jedno zadanie, szedł do kuchni i dopatrywał tego, co tam bulgotało. A pędził się właśnie bimberek, który piliśmy w czasie gry – wspomina Gintrowski.

Produkcja bimbru u schyłku PRL-u przybrała imponujące rozmiary.

– Oficjalnie szacowano, że 30 procent alkoholu na rynku pochodziło z nielegalnego źródła. W rzeczywistości mogła to być nawet połowa. Bo w PRL-u zwykle zaniżano niekorzystne statystyki. Zależność była

oczywista: im mniej cukru na rynku, tym więcej bimbru wyprodukowanego za pomocą domowej aparatury – mówi Krzysztof Bil-Jaruzelski, pomysłodawca Muzeum Bimbrownictwa, które powstało w 2009 roku w Białymstoku (zbieżność nazwisk z generałem Jaruzelskim jest przypadkowa).

Muzeum Bimbrownictwa bardzo szybko zapełniło się kadziami i aparatami do destylacji. Niektóre przypominały bardziej wyposażenie fabryk niż urządzenia do domowego użytku. Większość działała w białostockich lasach wiele lat po upadku komunizmu.

– Ci, którzy pędzili bimber, byli jednymi z pionierów wolności gospodarczej i konkurencji w Polsce. Nasze muzeum może być nie tylko atrakcją dla turystów, ale także miejscem nostalgicznych spotkań dla ludzi, którzy zajmowali się tym w czasach PRL-u – uważa Bil-Jaruzelski.

Kartki na cukier zlikwidowano 1 listopada 1985 roku. Zdecydował się na to Zbigniew Messner, wówczas wicepremier do spraw gospodarczych. Na konferencji prasowej przyznał, iż „był paniczny strach” przed odejściem od reglamentacji cukru, bo rząd obawiał się, że ludzie „rzucą się na cukier”.

– Mieliśmy oczywiście przypadki, że przychodzili do sklepu i kupowali trochę tam zwiększoną ilość cukru, natomiast to było bardzo sporadyczne. Uważamy, że następuje uspokojenie rynku. I uważamy, że również należy podejść śmiało do odejścia od reglamentacji mięsa – ogłosił Messner.

Kilka dni później został premierem.

– Ciągle wierzyłem, że istnieje możliwość dokonania reform. Okazało się, że takiej możliwości nie było. Powiedzmy sobie szczerze: gospodarka socjalistyczna, centralnie zarządzana, była niewydolna. Występowały permanentne braki – wspomina po latach Messner.

Partia komunistyczna nie była w stanie przeprowadzić reform. Stało się do możliwe dopiero po upadku PRL-u.

– Bądźmy szczerzy: gdyby nie sprawy gospodarcze, nie byłoby przynajmniej części protestów, a potem zmian. Do jednej z takich przyczyn można zaliczyć brak cukru – uważa Krzysztof Bil-Jaruzelski.

– A ja jednak bym się upierał, że podłożem buntu był nasz stan psychiczny – twierdzi Przemysław Gintrowski[6].

– Być może brał się także z tego, że byliśmy już zmęczeni ciągłym kombinowaniem. Kolejki były poniżające i upadlające – dodaje.

Bimbrownicy przetrwali PRL.

– Na Białostocczyźnie mamy modę na alkohole produkowane domowym sposobem. Na Podlasiu to bardzo szanowane trunki. Do najlepszych należą Łza Korycińska oraz alkohole z okolic Gródka, Michałowa i wsi Turośl. Można dyskretnie poprosić o ich skosztowanie. Koneserzy twierdzą, że jest to mistrzostwo świata – opowiada Bil-Jaruzelski.

Sławę zyskał też Duch Puszczy, samogon pędzony w Puszczy Knyszyńskiej. Pojawił się nawet pomysł, aby zgłosić go do konkursu Podlaska Marka Roku, promującego najlepsze produkty regionu. Niestety w III Rzeczpospolitej bimbrownicy nadal muszą się ukrywać – pędzenie samogonu to wciąż przestępstwo.

ROZDZIAŁ 11

DLACZEGO SYRENKA NIE PODBIŁA ŚWIATA?

MICHAŁ MATYS

Mówili o niej „skarpeta”. Ale miała też inne wcielenie: Syrenę Sport uznano za najpiękniejsze auto „zza żelaznej kurtyny”. Czy władze PRL-u nie chciały polskiego auta?

Fabryka Samochodów Osobowych w Warszawie dostała w 1953 roku polecenie, aby wykorzystać wolne moce produkcyjne i zacząć produkcję uboczną.

„Mieliśmy odlewnię aluminium, w związku z tym zwrócono się do nas, czy nie zrobilibyśmy korpusów maszynek do mięsa” – opowiadał Edward Pietrzak, dyrektor FSO w latach 1982–1988, w filmie z cyklu dokumentalnego TVP „Zagadki tamtych lat”.

Wykonano kilkaset maszynek do mięsa.

„Ale przede wszystkim skonstruowano syrenę, pierwszy całkowicie polski samochód” – donosiła triumfalnie Polska Kronika Filmowa.

SYRENA NA PRZEKÓR STALINOWI

Aby można było rozpocząć budowę nowego samochodu, musiała zapaść uchwała na najwyższym szczeblu.

Należy zbudować popularny, oszczędzający czas środek przewozu przy wykonaniu czynności służbowych i wypoczynku, przeznaczony dla racjonalizatorów, przodowników pracy, aktywistów, naukowców i przodujących przedstawicieli inteligencji.

– uchwalił w maju 1953 roku Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, rządzącej w PRL-u partii komunistycznej.

Ciekawe było to, że uchwała zapadła tuż po śmierci Józefa Stalina, który zmusił władze PRL-u do zakupu licencji na auto z ZSRR. W 1947 roku polskie władze chciały kupić licencję od włoskiego Fiata, który oferował pomoc w budowie fabryki. Ale negocjacje zostały zerwane na osobiste polecenie Stalina, który uznał, że państwa socjalistyczne powinny się wzajemnie wspierać, a nie korzystać z pomocy kapitalistów.

W rezultacie w 1950 roku PRL kupił od ZSRR licencję na samochód GAZ-M20 Pobieda (po rosyjsku: Zwycięstwo). Było to auto wzorowane na jednym z modeli amerykańskiego Forda, który sprzedał licencję ZSRR jeszcze przed II wojną światową. W PRL-u stało się znane jako Warszawa. Aż do 1956 roku było montowane z części sprowadzanych z ZSRR.

Nowe polskie auto powstało na fali odwilży politycznej po śmierci Stalina. Wiadomość, że ma ono wejść do produkcji, wywołała entuzjazm wśród pracowników FSO. Spontanicznie nadali mu nazwę Syrena i tak już zostało.

– Mieliśmy trochę wolności, mogliśmy zrobić to, co naprawdę chcieliśmy. Było w tym trochę partyzantki, ale także tego, czego dzisiaj już nie ma: każdy chciał, żeby to jakoś poszło – wspominał w filmie dokumentalnym Wojciech Świerzewski, specjalista do spraw obsługi technicznej w FSO.

AUTO Z SIKAWKI STRAŻACKIEJ

Pierwszy prototyp syreny był gotowy na 31 grudnia 1953 roku. W zespole, który go zbudował, byli najlepsi polscy inżynierowie i projektanci. Chcieli stworzyć auto z czterosuwowym silnikiem oraz nadwoziem o nowoczesnym opływowym kształcie. Niestety, z większości śmiałych pomysłów musieli zrezygnować, bo nie dostali pieniędzy ani podstawowych materiałów. W PRL-u wszystkiego brakowało. Zbudowali auto z tego, co mieli pod ręką.

Wiele części, na przykład koła czy kierownicę, zaczerpnięto z samochodu Warszawa. Dlatego niektórzy nawet żartowali, że Syrena powstała jako uboczna produkcja przy montażu Warszawy.

Silnik skonstruował inżynier Fryderyk Bluemke, który przed II wojną światową projektował motocykle Sokół. Po wojnie pracował w Wytwórni Sprzętu Mechanicznego w Bielsku-Białej, która wytwarzała dwusuwowe silniki do pomp dla straży pożarnej. Prototypowa syrena otrzymała taki właśnie zmodyfikowany silnik od sikawki strażackiej – miał dwa cylindry, pojemność 690 centymetrów sześciennych i moc 22 KM (ostatecznie do produkcji weszła wersja o pojemności 744 centymetrów i mocy 27 KM, która pozwalała się rozpędzić do około 100 km/h).

Nadwozie miał stworzyć Stanisław Panczakiewicz, jeden z najwybitniejszych polskich konstruktorów – samochody projektował już przed wojną, a w PRL-u budował ciężarówki marki Star. Otrzymał jednak zadanie niemożliwe do wykonania. Poinformowano go, że do budowy syreny nie przewiduje się tłoczonych blach, które pochodzą z importu. Nie pozostało mu nic innego, jak zbudować nadwozie… z drewna i płyt pilśniowych. Aby nadać im lepszy wygląd, polecił pokryć je dermą.

Wycofał się z tego pomysłu po wypadku syreny w czasie testowego rajdu. Auto, które prowadził, wypadło z zakrętu i dachowało. Panczakiewiczowi nic się nie stało, ale podobno kawałki dermy, które zwisały i fruwały wokół drewnianego auta zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Dlatego postanowił wykonać nadwozie z kawałków ręcznie klepanej blachy, które łączono ze sobą pojedynczymi spawami.

DYGOTAŁA JAK MŁODA PANNA

– Klepanka-blaszanka, tak nazywaliśmy klepanie nadwozia. Grubość blachy nie zawsze była jednolita. Te blachy, spawane ręcznie, sprawiały, że Syrena w czasie jazdy cała dygotała jak młoda panna na ślubie – opowiadał inżynier Jerzy Kałwa, były szef serwisu FSO, w filmie dokumentalnym z cyklu „Zagadki tamtych lat”.

Gdy w 1957 roku ruszyła próbna produkcja, zaczęły się problemy z robotnikami. Podobno najgorsze były poniedziałki, gdy robotnicy przychodzili na kacu.

– Nadwozie spawaliśmy punktowo. Były do tego bardzo ciężkie urządzenia. Jak Józio popracował parę godzin, był zmęczony i robił co drugi spaw. Pomijał go albo przytrzymał za długo i przepalał blachę. W związku z tym wszystko się rwało – wspominał inżynier Kałwa.

Władysław Kolasa z zespołu, który pracował nad kształtem nadwozia, relacjonował w 1997 roku w „Życiu”, w jaki sposób powstawał projekt:

– Nikt nie wiedział, jak syrena ma wyglądać, więc zaczęliśmy robić gipsową makietę. Miałem do tego wprawę, bo w czasie okupacji przez pięć lat pracowałem w zakładzie stolarskim.

Według Kolasy projekt nadwozia wzbudzał skrajne emocje. Jedni zawzięcie go krytykowali, bo konstruktor „jakoś tak zrobił, że błotniki przednie łukiem opadały w dół, a reflektory prawie się tarzały po ziemi. Nikomu się to nie podobało, więc kiedy go nie było, myśmy to szybko w gipsie podnosili. Ale w końcu się poznał i miał do nas pretensję”.

Inni byli zachwyceni, bo z przodu syrena przypominała im sportowy, włoski samochód Cisitalia 202 Pinin Farina z 1946 roku, który został uznany za dzieło sztuki wzornictwa przemysłowego i trafił do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku.

PRZYJECHAŁ NAWET KIEPURA

Produkcja syreny ruszyła pełną parą we wrześniu 1958 roku. Panował wciąż entuzjazm. Przy linii montażowej w warszawskiej fabryce FSO na

Żeraniu zaśpiewał Jan Kiepura, światowej sławy polski tenor mieszkający w Nowym Jorku, który akurat przyjechał z recitalem do kraju.

Zaplanowano, że FSO będzie opuszczało 10 tysięcy syren rocznie. Ale w pierwszym roku udało się zbudować zaledwie 700, a w kolejnym – niewiele ponad 1000. Dopiero na początku lat 70. produkcja rozkręciła się do 20 tysięcy.

FSO napotkała opór Władysława Gomułki, od 1956 roku nowego przywódcy partii komunistycznej. Uważał, że syrena to zbyt luksusowe dobro dla robotnika.

– Nie zapomnę, jak towarzysz Gomułka powiedział, że klasa robotnicza nie będzie jeździła takimi samochodami – relacjonował inżynier Jerzy Kałwa.

Gomułka sprzeciwiał się nawet wydawaniu pieniędzy na modernizację samochodu Warszawa. „Mamy ważniejsze sprawy, musimy budować mieszkania, a poza tym auta te są zbyt wyszukane, burżuazyjne” – mówił w 1959 roku Gomułka w czasie wizyty w FSO.

Był zdania, że prawdziwy robotnik powinien jeździć autobusem i tramwajem.

CO TO JEST KUROŁAPA

Zbudowana za niewielkie pieniądze syrena miała liczne usterki i stała się obiektem dowcipów. Mówiono, że właściciele syren to myśliciele. Dlatego, że myślą, iż mają samochód.

Syrenę nazywano „skarpetą”, od charakterystycznej błękitnej smużki, wydzielanej przez dwusuwowy silnik, która – jak niektórzy twierdzili – śmierdziała niczym stara skarpeta.

Drzwi montowane w pierwszych wersjach syren otwierały się odwrotnie niż w większości dwudrzwiowych samochodów. Złośliwi mówili na nie „kurołapy” – gdy jechało się przez wieś, można było je otworzyć i łapać nimi kury, które same wpadały do środka. Właściciele syren bronili się, że wcale nie chodziło o kury, tylko o przechodzące kobiety.

Krążył też dowcip na temat szczelności syren i mercedesów. Aby ją sprawdzić, należało w obu autach zamknąć na noc kota. Mercedes był

szczelny, jeśli kot rano jeszcze żył, a Syrena – jeśli w środku jeszcze był.

Ale żarty nikomu nie przeszkadzały, bo w PRL-u samochód był przedmiotem marzeń i po syreny ustawiały się długie kolejki.

Podróżowanie syreną było dużym wyzwaniem, a właściciel musiał być również mechanikiem. Na szczęście do napraw nie potrzebowano wyrafinowanych narzędzi, czasem wystarczał zwyczajny drut.

Szczęśliwcy, którzy nabyli Syrenę 100, czyli pierwszą, najstarszą jej wersję, otrzymywali, dołączony do instrukcji obsługi, kategoryczny zakaz dodawania gazu na zakręcie. O tym, że nie wolno tego robić, podobno przekonał się nawet jeden z jej konstruktorów Fryderyk Bluemke.

– Jeden z kierowców Bluemkego odwoził szefa z Warszawy do Bielska-Białej. Jadą, jadą syreną przez Las Pszczyński i nagle Bluemke się ogląda: „Panie, patrz pan, ktoś zgubił koło! – To my!”. Kierowca szukał tylko miękkiej gleby, żeby się gdzieś zaorać i ujść z życiem – opowiadał w „Życiu” Władysław Kolasa.

BOHATEROWIE Z MONTE CARLO

FSO postanowiła w 1960 roku wysłać dwie syreny na słynny rajd Monte Carlo.

– Wszyscy mówili: wybieracie się z motyką na słońce! Syreną do Krakowa trudno dojechać, nie wymieniając połowy silnika czy skrzyni biegów, a co dopiero do Monte Carlo – wspominał uczestnik rajdu Stanisław Wierzba w filmie dokumentalnym z cyklu „Zagadki tamtych lat”.

W PRL-u było to wielkie wydarzenie. W Monte Carlo startował pierwszy polski samochód.

Trasa liczyła 3625 km. Trzeba było się ścigać około 41 godzin non stop. Jedna z syren prowadzona przez Marka Varisellę przekroczyła linię mety tyłem, bo zepsuła się skrzynia biegów i działał tylko wsteczny bieg.

– Staliśmy się bohaterami narodowymi – opowiadał Stanisław Wierzba.

Syreny startowały jeszcze trzykrotnie – po raz ostatni w 1964 roku. Nie udało im się zająć prestiżowego miejsca. Wzbudziły za to duże zainteresowanie w Księstwie Monako, na terenie którego leży Monte Carlo.

Stanisław Wierzba relacjonował:

– Wszystkie samochody, które kończyły rajd, ustawiane były w kolejce. Pilot prowadził całe to towarzystwo pod zamek. Siedzieli tam książę Rainier III, a koło niego księżna Grace Kelly[7]. Gdy przyszła kolej na nasze samochody, ktoś ze świty zwrócił jej uwagę i nagle się odwróciła. Odprowadziła syrenę wzrokiem, który mówił wszystko: co to jest? Wszystkie inne samochody kipiały sportem, wyposażeniem. A tu taka hulajnoga!

Na pożegnalnym bankiecie Stanisław Wierzba poznał jedną ze zwyciężczyń rajdu. Była zaintrygowana syreną i chciała ją poprowadzić. Rajdowiec opowiadał:

– Widziałem po zachowaniu samochodu, że nie opanowała prawidłowo sztuki zmiany biegów. Gdy dojechaliśmy, nonszalancko zamknęła drzwi nogą. Ale nic już jej nie mówiłem, że tak się nie robi. Powiedziała: „Wiesz co, za to, że tym – nie powiedziała samochodem – przyjechaliście tu w regulaminowym czasie, to ja dałabym wam honorowe pierwsze miejsce!”.

FRANIA NIE URATOWAŁA SYRENY

Inżynierowie z FSO próbowali unowocześnić syrenę oraz wprowadzić do produkcji nowe modele. W 1959 roku powstał prototyp siedmioosobowego Mikrobusu, a rok później dwuosobowej Syreny Sport. Zaprojektował je Cezary Nawrot, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie (późniejszy twórca nadwozi motocykla WSK i Poloneza Caro).

Kilka lat później powstała Syrena 110 – pierwszy na świecie hatchback, czyli auto z tylną klapą otwieraną do góry (oficjalnie za pierwszy uznaje się Renault 16, zaprezentowane w 1965 rok). Na pomysł wpadł inżynier Andrzej Zgliczyński. Próbował przewieźć w tylnym bagażniku pralkę Franię, ale w żaden sposób nie mógł jej tam wcisnąć. Dlatego zamiast bagażnika zaprojektował z tyłu wielką, otwieraną klapę oraz składane siedzenia.

Syrena 110 miała być nowoczesnym samochodem małolitrażowym i zastąpić pierwsze siermiężne wersje tego auta. Ale tak się nie stało. FSO

po raz kolejny nie wykorzystała szansy. Syrena 110 nigdy nie weszła do produkcji.

Zadecydował o tym Tadeusz Wrzaszczyk, dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego, późniejszy minister przemysłu maszynowego i wicepremier – jedna z najbardziej wpływowych postaci w ekipie Edwarda Gierka. Uznał, że FSO bardziej skorzysta na zakupie licencji na zachodnie auto, bo wraz z nią otrzyma dostęp do nowoczesnej technologii.

Ale równie ważne było co innego. Licencja oznaczała, że auto łatwiej będzie sprzedać za granicą, na co liczyły ówczesne władze. Dzięki temu chciały pozyskać jak najwięcej walut wymienialnych, których brakowało w PRL-u.

W rezultacie FSO kupiła licencję od włoskiego Fiata, który jeszcze przed wybuchem II wojny światowej produkował swoje samochody w Polsce.

W 1967 roku FSO rozpoczęła produkcję modelu Polski Fiat 125p, który w latach 70. stał się najbardziej pożądanym autem w PRL-u. W przeciwieństwie do syren większość fiatów była wysłana na eksport. Nic dziwnego, że w warszawskiej FSO zabrakło miejsca dla syren.

GIEREK WYSŁAŁ JĄ DO BIELSKA

Nowy przywódca partii komunistycznej Edward Gierek w odróżnieniu od Gomułki stawiał na przemysł motoryzacyjny. Zakupił od Włochów licencję na tani, mały samochód, który miał być dostępny „dla każdego Polaka”. Fiat 126p stał się symbolem lat 70. i najpopularniejszym autem w PRL. To właśnie „maluch” okazał się najgroźniejszym konkurentem syreny.

Gierek zadecydował, że fabryka „maluchów” powstanie w województwie katowickim, z którego pochodził. Postanowił rozbudować Wytwórnię Sprzętu Mechanicznego w Bielsku-Białej, gdzie produkowano silniki do syren. W ten sposób powstała Fabryka Samochodów Małolitrażowych.

Gierek uznał jednak, że syreny także będą potrzebne Polakom. Dlatego zanim w Bielsku zaczęto montować „maluchy”, ruszyła tam produkcja syren. W 1972 roku Gierek przeniósł ją z Warszawy.

„Dziennik Telewizyjny” pokazywał pierwsze syreny na linii montażowej w Bielsku i uwijających się wokół nich robotników. Relacjonował:

Wszystko odbywa się tu w biegu. Równolegle z wielką budową trwa rozruch nowej hali lakierni i montażu w Bielsku. W naszych warunkach to jeszcze niestety nie reguła, ale ta wielka hala została zbudowana i wyposażona w urządzenia zaledwie w 12 miesięcy.

Fabrykę osobiście wizytował Edward Gierek, oprowadzany przez Zdzisława Grudnia, szefa partii w województwie katowickim.

„Żywo interesowali się przebiegiem inwestycji, której przecież – jak wiemy – są głównymi inicjatorami” – przypomniał „Dziennik Telewizyjny”.

– Wszyscy wiedzieli, że mają przyjechać, jak jacyś bogowie. Trzeba było wymalować krawężniki i skosić trawkę. Były nawet stawiane specjalnie przywożone drzewa. A gdy odjechali, dalej chodziło się po kolana w błocie – opowiadał Wojciech Świerzewski z fabryki.

W Bielsku produkowano Syrenę 105. Była to już kolejna, udoskonalona wersja auta. W przeciwieństwie do poprzednich – oznaczonych numerami od 100 do 104 – miała drzwi otwierane tak jak w innych autach, z zawiasami w przedniej części nadwozia i klamkami zapożyczonymi z Fiata 125p. Powstał nawet model 105 Lux, w którym drążek zmiany biegów zamontowano w podłodze (a nie, jak dotąd, przy kierownicy) oraz można było regulować kąt oparcia przednich foteli.

Do produkcji wprowadzono też wersję dostawczą R20 – ze skrzynią na towary, oraz rolniczą Syrenę Bosto – furgonetkę do przewozu warzyw.

Paradoksalnie w Bielsku-Białej powstało więcej syren niż w Warszawie, w której zaprojektowano auto. Od 1953 roku zbudowano ich ponad 521 tysięcy, z czego w warszawskiej FSO tylko 177 tysięcy.

Ostatnia Syrena zjechała z taśmy montażowej 30 czerwca 1983 roku. Była wtedy niemal zabytkiem.

Syrena została wyparta przez „malucha” – Fiata 126. Fabryki w Bielsku i Tychach (otwarto ją w 1975 roku) wyprodukowały ponad 3 miliony 318 tysięcy „maluchów”. Produkcję wstrzymano dopiero w roku 2000.

Syrena, jak cały PRL, okazała się wieczną prowizorką. Ale była jedynym autem całkowicie polskiej konstrukcji, które weszło do masowej produkcji. W dodatku produkowano ją najdłużej spośród wszystkich aut – licząc od

powstania pierwszego prototypu – równo 30 lat. Nic dziwnego, że stała się legendą – ikoną PRL.

Historia powstania syreny była równie groteskowa jak cały PRL. Projektowali ją najlepsi polscy inżynierowie. Musieli jednak pracować w warunkach, w których inni nie byliby w stanie stworzyć niczego. Zostali skazani wyłącznie na własną pomysłowość i to, co mieli pod ręką (na początku dysponowali tylko pompą strażacką i drewnem). Dlatego nie mogli osiągnąć sukcesu.

LEGENDA PRL-U POWRACA

Syrenka była w PRL-u pierwszym autem, którego posiadanie stało się symbolem awansu społecznego osiągniętego przez właściciela. Naśmiewa się z tego awangardowy zespół muzyczny Skarpeta (jego nazwa również pochodzi od syrenki):

Jeździ bardzo szybko, całkiem dużo mocy ma,
tak to silnik motopompy daje jej ten czad,
siadasz za jej kółko, wciskasz szybko gaz,
bardzo pięknie zza jej szyby wygląda świat
Ska, Ska, Skarpeta…

W III Rzeczpospolitej pozostał po niej sentyment – najlepszy dowód, że żadne inne auto nie stało się tematem piosenek.

W 2009 roku Jerzy Kałwa, szef serwisu FSO, wspominał:

– Ten samochód, o dziwo, naprawdę jeździł w miastach, na wsi, wszędzie! Kiedyś spotkałem Syrenę 104 na prowincji. Łza mi się w oku zakręciła, jak mogło coś takiego wytrzymać tyle lat.

Kilka lat temu członkowie Automobilklubu Beskidzkiego z Bielska-Białej ogłosili akcję „Uratuj Syrenkę!”. Szukają jeszcze zachowanych aut oraz ich części. Chcą, aby przetrwało ich jak najwięcej.

Z kolei automobiliści z Włocławka odważyli się na start zabytkową syrenką w Monte Carlo – tym razem w Rajdzie Samochodów Historycznych.

Zaczął się również wyścig o to, kto najwierniej zrekonstruuje Syrenę Sport, jeden z najbardziej nowoczesnych i jednocześnie tajemniczych

modeli syreny. Wiadomo o nim niewiele. Prototyp był przechowywany przez ponad dekadę w garażu w podwarszawskiej Falenicy. Na początku lat 70. władze PRL-u poleciły go zniszczyć. Powołały nawet specjalną komisję, która czuwała nad tym, aby z auta nic nie pozostało.

Zachowały się tylko nieliczne zdjęcia. Syrena Sport przypomina na nich Porsche albo Ferrari. To dwumiejscowy supernowoczesny samochód, który wyprzedzał swoje czasy. Nie ma nic wspólnego z Syreną, która produkowało FSO. Auto miało czerwoną karoserię z tworzywa sztucznego oraz silnik typu boxer, podobny do tych, które napędzały motocykle BMW.

Informacja o Syrenie Sport wyciekła też do wydawanego w Szwajcarii międzynarodowego magazynu motoryzacyjnego „Automobile Year" oraz włoskiego dziennika „Il Giorno", który napisał, że to „najpiękniejsze auto zza żelaznej kurtyny".

Podobno Syrenę Sport pokazano publicznie tylko raz – na pochodzie pierwszomajowym w 1960 roku.

– Sprawdziliśmy, że to anegdota. Rzeczywiście, pokazano ją wtedy, ale wyłącznie władzom FSO – opowiada Jan Łukasiak zajmujący się rekonstrukcją Syreny Sport na zlecenie… producenta wódki Żołądkowa Gorzka.

– Martini sponsorowało Formułę 1, a my syrenę – tłumaczy Jan Łukasiak.

Dodaje, że Żołądkowa Gorzka powstała, jak syrena, w czasach PRL-u i dlatego postanowiła ją wspierać.

Producent wódki miał jednak konkurentów, bo auto zaczęło odtwarzać niezależnie od siebie kilku innych pasjonatów. Pismo „Automobilista" doniosło, że jako pierwszy zrekonstruował je Mirosław Mazur, właściciel warsztatu samochodowego w Lublinie.

Syrenę Sport można było odtworzyć wyłącznie na podstawie rysunku technicznego zamieszczonego w… piśmie „Modelarz" z 1961 roku. Był przeznaczony dla tych, którzy chcieli sobie skleić jej miniaturowy model. To jedyna dokumentacja, która pozostała po samochodzie.

Są tacy, którzy twierdzą, że syrena to niewykorzystana szansa rozwoju polskiej motoryzacji. Być może uważają tak z sentymentu, a może rzeczywiście jest to prawda.

ROZDZIAŁ 12

CO SIĘ STAŁO Z POLSKIM BILLEM GATESEM?

PIOTR LIPIŃSKI

Genialny polski informatyk zbudował znakomity komputer. Ale władze PRL-u wolały radzieckie maszyny. Wynalazca zaczął hodować świnie. Czy Polska mogła zostać cyfrową potęgą?

– Gdyby Amerykanie skazali na śmierć cywilną Billa Gatesa, byłoby to równie absurdalne jak to, co zrobiono z Jackiem Karpińskim w Polsce – uważa Adrian Markowski[8], redaktor naczelny czasopisma informatycznego „CRN”.

– Komputery Jacka Karpińskiego miałyby pewnie większą szansę na produkcję, gdyby konstruktor należał do partii – przypuszcza Józef Tejchma, wicepremier w latach 70. ubiegłego wieku.

– To był geniusz – sądzi Diana Wierzbicka, współpracowniczka Jacka Karpińskiego. – Geniusz, który miał wizję tego, co tworzy, a innymi sprawami w ogóle się nie interesował.

Być geniuszem, to jednak za mało. Trzeba jeszcze polubić świnie.

KOCHALI SIEBIE I SZCZYTY

Miał przyjść na świat pod szczytem Mont Blanc.

– Tak wymarzyli sobie rodzice, którzy poznali się w Tatrach – wspomina Jacek Karpiński. Dziś ma 82 lata. – Kochali siebie i wspinaczkę. Każdy szczyt był dla nich nowym wyzwaniem.

Na miejsce urodzenia dziecka wybrali chatkę pod szczytem Alp. Dopiero znajomi wybili im z głowy ten szalony pomysł – Jacek przyszedł więc na świat zwyczajnie, w Turynie. Rodzice akurat byli za granicą na stypendiach naukowych.

Matka – lekarka. Ojciec – konstruktor.

Tata w młodości wymyślił dolnopłat – samolot, który skrzydła ma pod kadłubem, a nie nad nim. Ale znajomi upierali się, że nie da się czegoś takiego zrobić, ponieważ samolot przewróci się w powietrzu.

Trzy lata później taki samolot skonstruowali Niemcy.

Ojciec budował najlepsze polskie szybowce, a potem oddał się całkowicie górom: projektował nowe namioty, raki i czekany.

Zginął w 1939 roku w trakcie wyprawy w Himalaje. Kierował ekspedycją polskich inżynierów. Lawina nocą zasypała obóz.

Jacek został tylko z matką.

GANIA NIEMIEC ZA DZIEWCZYNĄ

Niedługo później matkę i syna obudziło bombardowanie. Był wrzesień 1939 roku, zaczęła się II wojna światowa.

Jacek miał wówczas 12 lat. Wokół płonęły domy. Matka, która wcześniej była łączniczką Józefa Piłsudskiego, wysłała syna do obrony przeciwlotniczej jako gońca.

Dwa lata później Jacek zawyżył swój wiek i przyjęto go do Szarych Szeregów. Uczył się konspiracji w batalionie „Zośka”.

Dowodził sekcją pierwszą, a dowódcą drugiej był słynny poeta Krzysztof Kamil Baczyński. Podczas dyżurów układali żartobliwe wierszyki:

Gania Niemiec za dziewczyną,

chce ją złapać, wieźć do Prus,
a my w niego „filipiną”,
nie zostanie nawet kurz.

– „Filipina” to był ręcznie robiony granat, znakomita broń – tłumaczy Jacek Karpiński. Podczas ćwiczeń ładunek eksplodował mu w dłoni. Ręka nigdy nie odzyskała sprawności.

Wybuchło Powstanie Warszawskie. Pierwszego dnia – okrążenie. Dwudziestu powstańców w budynku. Kilka sztuk broni. Niemców – kilkuset. Czołg. Huk. Kurz. Nawała ognia. Połowa powstańców zginęła.

Karpiński dostał z pistoletu maszynowego. Dużą kulę, kaliber dziewięć. Z góry. Z szóstego piętra. Kula przeszła wzdłuż kręgosłupa. Aż do miednicy.

Upadł sparaliżowany.

Półtora roku zależał od innych – nie mógł sam powstać z łóżka.

WRÓG LUDU

Po wojnie na nowo uczył się chodzić. Najpierw o dwóch laskach.

– Ćwiczyłem w górach, codziennie wspinałem się coraz wyżej – opowiada Jacek Karpiński. – Pewnego dnia dotarłem na Orlą Perć i tam na grani wyrzuciłem jedną laskę na czeską stronę. Powiedziałem sobie, że teraz będę chodzić, podpierając się tylko jedną.

Ćwiczyłem dalej. Rok później poszedłem w to samo miejsce w górach i odrzuciłem drugą laskę.

Kiedy już znowu potrafił chodzić, musiał wybrać drogę w życiu.

– Po maturze zastanawiałem się, co robić w życiu – wspomina. – Bardzo lubię muzykę i chciałem zostać kompozytorem. Ale również chciałem być elektronikiem. Albo chemikiem. Bo to zawody, w których można dużo wynaleźć.

W ówczesnej Polsce mógł wybrać zawód, ale nie miejsce pracy. Kiedy skończył politechnikę w 1951 roku, dostał nakaz zatrudnienia[9] w Centralnym Laboratorium Polskiego Radia. Z suwmiarką w kieszeni rozpoczął dorosłe życie. Dzień później przybiegła kadrowa z krzykiem:

„Co pan tutaj robi?! Pan jest szpiegiem! To dywersja! Sabotaż! Wróg ludu! Precz mi stąd!”.

Wyrzucano go z trzech kolejnych zakładów, bo komuniści akurat uznawali żołnierzy batalionu „Zośka” za szpiegów, zdrajców i dywersantów – byli AK-owcy trafiali do więzień.

Nigdy nie pomyślał, żeby uciekać na Zachód. Nie po to walczył w podziemiu, żeby opuszczać Polskę, nawet jeśli rządzili nią komuniści.

W jego pokoleniu o patriotyzmie rozmawiano równie często, jak dziś w Polsce o pieniądzach.

AKAT-1

Umarł Stalin, potem Bierut, więc Jacek Karpiński przestał być wrogiem ludu. Dostał angaż do Instytutu Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk. Wtedy rozkochał się w komputerach – maszynach, które dla większości ludzi na świecie były wówczas czymś tak abstrakcyjnym, jak dziś podróże z prędkością światła.

Pracownia otrzymała zlecenie od Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego, żeby zrobić urządzenie do wspomagania prognozowania pogody. Jacek Karpiński skonstruował maszynę matematyczną, dzięki której sprawdzalność prognoz poprawiła się o 10 procent. A w 1957 roku zbudował pierwsze w świecie urządzenie matematyczne do rozwiązywania równań różniczkowych: AKAT-1.

– Kiedy dziś patrzymy na jego wynalazki, musimy przyznać, że rzeczywiście wyprzedzał zagraniczne konstrukcje – twierdzi profesor Maciej Sysło, historyk informatyki na Uniwersytecie Wrocławskim. – Ale jego największe osiągnięcia przypadały na okres realnego socjalizmu czy też komunizmu w Polsce. To był czas bardzo trudny dla takich indywidualności jak on.

Diana Wierzbicka, współpracowniczka Jacka Karpińskiego, zapamiętała:

– Jeżeli był rozczarowany, to nigdy tego nie pokazywał. To był człowiek twardy, zawsze uśmiechnięty. Zawsze wierzył, że coś się jeszcze w życiu odmieni, że coś jeszcze da zrobić.

Po latach stał się pierwowzorem bohatera powieści „Lot ku ziemi” Romana Bratnego. Literat opisywał jego charakter: „Człowiek, który nie chciał, aby ktokolwiek deptał mu po głowie, jak powiedział, wybierając sobie mieszkanie na najwyższym piętrze. (…) To, co zadecydowało o wszystkim na zawsze: udział. To była jego obsesja: brać udział, być”.

AKAT-1 stał się bohaterem telewizyjnym. W początkach lat 60. pokazano go jako triumf polskiej myśli technicznej. To było wielkie wyróżnienie – telewizja w Polsce dopiero zaczynała nadawanie codziennego programu. Na dokładkę AKAT-1 wystąpił w tym samym programie, co ówczesny komunistyczny przywódca kraju Władysław Gomułka. Narrator zapewniał: „Nadrobiliśmy zacofanie pokoleń. Staramy się dotrzymać kroku tym, co przodują. Budujemy już całkowicie w kraju maszyny matematyczne, zwane popularnie mózgami elektronowymi”.

UNESCO ogłosiło konkurs młodych konstruktorów, do którego zgłoszono 200 kandydatów z całego świata. Dzięki skonstruowaniu AKAT-1 Jacka Karpińskiego zgłoszono jako polskiego kandydata. Specjalna komisja egzaminowała wszystkich, aby wyłonić sześciu zwycięzców.

– Tak się złożyło, że ja byłem wśród tych sześciu – wspomina Jacek Karpiński.

Zwycięzcy mogli wybrać dowolny miejsce, gdzie chcieliby się dalej kształcić. Jacek Karpiński wybrał Stany Zjednoczone:

– Bo tam badania nad komputerami, a szczególnie nad sztuczną inteligencją, która mnie żywo interesowała, były najbardziej zaawansowane na świecie.

Wtedy pierwszy raz zdecydowanie odmówił, kiedy proponowano mu pozostanie za granicą. To był początek lat 60. ubiegłego wieku.

– Wyjechałem jako reprezentant Polski i Polskiej Akademii Nauk – tłumaczy. – Pozostanie za granicą w takiej sytuacji byłoby według mnie zdradą.

Amerykanie długo namawiali go do emigracji. Kusili, pokazując najbardziej zaawansowane laboratoria elektroniczne, nawet centrum badań naukowych dla armii i rządu Stanów Zjednoczonych.

W jednym z instytutów zajmujących się sztuczną inteligencją dał własny wykład.

– Szef tego laboratorium potem powiedział: „To pan ma rację, zmarnowaliśmy parę lat” – zapamiętał Jacek Karpiński. – To była duża

satysfakcja.

KAR-65

Zadowolony wrócił do kraju. I wówczas pojawili się pierwsi wrogowie.

Stefan Bratkowski, dziennikarz, zajmował się wtedy wspieraniem polskich konstruktorów. Przedstawiał ich w „Życiu i Nowoczesności”, dodatku do „Życia Warszawy”.

– Najpierw usłyszałem, że jest ktoś, kogo ściga i prześladuje profesor Stefan Węgrzyn – przypomina sobie. – I w tym momencie zainteresowaliśmy się ofiarą, ponieważ Węgrzyn, ówczesny specjalista od informatyki, nie cieszył się szczególnym uznaniem grona popularyzatorów nauki. Jego ofiarą okazał się Jacek Karpiński. Odnaleźliśmy go w piwnicach Instytutu Fizyki, konstruował właśnie komputer KAR-65.

Polscy fizycy opracowywali zdjęcia elektronów, neutronów, przysyłane ze szwajcarskiego CERN-u. Materiału było mnóstwo, a fizycy wszystko musieli robić ręcznie.

– Dyrektorem tego instytutu był profesor Jerzy Pniewski, wspaniały człowiek, prawdziwy naukowiec – opisuje Jacek Karpiński.

Profesor zapytał, czy inżynier mógłby skonstruować skaner, który odczytywałby dane ze szwajcarskich zdjęć. Karpiński się zgodził. Profesor jednak wciąż się obawiał – skaner zamówiony w innym zespole konstruktorów przygotowywano rok i nic z tego nie wyszło. Karpiński działające urządzenie wykonał w trzy miesiące.

Potem podjął się jeszcze większego wyzwania – skonstruowania maszyny, która liczyłaby dane odczytane przez ów skaner.

– Dostałem siedem etatów – podlicza Jacek Karpiński – i miejsce w piwnicy. W ciągu trzech lat zrobiłem komputer KAR-65. Był zbudowany inaczej niż wszystkie maszyny na świecie. Bo ja na prawdę nie wiedziałem, jak się buduje komputery gdzie indziej.

ZE ZWYKŁEJ ZAWIŚCI

Im więcej odnosił sukcesów, tym więcej przybywało mu wrogów. Początkowo ze zwykłej zawiści.

Tadeusz Kupniewski, współpracownik Jacka Karpińskiego, wspomina:

– Pisali anonimy do profesora Pniewskiego, że Karpiński to hochsztapler, że nic z jego konstrukcji nie wyjdzie. Jednak ku rozczarowaniu zawistnych KAR-65 okazał się świetną maszyną, która pracowała dla fizyków 20 lat. Ale Karpiński, zanim jeszcze skończył KAR-65, już miał w głowie następną konstrukcję. Komputer, który mógłby zmieścić się w walizce. To była niezwykła wizja – przecież ówczesne urządzenia zajmowały wielkie ściany w laboratoriach. Chyba tylko Karpińskiemu w połowie lat 60. mógł przyjść do głowy pomysł na komputer, który dziś wielkością porównalibyśmy do przerośniętego laptopa.

Kiedy opisał teoretycznie nową konstrukcję, zwołano specjalną komisję. Ta urzędowo orzekła, że nie da się zbudować takiego komputera. Uzasadnienie było proste – gdyby zbudowanie takiej maszyny było możliwe, to Amerykanie na pewno by ją już skonstruowali.

Jacek Karpiński usłyszał wyrok – w Polsce nikt nie będzie pracować nad jego pomysłem. Konstruktor pojechał do Londynu, w którym miał dużą rodzinę. Udało mu się znaleźć biznesmenów, którzy postanowili sprawdzić, czy jego pomysł ma jakikolwiek sens. Biznesmeni zatrudnili trzech ekspertów.

Fachowcy, dwóch Anglików i jeden Amerykanin, wpadli w zachwyt. Stwierdzili, że to najlepsza konstrukcja, z jaką dotąd się zetknęli. I że koniecznie trzeba ją produkować. Właściciel dużej fabryki z Brighton chciał natychmiast zaczynać prace w swoim zakładzie.

Ale Jacek Karpiński zdecydowanie odmówił.

– Powiedziałem, że jestem polskim patriotą i chcę pracować w kraju – tłumaczy. – Żeby ludzie w Polsce coś z tego mieli, żeby w Polsce wprowadzić nową technologię. To było niesamowite, bo angielski biznesmen natychmiast mnie zrozumiał. Powiedział mi: mów mi Michael. Ja też jestem patriotą – angielskim. Wiem, że ty w czasie wojny walczyłeś w polskim podziemiu, ja służyłem w RAF-ie. Rozumiem cię. Jesteś moim przyjacielem. Wracaj do Polski, będziemy to robić razem, Anglicy i Polacy.

KSIĘŻYCOWA KONSTRUKCJA

Przyjechał do kraju z entuzjastycznymi opiniami zachodnich ekspertów. W kraju nie zrobiły wrażenia. Komputera nie zamierzano produkować. Dla krajowych urzędników nic się nie zmieniło, przecież komisja już wcześniej ustaliła, że to „księżycowa konstrukcja”. A jak Anglicy chcą, to niech ją sobie sami produkują.

Konstruktor zaczął walczyć z biurokracją. Polskich dyrektorów i dygnitarzy partyjnych przekonywał Stefan Bratkowski – wciąż się nie udawało.

Problem polegał na tym, że Jacek Karpiński wymyślił coś oryginalnego, czyli sprawił kłopot. Bo póki pomysłów brak, to urzędnicy – partyjni i przemysłowi – nie musieli podejmować decyzji. A decyzja to przecież ryzyko. Lepiej kupować licencje za granicą, bo to sprawdzone rzeczy i urzędnik nie ponosi ryzyka. A najlepiej – niczego nie robić, poza produkowaniem urzędowych pism.

Korytarzowa, biurokratyczna batalia spowodowała jednak tak wiele szumu, że pomysłu konstruktora nie dawało się już zlekceważyć. Wreszcie polskie władze zgodziły się zapewnić konstruktorom miejsce i zapłacić pensje, a wszystkie koszty związane z dostarczaniem elementów mieli ponieść Anglicy.

O to właśnie chodziło Jackowi Karpińskiemu. Żeby komputer powstawał w Polsce. Kończyły się lata 60. ubiegłego wieku. Jacek Karpiński zaczął tworzyć zespół polskich konstruktorów.

– Wtedy ludzie nie tyle dbali o pieniądze, co cieszyli się, że mają wspaniałą i ciekawą pracę – zapamiętał Jacek Karpiński. – I poświęcali jej często nie osiem, ale dziesięć, dwanaście godzin. A jak kończyliśmy konstrukcję, tośmy spali w zakładzie w śpiworach.

Diana Wierzbicka, współpracowniczka, opowiada:

– Często zostawaliśmy do późna w nocy. Ktoś przynosił jedzenie, żeby nakarmić konstruktorów, głównie Jacka, bo on w ogóle nie myślał o jedzeniu.

Zbysław Szwaj, współpracownik Karpińskiego, wspomina:

– Był autentycznym przywódcą. Żeby cokolwiek się w życiu udało, musi istnieć taki przywódca stada. Zespół był tak zintegrowany, że nawet na

wakacje jeździliśmy razem. Do Zakopanego, żeby przy okazji omówić zawodowe sprawy.

K-202

Prototyp nowej maszyny – nazwanej K-202 – pokazano na Targach Poznańskich. Przy komputerze zatrzymał się sam Edward Gierek, ówczesny I sekretarz PZPR. Towarzyszył mu premier Piotr Jaroszewicz i cała świta komunistycznych dygnitarzy. Gierek oglądał komputer piętnaście minut – co zauważyły wszystkie gazety – a na koniec zapytał, czy konstruktorzy zdołają doprowadzić K-202 do produkcji.

– Ja go wtedy zapytałem: pomożecie? – mówi Jacek Karpiński. – A Gierek odpowiedział: „O tak, pomożemy”.

Józef Tejchma, wówczas – w pierwszej połowie lat 70. ubiegłego wieku – wicepremier, minister kultury i działacz partyjny, opisuje:

– Pamiętam w gmachu Komitetu Centralnego nastrój nadziei, że może to jest to, że może coś ważnego, polskiego, pojawi się w dziedzinie technologii. Jakiś wynalazek. Że czymś się wyróżnimy w Europie.

– K-202 był szybszy niż PC-ty dziesięć lat później – twierdzi Adrian Markowski, redaktor naczelny czasopisma „CRN”. – To coś niesamowitego. Już wtedy wykonywał milion operacji na sekundę.

Kiedy miał dziewięć lat, Adrian Markowski pierwszy raz usłyszał o niezwykłym polskim konstruktorze.

– W tym szarym, socjalistycznym świecie, w którym głównymi źródłami informacji był „Dziennik Telewizyjny” i „Trybuna Ludu”, ludzie przekazywali sobie wieść o Karpińskim z ust do ust – wspomina Adrian Markowski. – I tak przez moich rodziców historia dotarła do naszego domu. Wtedy o komputerach można było usłyszeć przedziwne historie. Któż wówczas wiedział, czym jest komputer? Jak mogli go sobie wyobrażać ludzie stojący całymi dniami w kolejkach? Jako coś wielkiego, olbrzymie ściany wypełnione tajemniczymi urządzeniami, w których kręciły się wielkie szpule. Ale co właściwie robił ten komputer? To już pewnie wiedzieli tylko nieliczni. W każdym razie Jacek Karpiński pojawił się w moim dzieciństwie jako legendarny wynalazca.

Spotkali się dopiero kilka lat temu, kiedy Adrian Markowski przeprowadził z inżynierem wywiad dla „CRN”, którego jest redaktorem naczelnym.

– Maszyna Karpińskiego była zupełnie inna niż produkowane wtedy w Polsce Odry – wyjaśnia Adrian Markowski. – Odry musiał widzieć każdy, kto chodził wówczas do kina, bo często pokazywano je przed seansem w Polskiej Kronice Filmowej. To była taka szafa, w której kręciły się szpule ze wstęgami papieru albo taśmy. K-202 to niewielka walizka. Odry to kopia brytyjskich maszyn ICL. A K-202 Karpińskiego to całkowicie polski wynalazek. Odra była komputerem tylko w znaczeniu przemysłowym, przeznaczonym do sterowania maszyn. A K-202, biorąc pod uwagę konstrukcję, choćby wymyślone przez Jacka Karpińskiego stronicowanie pamięci, był już komputerem w dzisiejszym rozumieniu tego słowa.

CZY BAĆ SIĘ KOMPUTERÓW?

Prasa wówczas często pisała o komputerze Jacka Karpińskiego.

„Trybuna Ludu” z 30 grudnia 1971 roku:

Polski minikomputer K-202, konstrukcji inż. Jacka Karpińskiego, „wypłynął” na międzynarodowe wody. 29 bm., w Zakładach Wytwórczych Aparatury Pomiarowej „Era” w Warszawie, nastąpiło oficjalne przekazanie prototypu minikomputera przedstawicielowi brytyjskiej firmy M. B. Metals, która będzie prowadzić sprzedaż maszyny na terenie całego świata.

„Perspektywy” z 12 maja 1972 roku:

Mistrzostwa Europy w zapasach rozegrane ostatnio w Katowicach miały poza stroną sportową jeszcze jedną sensację. Była nią polska premiera minikomputera K-202, konstrukcji inż. Jacka Karpińskiego.

„Życie Warszawy” z 27 lutego 1973 roku:

Klub użytkowników „K-202” 26 bm. odbyło się w Warszawie spotkanie użytkowników maszyn cyfrowych „K-202” oraz wszystkich, którzy czekają na zainstalowanie u siebie tego komputera. W tej chwili system „K-202” – łącznie 43 wielkie zakłady przemysłowe, instytucje naukowe i biura

projektów – działa już w kilku ośrodkach naukowych, zakładach produkcyjnych i biurach projektowych. (…) Przedstawiciel huty im. Lenina podkreślił, że przeprowadzone porównania między K-202” i innymi komputerami wypadają wyraźnie na korzyść tego pierwszego. Specjalista z Politechniki Gdańskiej stwierdził, że jest to komputer nadający się doskonale do instalowania na statkach.

Jacek Karpiński szybko jednak zauważył, że popularność zaczyna mu przeszkadzać w pracy. Bo im częściej pisano o nim w gazetach, tym więcej otaczało go osób zawistnych.

W wywiadzie „Czy bać się komputerów?” dla „Życia Literackiego” mówił: „Nie wiem, czy nasza rozmowa jest na czasie. Po każdym artykule człowiek zyskuje pewną liczbę przyjaciół i pewną liczbę antagonistów. Przyjaciele są bardzo cenni, ale na ogół ich pozycja jest bierna, natomiast przeciwnicy są aktywni”.

SYSTEM

Jacek Karpiński niechcący zbudował nie komputer, ale cały system K-202. To stało się jednym z głównych powodów jego klęski. Opowiada:

– Kiedy użyłem, zgodnie z możliwościami urządzenia, nazwy „system K-202”, a nie „komputer”, mój zwierzchnik, dyrektor Huk, żachnął się: „jaki tam system! Jedyny system, który nas obowiązuje, to jednolity system RWPG – RIAD!” – zapamiętał Jacek Karpiński.

RIAD odpowiadał komunistycznej ideologii. Zgodnie z wytycznymi Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej część komputerów produkowano we Wrocławiu, część w Dreźnie, część w Mińsku, a część w Sofii. To miało pokazywać jedność obozu komunistycznego, a przy tym również jego technologiczną potęgę.

W informatyczną wyższość nad Zachodem wierzyć mogła tylko komunistyczna propaganda. System RIAD skopiowano z zachodniego IBM/360. A ten już był na Zachodzie przestarzały.

Zgodnie z radzieckimi wytycznymi Polsce przypadła rola producenta średniej wielkości komputera systemu RIAD. Inne konstrukcje powinny zostać porzucone.

– K-202 dosłownie skreślono i nakazano zapomnieć – tłumaczy dziennikarz Stefan Bratkowski. – Kiedy pracowało już kilkadziesiąt sztuk w różnych miejscach kraju, niejaki towarzysz Werewka z wydziału przemysłu Komitetu Centralnego tłumaczył mi, że nie ma takiego komputera. Ja mówię, towarzyszu Werewka, siądźmy do samochodu, pojedziecie do miejsc, gdzie ten komputer pracuje, jeżeli umiecie pracować z komputerem, to sobie siądziecie i popracujecie, a przekonacie się, że to jest znakomity komputer, a nie tylko, że w ogóle działa. „Nie, nie ma takiego komputera!” – krzyczał Werewka. – „Mówię wam towarzyszu Bratkowski, takiego komputera po prostu nie ma! Zapamiętajcie to sobie!”.

WYKREŚLONE NAZWISKO

– Pracowałem sześć lat na tym komputerze – opowiada Ryszard Zenker. Dziś jest prawdopodobnie jedyną osobą, która trzyma K-202 w domu, a ściślej: w piwnicy. Inny egzemplarz można zobaczyć tylko w Muzeum Techniki w Warszawie.

K-202, na którym pracował Ryszard Zenker, działał w poznańskim biurze projektowym szesnaście lat. Prawie bezawaryjnie.

– Najczęściej wykonywaliśmy na nim obliczenia związane z ochroną atmosfery – wyjaśnia Ryszard Zenker – z opadami pyłów i stężeniami gazów. K-202 projektował u nas też kratownice, belki, ramy w budownictwie, wszelkie konstrukcje rurowe: centralne ogrzewanie, kanalizację, wentylację. Niesamowite było to, że do K-202 można było podłączyć naraz kilka dalekopisów, monitorów. U nas równolegle na jednym K-202 pracowało pięć osób!

Ryszard Zenker jeździł na konferencje związane z informatyką, na których prezentowano referaty związane z wykorzystaniem K-202.

– W pewnym momencie zabroniono używania nazwy K-202 i nazwiska Jacek Karpiński – wspomina. – Cenzura miała „zapis” na te słowa, wykreślała je z naszych opracowań. Zaczęliśmy więc używać nazwy „polski komputer”.

Diana Wierzbicka pamięta:

– Jacek Karpiński był ogromnym indywidualistą. Jeżeli czegoś się podejmował, to było to głównie jego własne dzieło. A w naszym kraju trzeba było nie tylko dzielić się osiągnięciami, ale też nierzadko palmę pierwszeństwa oddawać komuś innemu. Tego Jacek Karpiński robić nie chciał.

Stefan Bratkowski dodaje:

– W kampanii przeciwko K-202 brała też udział wrocławska firma produkująca Odry. Tam pracowało kilka tysięcy osób. W ich interesie było umniejszanie rangi wynalazku Karpińskiego. Do nich więc całkowicie przemawiała teza towarzysza Werewki, że „nie ma takiego komputera!”.

IDŹ PAN STĄD, WON!

Jacka Karpińskiego wyrzucono z pracy i zakazano budowy komputerów.

– Dyrektor instytutu, pułkownik Roman Kulesza, wręczył mi wymówienie – mówi Jacek Karpiński. – Wyprowadzili mnie pod karabinami do mojego zakładu, pozwolili zabrać tylko osobiste rzeczy. Dyrektor administracyjny zrewidował mnie, żebym nie wynosił czegoś tajnego, i usłyszałem: „idź pan stąd, won!”.

W Polsce nie miał już żadnych szans na pracę przy projektowaniu ukochanych komputerów. Za granicę wyjechać nie chciał – tak wciąż rozumiał patriotyzm.

– To był rok 1978 – ciągnie konstruktor. – Ożeniłem się z młodą, bardzo fajną matematyczką. Wydzierżawiłem chałupę poniemiecką, 10 czy 15 hektarów ziemi, fatalnej zupełnie. Chałupa była bez drzwi, bez okien, bez pieca, bez prądu, tragedia. Miałem pięćdziesiąt kur, jajka sprzedawałem. Miałem trzy świniaki. I jedną krowę, którą doiła moja żona, to była jej działka. A ja karmiłem kury i świnie. W 1980 roku przyjechała Polska Kronika Filmowa. Pani redaktor zapytała: „Panie, ale dlaczego pan ze świniami akurat ma do czynienia?”. A ja mówię: „Dlatego, widzi pani, że ja wolę mieć do czynienia z prawdziwymi świniami”.

Wicepremier Józef Tejchma przypuszcza:

– Ucieczka do hodowli świń to był jego protest. Protest wobec niemożliwości zrealizowania się w dziedzinie, do której czuł się powołany.

Diana Wierzbicka przypomina sobie:

– Byłam w tym gospodarstwie. I chociaż nigdy nie widziałam Jacka w momencie, kiedy zajmował się tymi zwierzętami, to przypuszczam, że robił to z dużym zaangażowaniem. Bo wszystko, do czego się zabierał, robił z przekonaniem. Ale hodowla świń z pewnością nie była jego życiową pasją.

PENREADER

Stefan Bratkowski zauważył w pierwszej połowie lat 80., że Karpiński ze świniami przeszkadza władzy. Prasa zaczęła opisywać rzekome zwierzenia sąsiadów, że to dziwny człowiek, a nawet że kradnie jajka – choć to jemu podkradano. Atmosfera wokół konstruktora zagęszczała się, być może groziła nawet aresztowaniem – dlatego Stefan Bratkowski, wbrew własnym uczuciom patriotycznym, namawiał Karpińskiego do wyjazdu z Polski.

Jacek Karpiński podjął dramatyczną dla niego decyzję – wyemigrował. Do Szwajcarii, gdzie zaczął pracować dla Stefana Kudelskiego, konstruktora polskiego pochodzenia, który produkował słynne profesjonalne magnetofony Nagra. Karpiński i Kudelski poznali się w Polsce w latach 70. Kiedy telewizja zapytała wówczas Kudelskiego, co najchętniej zabrałby z Polski do Szwajcarii, ten odpowiedział: „Karpińskiego”.

Jacek Karpiński skonstruował cyfrowy i analogowy synchronizator dźwięku z dwóch magnetofonów. Ale nie miał już szans dogonić świata, bo kiedy on pracował w chlewie, pojawiły się komputery Apple i IBM.

W Szwajcarii pracował również przy systemie informatycznym jednego z banków, potem prowadził własną firmę.

Kiedy tylko w Polsce zmienił się ustrój, wrócił do kraju. Został doradcą Leszka Balcerowicza do spraw informatyki. I w wolnym kraju chciał produkować swój nowy wynalazek: penreadera.

To nieduże urządzenie, trochę większe od współczesnej „komórki”, pozwalało wprowadzać do komputera dane zapisane na kartce papieru. Zamiast przepisywać treść, wystarczyło przejechać penreaderem po kartce i całość trafiała do komputera. Dziś działa tak wiele skanerów z funkcją

rozpoznawania tekstu (OCR) – ale wtedy był dopiero początek lat 90. i w Polsce wiele osób nie widziało jeszcze na własne oczy nawet komputera PC.

Stefan Bratkowski kolejny raz wspierał Jacka Karpińskiego. Opowiada:

– To był dramat i Jacka Karpińskiego, i naszej bankowości. Penreader był czytnikiem pisma ręcznego wyprzedzającym japońskie konstrukcje o przeszło półtora roku. Przed wojną banki, które funkcjonowały w Polsce, miały swoich doradców technicznych, którzy orientowali się czasem lepiej od przedsiębiorców, co warto wesprzeć, w co warto inwestować. Ale po 1989 roku zabrakło takich specjalistów w polskich bankach. Dziś to są urzędy do przydziału kredytów, a to nie są bankierzy. Kiedy Jacek Karpiński miał już kupioną maszynę do produkcji penreadera, zrobioną próbną serię, bank nagle cofnął kredyt. Zlicytował fabryczkę i samego Karpińskiego, który stracił nawet dom w Aninie.

Jacek Karpiński wspomina:

– Oni sprzedali mój dom za grosze. Nowy właściciel rozwalił dach, w domu stało pięć centymetrów wody, a ja pracowałem przy komputerze pod parasolem.

ZA WYBITNY NA TAMTE CZASY

Józef Tejchma, wicepremier, uważa:

– Być może Jacek Karpiński to ważny przykład człowieka, który był za wybitny na tamte czasy.

W telewizyjnym materiale archiwalnym z lat 80., kiedy Jacek Karpiński hodował świnie, narrator mówił z przekąsem: „Zaiste, bogatym niezmiernie jesteśmy krajem, jeżeli możemy sobie pozwolić na takie marnotrawstwo talentów i wiedzy technicznej. Żadnego innego kraju nie stać na zatrudnienie wybitnego konstruktora elektronika przy hodowli kurcząt i prosiąt”.

Dziś 82-letni Jacek Karpiński[10] opowiada:

– Ponieważ mam trudności z poruszaniem się, to muszę mieć rehabilitację. Masaże powinny kosztować osiemset złotych miesięcznie. Na co nie mam. Bo albo będę miał co jeść, albo będę miał masaże. Czyli muszę

dorobić. No to dorabiam w ten sposób, że projektuję witryny internetowe. Głupia robota, ale parę złotych można zarobić.

ROZDZIAŁ 13

TAJEMNICA BRUTALA I PANI WALEWSKIEJ

MICHAŁ MATYS

Pani Walewska jeździła koleją do Związku Radzieckiego. Brutala spotykano w pubach. Jak przetrwali PRL?

Wydawało się, że już się nie pojawią. Kilka lat temu ślad po nich zaginął. Fani obawiali się, że bezpowrotnie ich stracili. Na forach internetowych dzielili się wspomnieniami i ostatnimi zapasami:

Posiadam do sprzedania kultowe już perfumy Pani Walewska. Pewna marka, ponadczasowy design flakonu. Idealne na prezent dla babci, cioci lub jako gadżet nawiązujący do minionych czasów PRL-u. Nieotwarte, oryginalne, zapakowane w folię. Cena 20 zł.

Zapach nie mdlił mnie ani nie wywoływał bólów głowy, mimo że skusiłam się sięgnąć po niego w czasie ciepłego dnia. Szukajcie Pani Walewskiej w Internecie lub małych osiedlowych drogeriach.

Tylko Brutal Woda Kolońska ma w sobie to coś. To była prawdziwa perełka PRL-u. To jest zapach prawdziwego mężczyzny. Podoba się Wam taki pospolity w sumie CK be?

A jednak! Pani Walewska i Brutal triumfalnie powrócili do obiegu. Krakowska firma Miraculum – po przerwie na przełomie 2009 i 2010 roku – wznowiła ich produkcję.

CUDA DOKTORA LUSTRA

Miraculum to jedno z najstarszych polskich przedsiębiorstw kosmetycznych. Założył je w 1924 roku krakowski lekarz Leon Luster. Nazywał je: „Doktora Lustra Preparaty Kosmetyczno-Lekarskie Miraculum".

Przyjął dwie osoby, które przy ulicy Józefitów w Krakowie zaczęły robić mydła i pasty do zębów. Po pięciu latach firma stała się fabryką – zatrudniała 70 osób i zajmowała dwa piętra w kamienicy.

Doktor zaczął wymyślać nowe, luksusowe kosmetyki. Za pudry dostał złoty medal na światowej wystawie w 1931 roku w Paryżu. Furorę zrobił zwłaszcza „wytworny puder egzotyczny dra Lustra, wolny od wszelkich trujących metali, kryjący idealnie wszelkie niedociągnięcia cery".

Twarzą firmy została Zofia Batycka, Miss Polonia i Wicemiss Europy 1930. Gdy wyjechała do Hollywood, zastąpiła ją Hanka Ordonówna, największa gwiazda międzywojennej Polski, która ogłosiła: „Ależ oczywiście, najlepsze kosmetyki są doktora Lustra i ja osobiście tylko te używam – są po prostu cudowne…".

– Doktor Luster uznał, że firma powinna posiadać własne celebrytki – opowiadała mi w 2012 roku Urszula Pierzchała, ówczesna wiceprezes Miraculum.

W kampaniach reklamowych firma zaczęła nawiązywać do swojej historii.

– Mamy marki z duszą – zapewniała wiceprezes.

„Cudowne kosmetyki" doktora Lustra, produkowane przed II wojną światową, były jak leki – na wszystko. Krem Ultrasol („cud techniki kosmetycznej") chronił przed słońcem i mrozem. Płyn Dorado (bez formaliny) usuwał „niemiłą woń potu". Preparat Depilex służył „do mechanicznego usuwania zbędnego owłosienia". Nawet „dra Lustra

kosmetyczny spirytus salicylowy” nie tylko odkażał, ale także zwalczał piegi.

Nic dziwnego, że kosmetyki doktora miały zawrotne ceny. Na przykład „Krem hormonowy Miraculum”, który usuwał zmarszczki i przeciwdziałał wiotczeniu skóry, kosztował aż 72 złote, czyli połowę ówczesnej pensji urzędnika!

W 1939 roku doktor Luster sprzedał fabrykę i wyjechał z Polski. Po II wojnie światowej fabryka została upaństwowiona i musiała przestawić się na produkcję dla mas: kremu ochronnego do rąk robotników i pierwszego w PRL-u szamponu w płynie (dotąd były w proszku).

BEATA TYSZKIEWICZ ROBI REWOLUCJĘ

Pani Walewska pojawiła się w 1971 roku – ponad 40 lat temu.

– To był klejnot wśród kosmetyków PRL-u – mówiła Urszula Pierzchała. Inspiracją do jego powstania stał się film „Marysia i Napoleon” – komedia kostiumowa z 1966 roku w reżyserii Leonarda Buczkowskiego. Główną rolę grała Beata Tyszkiewicz. Wcieliła się w Marię Walewską, arystokratkę, w której zakochał się Napoleon. W filmie był nim Gustaw Holoubek.

– Z tamtych czasów znamy kobaltową Panią Walewską. Kształt słoiczka do kremu i butelki do perfum nawiązują do kapelusza Napoleona – wyjaśniała Pierzchała.

Z Beatą Tyszkiewicz rozmawiałem w 2012 roku. Po 45 latach była zaskoczona. Nie wiedziała, że dokonała rewolucji kosmetycznej w Polsce.

– Nie miałam pojęcia. Pierwszy raz od pana słyszę. Powinni przysłać mi chociaż słoiczek kremu! Rzeczywiście, twarz na opakowaniu jest podobna do Marysi – przyznała.

Po zastanowieniu doszła do wniosku, że reklamowanie Miraculum może być tradycją rodzinną.

– Skoro tę firmę reklamowała Hanka Ordonówna, to wszystko jasne! Przecież to moja ciotka, wyszła za mąż za wuja Michała Tyszkiewicza, zwanego „Misiem”, który pisał dla niej piosenki – wyjaśniła Beata Tyszkiewicz.

Sama nie używała Pani Walewskiej, bo przywiązała się do kremu Nivea. Ale pamięta, że znajome, które wyjechały z Polski, prosiły, aby im ją wysłać.

Powrotowi Pani Walewskiej wcale się nie zdziwiła.

– Ludzie ją pamiętają. Nie ma nic cenniejszego niż dobre wspomnienia: smaki, zapachy młodości – mówiła.

Ale entuzjastką Brutala nie jest.

– Zważywszy na nazwę, chodziło chyba o podniesienie ego mężczyzn – uważa.

JAK UPACHNIĆ MĘŻCZYZNĘ

Decyzja o narodzinach Brutala zapadła w 1977 roku po naradzie na najwyższym szczeblu – w Zjednoczeniu Przemysłu Chemii Gospodarczej Pollena. W czasach Edwarda Gierka należały do niego wszystkie zakłady produkujące kosmetyki i środki czystości.

Władze PRL-u postanowiły w tym czasie zająć się higieną obywateli. Sytuacja była dramatyczna, bo… brakowało papieru toaletowego. Rząd debatował nad tym na specjalnym posiedzeniu. Nakazał zapełnić braki na rynku i zacząć produkcję szarego, ale sprężystego papieru toaletowego w Konstancinie koło stolicy. W sukurs rządowi przyszło zjednoczenie Pollena, które postanowiło upachnić mężczyzn. Brutal był do tego idealny.

Miał być wytwarzany ze sprowadzanych z Francji komponentów. Ale nie były drogie i państwo nie musiało przydzielać zbyt wielu dewiz na uruchomienie jego produkcji w zakładach Miraculum. Jak to uzasadniono, „dewizochłonność” Brutala była niska.

– Wcześniej nazwy wody kolońskiej odwoływały się do historii, na przykład Lajkonik czy Prastara. Brutal to był nowatorski pomysł – uważała Urszula Pierzchała.

Ale nazwa do dzisiaj wzbudza dyskusje, bo odwołuje się do rzekomo prawdziwej męskiej natury. Reklama Brutala głosiła:

Emancypacja kobiet jest mrzonką, próbą ucieczki przed naturą, odrzuceniem dominacji mężczyzny nad płcią piękną, sztucznym przeobrażeniem świata (…). Nawet na stanowisku kierowniczym niewiasta

wzdycha przyglądając się mężczyźnie dobrze zbudowanemu, o szorstkim sposobie bycia. Uwielbienie dla ogłady znika, gdy pojawia się zdecydowanie, brutalność.

W dzisiejszych czasach, gdy Brutal powrócił, można powiedzieć dyplomatycznie, że to woda kolońska dla mężczyzn typu macho.

DOBRANA PARA

Różnili się, ale stanowili dobraną parę: Pani Walewska ekskluzywna, luksusowa, Brutal – egalitarny, dla każdego. Aby ich posiąść, w PRL-u ludzie wystawali w kolejkach.

– Pani Walewska była symbolem luksusu. Była też „otwieraczem". Otwierała drzwi w urzędach. Można było dać ją w prezencie i dzięki niej załatwić wiele spraw – mówiła Urszula Pierzchała.

Pani Walewska bardzo często wyjeżdżała za granicę. Polacy wywozili ją torbami na Zachód. Ale jeszcze bardziej popularna była za wschodnią granicą. Do fabryki w Krakowie specjalnie dla niej została podciągnięta linia kolejowa. Pani Walewska wyjeżdżała wagonami.

Polska sprowadzała ze Związku Radzieckiego, podobnie jak dzisiaj z Rosji, surowce: ropę i gaz. W zamian wysyłała między innymi kosmetyki, które w całym bloku wschodnim uchodziły za dobro luksusowe.

Brutal rzadziej wyjeżdżał. Był pożądany przede wszystkim w Polsce. Legenda głosi, że to jedyny zapach, który radził sobie z dymem papierosowym. Był chętnie używany przez barmanów, którzy wiele godzin spędzali w klubach czy pubach. Wychodząc z pracy, mieli na sobie nadal zapach Brutala, a nie dymu.

Hasło reklamowe z lat 80. zapewniało:

Brutal. Zapach prawdziwego mężczyzny.

Towarzyszyło mu zdjęcie buteleczek z wodą kolońską ze stojącym w półmroku, brodatym mężczyzną o lekko chropowatej cerze.

– Postrzeganie mężczyzn się zmienia. W latach 70. uważano, że jego rolą jest zarabianie pieniędzy na utrzymywanie rodziny. Teraz panuje równouprawnienie. Pojawił się typ metroseksualny, który dba o siebie

i odwiedza salony kosmetyczne. Modele na pokazach zaczęli używać tuszu do rzęs, lakieru do włosów i paznokci – tłumaczyła Urszula Pierzchała.

– Ale my nie odżegnujemy się od tego, jaki jest zapach Brutala. Użyta kompozycja to klasyczny męski zapach o korzenno-ziołowej nucie, symbol zdecydowania – twierdziła.

ZSRR INWESTUJE W KOSMETYKI I ZIEMNIAKI

W 1986 roku rząd PRL-u postanowił, że będzie tworzył ze Związkiem Radzieckim wspólne przedsiębiorstwa. Chodziło o to, aby wznowić załamujący się eksport za wschodnią granicę oraz ożywić podupadającą gospodarkę.

Jak poinformował śląski tygodnik „Panorama”, 1 kwietnia 1988 roku powstała pierwsza wspólna firma: Polsko-Radziecka Fabryka Wyrobów Chemii Gospodarczej i Perfumeryjno-Kosmetycznych – Przedsiębiorstwo Międzynarodowe Miraculum w Krakowie. Rząd ZSRR objął w niej 40 procent udziałów.

„Panorama” opublikowała zdjęcie niedokończonej hali z podpisem: „W tej hali Miraculum już w 1992 roku uruchomiona zostanie produkcja i to pięciokrotnie przekraczająca dotychczasowy jej poziom. Szkoda, że do tego czasu za Panią Walewską wciąż ustawiać się będą długie kolejki”.

Ówczesny dyrektor naczelny Stefan Jucha przekonywał, że dzięki pieniądzom od Rosjan uda się dokończyć przerwaną budowę hali i spłacić zaciągnięty kredyt 11,5 miliardów starych złotych.

Ponad połowa produkcji polsko-radzieckiego Miraculum miała trafiać na eksport, głównie na Wschód.

„Zaproponowany przez nas asortyment produkcji pokrywał się z potrzebami rynku radzieckiego” – uzasadniał dyrektor Jucha.

Jak się później okazało, Miraculum było jedyną polsko-radziecką spółką, którą udało się stworzyć. Specjalna komisja powołana przez rządy PRL i ZSRR wytypowała aż 12 zakładów – planowano między innymi „wspólne przedsiębiorstwo przetwórstwa ziemniaka”. Ale poza fabryką kosmetyków wszystkie pomysły spełzły na niczym.

Inwestycja rządu ZSRR nie pomogła Miraculum. W 1991 roku ZSRR się rozpadł i trzeba było rozstrzygnąć, kto właściwie ma udziały w fabryce: Rosja czy Ukraina. W 1998 roku w obu krajach wybuchł kryzys i fabryka straciła tam jedną trzecią rynku.

DUSZA I SERCE ZOSTAŁY

Początkowo Pani Walewska i Brutal dobrze sobie radzili w kapitalizmie.

– To marki z tradycjami, nasze dobra narodowe. Podobnie jak Wedel, Wawel czy Hortex – uważała Urszula Pierzchała.

W 2003 roku fabrykę Miraculum przejęła duża prywatna firma – Kolastyna z Łodzi. Założyła ją w latach 80. doktor Urszula Grzegorzewska. Dostarczała wtedy państwowym Pollenom kolagen i elastynę, podstawowe składniki do produkcji kosmetyków. Mówiło się, że będzie to „polski l'Oreal", który wchłonie największe krajowe firmy kosmetyczne.

W ten sposób powstała Grupa Kolastyna, która w 2007 roku weszła na warszawską giełdę. Ale zabrakło jej szczęścia. Gdy nadszedł kryzys, była w trakcie wielkich inwestycji. W 2009 roku spadła jej sprzedaż i przychody, stąd nie było z czego spłacić kredytów. Na początku 2010 roku miała 78 milionów złotych długów, a konta chciało zająć 52 komorników!

Nowa prezes Monika Nowakowska pierwszego dnia urzędowania musiała oddać służbowy samochód. Pracownicy nie otrzymywali przez kilka miesięcy wynagrodzeń. Upadłość stanowiła jedyne wyjście.

Trzeba było zamknąć fabrykę w Krakowie, a budynki sprzedać. W 2012 roku wciąż wisiało tam logo Miraculum, ale planowano, że powstanie osiedle mieszkaniowe.

– To niesamowite! Tam wciąż unosi się zapach Pani Walewskiej – dziwiła się Urszula Pierzchała.

Dlatego, że przy bramie wjazdowej znajdowały się podziemne zbiorniki z kamienia. Dawniej leżakowała w nich zmieszana ze spirytusem kompozycja zapachowa.

Pani Walewska i Brutal na pewien czas zniknęli ze sklepów. Najbardziej zagorzali fani próbowali dowiedzieć się dlaczego.

– Nie mieliśmy pieniędzy na produkcję. Wielu klientów pisało wtedy, że wyśle nam przekaz pocztowy – wspominała ówczesna wiceprezes Urszula Pierzchała.

Ale udało się dogadać z wierzycielami – zawrzeć z nimi układ i spłacić. Niedoszły „polski l'Oreal" został pokawałkowany i sprzedany na części. Pod młotek poszła nawet nazwa Kolastyna. Dzięki temu przetrwała znaczna część grupy. Wraz z nią uratowali się Pani Walewska i Brutal.

– Zmieniliśmy jednak strategię. Sami nie produkujemy już kosmetyków. Opracowujemy receptury i zlecamy produkcję na zewnątrz – opowiadała Pierzchała. – Dusza i serce każdego produktu jest wciąż u nas. Nasze laboratorium strzeże tajemnic receptur – zapewniała.

Kosmetyki Miraculum pojawiły się ponownie po półrocznej przerwie. Klienci kupowali po kilka sztuk na zapas. W Krakowie w drogeriach wystawiano w oknach wystawowych informację na szarym kartonie: „U nas w sprzedaży Pani Walewska".

KTO PODRABIA BRUTALA

Pani Walewska powróciła w wielkim stylu. Na jej 40. urodziny Miraculum postarało się o celebrytkę, aby ją reklamowała.

– To Katarzyna Gniewkowska, znana aktorka teatralna i filmowa z Krakowa. Ma szlachetny, słowiański typ urody. Znała i ceniła Panią Walewską, dlatego zgodziła się zostać jej twarzą – wspominała Urszula Pierzchała.

Kampania zakończyła się sukcesem.

– Zmienił się ustrój, na rynku działa czterystu producentów kosmetyków, a Pani Walewska ma wciąż wielotysięczną rzeszę klientek – cieszyła się ówczesna wiceprezes Miraculum.

Brutal nie miał własnej kampanii reklamowej. Ale według firmy Nielsen, która badała polski rynek[11], zajął szóste miejsce wśród męskich kosmetyków. Przed nim znalazły się tylko światowe marki: Nivea, Adidas, STR8.

– Trendy zapachowe mocno się zmieniły, ale Brutal ma wiernego klienta. Jest bardzo tradycyjny, ma zamiłowanie do klasycznej wody kolońskiej.

Absolutnie nie możemy naruszyć tej kompozycji zapachowej – tłumaczyła Pierzchała.

Okazało się, że fani Pani Walewskiej i Brutala są bardzo wrażliwi na zmiany. Gdy z opakowania Pani Walewskiej zniknął napis: „Wyprodukowano w Polsce w Krakowie”, a pojawiło się bardziej światowe „Made in Poland”, do Miraculum zaczęły przychodzić listy z prośbami, aby wyjaśnić, co się stało.

Podobnie było z Brutalem. Ktoś zadzwonił na infolinię firmy z pytaniem: „Pachnie tak samo, ale wygląda inaczej! Czy to aby nie jest podróbka Brutala?”.

Brutal, jak za dawnych lat, rzadko wyjeżdża za granicę. Inaczej Pani Walewska, która coraz śmielej zaczęła zapuszczać się na Wschód. Podobno wzbudziła nawet zainteresowanie wśród Chińczyków. Zaintrygował ich kształt buteleczki i przysłali do Polski pytanie, kim była Walewska.

SPODLADY.COM

Pani Walewska i Brutal stali się hitem sklepu internetowego spodlady.com. Założyła go w Toruniu socjolog Dorota Uniewska, która postanowiła wykorzystać modę na PRL. Sprzedaje na przykład oranżadę w proszku, gumę balonową, gumofilce, kubki znane z barów mlecznych.

– Młodzi ludzie kupują dla kawału gadżety, na przykład Wodę Brzozową – opowiadała Dorota Uniewska.

To płyn do włosów, znany z komedii „Miś” Stanisława Barei. W PRL-u był sprzedawany w kioskach Ruch. Zawierał znaczną ilość alkoholu i dlatego byli tacy, którzy kupowali go, aby… wypić na miejscu.

Uniewska zauważyła jednak, że Pani Walewska i Brutal to produkty kupowane na poważnie. Szukają ich ludzie, którzy pamiętają je z czasów PRL-u.

Z badań rynku wynika, że perfum Pani Walewska najczęściej używają Polki po sześćdziesiątce, a płynu po goleniu Brutal Classic – Polacy po pięćdziesiątce.

Po 25 latach kapitalizmu oboje wciąż mają zwolenników, którzy zachwycają się nimi w internecie.

Ona nadal budzi większy szacunek:

Jedyna wada Pani Walewskiej – bardzo często brak jej na rynku, a konkretnie w moich stronach, w okolicy Radomska. Używam tych kosmetyków od lat. Nawet moim dzieciom i 30-letniej siostrzenicy Pani Walewska kojarzy się ze mną i zapachem dzieciństwa, dlatego chciałabym, aby te perfumy zawsze były dostępne.

On traktowany jest z lekkim przymrużeniem oka:

Jestem fanem Brutala. Nic tak nie odganiało komarów…

W 2012 roku Urszula Pierzchała, ówczesna wiceprezes Miraculum, przekonywała, że nie ma innych polskich marek o takiej historii i tradycji.

– Nasze produkty stały się kultowe. Zna je każdy, istnieją w świadomości ludzi jak coca-cola czy pepsi – mówiła.

Czy będą ich używać młodsze pokolenia? Miraculum liczy, że przyzwyczajenie do Pani Walewskiej przejdzie z matek na córki. W tym celu wymyślono odmłodzoną „złotą” wersję – Gold.

Powstała także nowa odmiana Brutala – Grand, który pachnie orientalnymi owocami, wanilią i piżmem – podobno lubią go młodsi mężczyźni. Brutal Grand natychmiast wywołał dyskusję na portalu brzytwa.org dla pasjonatów golenia:

Pojawił się w Tesco. Koszt około 9 złotych.

Dzisiaj dałem Brutalowi drugą szansę. Tym razem zupełnie inne odczucie. Zapach tym razem bardzo do mnie przemówił i zero pieczenia.

ROZDZIAŁ 14

WIELKA UCIECZKA

PIOTR LIPIŃSKI

Dwudziestoletni chłopak uwolnił swego ojca z zesłania w tajdze. Jak uciekli ze Związku Radzieckiego?

Stefan Dacenko dokonał niemożliwego. W 1956 roku wydobył z rąk NKWD[12] ojca wywiezionego do Republiki Komi[13].

Tęsknił za ojcem. Był rok 1945. Miał dziewięć lat. Ojca wywieźli Rosjanie.

Uczył się i czytał książki Karola Maya. O szlachetnym Winnetou, który poradzi sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, a każda trudność staje się wyzwaniem i przygodą.

Był rok 1956. Miał 20 lat. Pojechał na Wschód, w stronę Workuty, szukać zaginionego ojca.

Dziś już wiadomo, że był jedynym Polakiem, który poważył się na taki czyn.

– To z ogromnej tęsknoty za ojcem – tłumaczy Stefan Dacenko[14].

TRZY LISTY

Po ojca NKWD przyszło w lutym 1945 roku. Czterech w płaszczach i jeszcze jakiś oficer. W domu płacz. Strach kilkuletniego dziecka.

Dlaczego przyszli? Przed wojną ojciec Stefana miał garbarnię. Ale to chyba za mało, żeby aresztować go jako burżuja. W czasie wojny był piekarzem – zwykłym robotnikiem w kaliskich Zakładach Cukierniczych Mystkowskiego. Nigdy nie należał do żadnej konspiracji. Ale pod koniec wojny przez kilka dni przechowywał w domu dwóch żołnierzy z Powstania Warszawskiego. Może więc dlatego? Albo z tego powodu, że walczył w wojnie 1920 roku przeciw Rosji? To chyba najbardziej prawdopodobne.

Po aresztowaniu matka została z trojgiem dzieci – dwiema siostrami i Stefanem. Musiała pójść do pracy w fabryce. W 1948 roku przyszedł pierwszy list od ojca. Z Kirowa. Gdzie to jest? Wodzili palcem po wielkim atlasie, aż wreszcie ustalili, że to radziecka Republika Komi.

Ale ojca w Kirowie nie było – list podał przez kogoś, kto odważył się go wysłać. Tata pisał tylko, że żyje, martwi się o żonę i dzieci. I to było wszystko.

Następny list w 1950 roku. Z miasta Gorki. Też tylko pozdrowienia – ani słowa o tym, gdzie jest, co robi, jak żyje.

I ostatni – w 1952 roku, wysłany z Syktywkaru, stolicy autonomicznej Republiki Komi. Ojciec pisał, że mieszka w osadzie Noszul-Baza, pracuje w piekarni. Potem już żadne listy nie przychodziły.

KASZMIROWE CHUSTY

W 1956 roku w Polsce trwała polityczna odwilż. Stefan właśnie skończył technikum mechaniczne, zdał maturę. Postanowił: jedzie do Poznania, do Urzędu Bezpieczeństwa.

Kiedy wchodził do urzędu złożyć podanie o paszport, zobaczył powybijane okna. Niedługo wcześniej przeciw władzy zbuntowali się poznańscy robotnicy, w protestach wyszli na ulicę.

Stefan w podaniu napisał, że w Związku Radzieckim mieszka jego ojciec i chce go odwiedzić. Nic więcej. Nie wspomniał, że wywiozło go tam NKWD. I – choć wydaje się to niewiarygodne – po dwóch tygodniach paszport dostał.

Czy pomogła polityczna odwilż? Czy niedomówienie, że ojciec tam po prostu mieszka? Czy nieuwaga jakiegoś urzędnika? Czy świadoma nieuwaga? Czy może zamieszanie, jakie wówczas panowało? Albo ktoś, kto rozumiał ogromną tęsknotę za ojcem?

Stefan się cieszył, a matka rozpaczała. Mówiła: „Nie dość, że straciłam męża, to mogę stracić jedynego syna. Pojedziesz, a nie wiadomo, czy wrócisz. I nawet nie wiadomo w ogóle, czy ojciec jeszcze tam żyje”.

Ale Stefan był uparty – miał przecież dopiero dwadzieścia lat.

Na dworcu w Warszawie kupił bilet do Moskwy. Nigdy dotąd nie wyjeżdżał za granicę. Ale był dobrej myśli. Z domu zabrał trochę wymienionych rubli, kabanosy i kaszmirowe chusty – na sprzedaż albo na podarunki. I wyrwaną z wielkiego atlasu stronę z Republiką Komi.

W pociągu poznał nieco starszego od siebie Polaka, który studiował w Moskwie, ożenił się z Rosjanką. Radził, by Stefan zaczął też studiować w Moskwie. A na razie zaproponował mu nocleg u siebie – chłopak miał więc gdzie spędzić pierwszą noc w imperium. Ale przed nowym znajomym nie odkrywał się nadmiernie. Wspomniał tylko, że jedzie do ojca – nic więcej.

Stefan jeszcze w domu posprawdzał nazwy miejscowości i trasę w atlasie. Przez Republikę Komi, skąd przyszły listy, nie prowadziły żadne linie kolejowe. Najbliższa stacja od Noszulu, w którym ostatnio mieszkał ojciec, to było Muraszczi. A żeby dojechać do Muraszczi, trzeba było z Moskwy wyruszyć Koleją Transsyberyjską, która dalej jechała aż do Pekinu. I przesiąść się w Kirowie.

– Z biletami nie miałem żadnych kłopotów – opowiada – chociaż kolejki przy kasach stały olbrzymie. Na stacjach przeważnie było dużo milicjantów, podchodziłem do jednego, mówiłem, że jestem inostraniec (obcokrajowiec) i że chcę kupić bilet. Milicjant szedł do kasy, wszyscy się odsuwali, a on kazał sprzedać mi bilet. A ludzie czekali na pociąg po kilkanaście godzin.

Stefanowi pomagał młodzieńczy brak wyobraźni. Ktoś starszy przede wszystkim unikałby jakichkolwiek milicjantów i przedstawicieli radzieckiej

władzy. A Stefan był w Związku Radzieckim kimś takim jak na Dzikim Zachodzie opisywany przez Karola Maya *greenhorn*, po polsku mówiąc – żółtodziób. Niewiele wiedział, z trudem porozumiewał się z miejscowymi.

– Rosyjski znałem słabo, tylko ze szkoły. Więcej się nauczyłem w czasie tej trzymiesięcznej podróży – wspomina Stefan.

W Kirowie kończyły mu się ruble. W restauracji na krześle obok siebie położył kaszmirową chustę w kwiaty – taką jakie nosiły dziewczyny z Mazowsza. Zauważył, że zainteresowała się nią kelnerka. Ale nie podeszła. Dopiero gdy wyszedł z restauracji, wychyliła się zza węgła. Pierwszy raz udało mu się zarobić na dalszą podróż.

Wsiadł do pociągu, wszędzie zajeżdżało wódką. Pomyślał, że wagony wyglądają jak bydlęce – z ławami na górze i dole. Przeładowane: starymi, młodymi, dziećmi. Wszyscy patrzyli na niego nieufnie. Wdrapał się na górną półkę i zasnął.

Spał pewnie pół doby. Obudziła go kobieta sprzątająca wagony: „A wy tu zaczem?”. Powiedział, że jedzie do Muraszczi. A ona, że dawno już dotarł, wszyscy wysiedli.

PŁASZCZ Z PAGONAMI

Była pierwsza w nocy, dookoła las. Zobaczył kolejarza. Zapytał, gdzie tu znajdzie milicję (znowu ta młodzieńcza ufność). Kolejarz wskazał światełko. Stefan zawinął nogawki i ruszył na przełaj przez błoto po kolana.

Zastukał w oświetlone okno. Milicjant zapytał, kto tam, a Stefan opowiedział po prostu: „Z Polski”. Zaspany milicjant z pięć razy powtarzał pytanie: „Otkuda?”.

Wreszcie otworzył. Stefan przemówił: „Mam komandirowkę, delegację. Muszę jechać do Noszulu”.

Milicjant pokiwał głową: „Za miesiąc, dwa, jak droga zamarznie, powinno coś jechać w tamtą stronę”.

Na razie trasa była pokryta takim błotem, że prawie żaden pojazd nie dawał rady jej pokonać.

Ale Stefan nie mógł czekać na zimę. „Muszę jechać jutro”. Milicjant roześmiał się: „Tam nie ma żadnej możliwości dotarcia. Nie ma dróg.

Ponimajesz: nikakoj dorogi”. Milicjant poszedł po oficera – sprawa, jak widać, poważniejsza. Stefan powtórzył oficerowi, że ma komandirowkę. Oficer przejrzał paszport i pyta, w jakiej sprawie ta delegacja.

– A ja mu odpowiadam, że w dyskretnej – wspomina Stefan Dacenko. – Sam się dziś zastanawiam, skąd mi do głowy przychodziły takie pomysły. On mówi, że rozumie. Dyskretnej, czyli to jakaś tajemnica. Ja wtedy nie rozumiałem, dlaczego oni się ze mną jakoś tak obchodzą, jakbym był z milicji albo z wojska. Potem pojąłem. Byłem ubrany w popelinowy płaszcz z pagonami. Tam jak ktoś był w armii, nosił płaszcz z pagonami, a jak ich nie miał, znaczyło, że jest rezerwistą. Ale mimo płaszcza z pagonami oficer powtarzał to samo co wcześniej milicjant: „Wcześniej niż za dwa, trzy miesiące pojechać się nie da”.

Stefan więc dopytuje, ile jest kilometrów do Noszulu. Słyszy, że sto dwadzieścia. Oficer mówi: „My cię teraz zaprowadzimy do hotelu, prześpisz się”. Hotel okazał się domem kołchoźnika. Miejsc nie było, ludzie spali na podłodze, niesamowicie śmierdziało wódką. Oficer wyrzucił z pokoju czterech lokatorów. Stefan padł na łóżko w ubraniu, pod drzwiami pilnował go milicjant.

TY Z NKWD?

Po kilku godzinach z ciemności wyrwał go głos: „Wstawaj, wstawaj, natychmiast wstawaj – krzyczał mu do ucha milicjant. – Ty masz szczęście, jedzie samochód przez Noszul i możesz się z nimi zabrać”.

Stefan zerwał się z łóżka, biegną z milicjantem do samochodu. Czeka na nich oficer. Mówi, że zabrał kierowcy dokumenty, jeśli Stefan dojedzie, to powinien kierowcy podpisać bumagę. Jak kierowca będzie wracać, to dostanie z powrotem swoje papiery. Życzą mu szczęśliwej drogi.

Samochód to był olbrzymi ził. Stefana zapakowali do szoferki, a konwojenta na skrzynię. Auto miało strażnika, bo wiozło bardzo ważny towar – wódkę Moskowskaja.

Kierowca spoglądał na Stefana spode łba. Zaczynała się tajga, kompletna głusza.

– A droga była taka: jak się karczuje tajgę, to bale padają na dwie strony obok siebie – wspomina Stefan Decenko. – Gałęzie są obcinane i po tych balach jedzie samochód. Ale jak on jedzie – kilka kilometrów na godzinę, za to bez przerwy. Kierowca śpi na kierownicy, a auto się toczy. Gdzieś pojawili się jacyś ludzie, wsiedli na pakę, żeby ich też podrzucić.

Wszyscy wrogo patrzyli na Stefana. Pomyślał, że już trzeba trochę zacząć mówić. Kierowca spytał:

– Ty jesteś z NKWD z Polski?

– Nie.

– To po co tam jedziesz, jesteś wojskowy?

– Tam może mieszka mój ojciec, został aresztowany i wywieziony.

Kierowca nagle zahamował. Wyskoczył z szoferki, woła ludzi, żeby szybko wszyscy zeszli: „Słuchajcie, to nie enkawudzista, to nasz człowiek!”.

I wszyscy zaczynają Stefana ściskać, witać się z nim. Ściągają z góry wódkę i częstują przybysza.

SZORNITE SYKTYWKAR

Nazajutrz dojechali do zapory w tajdze. Kobieta w kufajce przybiła na dokumentach kierowcy stempelek. Kierowca mówi do Stefana:

– Jesteśmy już u nas. Tu są ludzie dobrzy. Ruski człowiek niechoroszy, mnogo, mnogo tam żulików. A tu cię nikt nie okradnie, tu nic złego ci się nie może stać, bo to jest Komi.

Stefan nie bardzo rozumiał.

– To ty nie jesteś Ruski? – zapytał.

– A jakby tobie ktoś powiedział, że jesteś Ruski? – tłumaczył kierowca. – Że Polska to republika, tobyś mówił, że jesteś Ruski? Ja Polskę znam – ciągnął kierowca. – Byłem w czasie wojny na froncie. Trafiłem pod takie miasto, tam ludzie modlą się do czarnej postaci.

Wreszcie ustalili, że chodzi o Madonnę i Częstochowę.

– Ich język jest zupełnie niepodobny do naszego – opowiada Stefan Dacenko. – Z ugrofińskich, jak potem przeczytałem. Pamiętam, że „pij” to jest *ju*, a „mówi” to *szornite*. Jak już dojechałem do Noszulu, to tam wisiał

głośnik i przez półtorej godziny wieczorem, jak był prąd, nadawało Radio Syktywkar. Przed wiadomościami witali się: *Szornite Syktywkar*.

TU GNALI TWOJEGO OJCA

Po drodze co jakiś czas samochód wpadał w dziury między balami. Wszyscy wysiadali i wyciągali go linami. Wszyscy oprócz Stefana.

– Kierowca nie pozwalał mi wyjść – opowiada. – Ty jesteś gość, mówił.

Był lipiec, ciepło. Jechali trzy dni i trzy noce.

W końcu samochód wpadł między bale tak, że żadną ludzką mocą nie udało się go wyciągnąć. „Jutro, może pojutrze będzie tędy jechał staliniec i nam pomoże” – powiedział kierowca. Staliniec to ciągnik gąsienicowy, który wlókł karczowane drzewo do rzek.

Wszyscy wysiedli, zostawili swoje rzeczy, bo w tajdze nikt nie kradnie. Ruszyli po balach – za parę kilometrów powinna być jakaś chata.

– Kiedy szliśmy, jedna dziewczyna, 15-, może 16-letnia, powiedziała mi ważną rzecz – wspomina Stefan. – Wiedziała już, że mój ojciec był aresztowany. Ona więc mówi: „Zapamiętaj to na całe życie, tu gnali twojego ojca. Tutaj co drugie drzewo to trup. Ci, co już nie mieli siły iść w kolumnie, padali pod drzewami. A tamci ich rzucali w chaszcze i wilki dokonywały reszty”. Nawet byłem zdziwiony, że mówi tak otwarcie.

Szli w ciszy dwie, trzy godziny. Była już noc, kiedy dotarli do chaty. Kierowca obudził gospodarzy.

– To byli niesamowicie gościnni ludzie – opowiada Stefan Dacenko. – Dzieci gospodarzy spały na piecu, ale chcieli je wygonić, żeby mi zrobiły miejsce. Nie pozwoliłem, powiedziałem, że kierowca to mój kolega, będę z nim spać na podłodze na niedźwiedzich skórach. Nastawili samowar, pierwszy raz piłem z niego herbatę. Nalali herbaty na talerzyki i dali nam kombinerki – nie wiedziałem po co. Okazało się, że służą do rozkruszania cukru z takich sporych głów. Trzeba było pokruszyć, położyć cukier na talerzyku i na to się lało herbatę z samowara. Kobieta nakroiła ziemniaków w grube plastry, przełożyła słoniną z grzybami i prażyła w piecu. W życiu nic mi tak nie smakowało.

Nazajutrz staliniec wyciągnął samochód. Po drodze jeszcze wzięli benzynę – samemu nalewało się z beczek pod zbitym z desek zadaszeniem, nikt nie płacił.

TAM TAKIEGO NIE MA

Wreszcie dojechali do Noszulu. Stefan podpisał kierowcy bumagę. Wycałowali się na pożegnanie.

– On wiózł wódkę jeszcze dalej – wspomina Stefan Dacenko. – Kiedy dojeżdżała dostawa, wszyscy przestawali pracować i pili dotąd, póki w magazynie, w sklepie, była wódka. Mieli czym płacić, bo zesłańców zwolniono już z łagrów, ale pracowali przy karczowaniu tajgi.

Stefan odnalazł w Noszulu pocztę – drewnianą szopę na podwyższeniu, do środka wchodziło się po kilku schodkach.

– Przyjechałem z Polski, szukam ojca – powiedział.

– A gdzie jest twój ojciec? – zapytał urzędnik.

– W Noszulu-Bazie.

– To trzy kilometry stąd. Jak się nazywa?

– Dacenko.

– Tam takiego nie ma – machnął ręką urzędnik. – A ja znam wszystkich.

– Może w piekarni pracuje, coś takiego wspominał w ostatnim liście – powiedział Stefan.

Urzędnik chwilę pomyślał i nagle go olśniło:

– A to ja go znam, Anton Semenowicz.

Wszystko się zgadzało – ojciec miał na imię Antoni, a jego ojciec – Szymon.

Urzędnik zakręcił korbką w telefonie. W piekarni ktoś odebrał.

KTÓRY TO MÓJ OJCIEC?

Ojciec Stefana usłyszał od kogoś, że był telefon z poczty, że przyjechał jego syn. Nie uwierzył. Przecież żadnych listów od rodziny nie dostawał.

Pomyślał, że ktoś pewnie ma do niego jakąś sprawę i wymyślił tego syna. Albo sobie żarty stroi.

Na pocztę poszedł z kolegą.

Stefan zobaczył z daleka idących dwóch mężczyzn. Zapytał urzędnika z poczty: „Który to mój ojciec?”.

Ten popatrzył ze zdziwieniem: „Co ty, swojego ojca nie znasz?”.

Stefan wyjaśnił, że miał dziewięć lat, jak ojca zabrali.

Pocztowiec wskazał: „Twój ojciec to ten niższy”.

Kiedy ojca aresztowali, ubrany był w garnitur i jesionkę w kratkę. Żona wcisnęła mu jeszcze czapkę i szalik, bo było zimno. Ten niższy nadchodzący mężczyzna człapał w walonkach, ubrany w kufajkę, na głowie sterczała mu wielka czapa.

Ojciec zaniemówił na dwie godziny. Tylko obejmowali się, a ojciec płakał.

– Potem zaczął mówić, ale po rosyjsku – wspomina Stefan. – Ja na to: „Ojciec, jeżeli nie zapomniałeś, to mów do mnie po polsku, bo ja wszystkiego po rosyjsku nie rozumiem”.

Poszli do chaty, w której ojciec wynajmował pokój. Ludzie mieszkali na górze, na dole kozy i kury. Na dole znajdowała się też studnia – zimą było blisko do wody i nie zamarzała.

SIEDEMNASTA REPUBLIKA?

Wszyscy przyjmowali go jak członka rodziny. Był pierwszym Polakiem, który zawitał do nich po wojnie. Niczego nie wiedzieli. Czy Polska jest siedemnastą republiką? Czy używa się języka polskiego? Czy są polskie szkoły?

Ojciec w piekarni miał pomocnika, warszawiaka, który w czasie Powstania przeszedł na Pragę – Rosjanie go aresztowali i wywieźli. Stefan podarował mu album „Warszawa. Wczoraj i dziś” ze zdjęciami ruin i odbudowywaną stolicą. Pomocnik pierwszy raz po 12 latach zobaczył Warszawę.

Ojciec zaczął opowiadać, co się z nim działo przez te 11 lat.

Po aresztowaniu kilka dni trzymali go w Kaliszu. Potem przewieźli do Poznania. Nigdy się nie dowiedział, za co został uwięziony.

Transport z więźniami krążył po Polsce, aż wreszcie dotarł do Związku Radzieckiego.

Wielu więźniów po drodze zmarło. Była zima, niektórzy tylko w garniturach, płaszczach. Po jakimś czasie dojechali na miejsce – pod Workutę. Łagier, baraki, żadnej nazwy. Do jedzenia dostawali kromkę chleba i miskę zupy: trochę kapusty i woda, a jak się trafił ziemniak, to było szczęście.

Zwolniono ich na początku lat 50., skierowano do karczowania tajgi. Wtedy tata trafił do miejscowości Noszul-Baza. Kiedy uruchamiano piekarnię, ojciec zgłosił, że jest piekarzem.

– Tata opowiadał mi, że z kilograma mąki da się upiec nawet dwa kilogramy chleba – opowiada Stefan. – A Rosjanie myśleli, że tylko kilogram – i tak się z nimi rozliczał. Dzięki reszcie mógł przeżyć: handlował, rozdawał, jak ktoś nie miał pieniędzy.

Nikt stamtąd nie próbował uciec. Wokół była tajga. Podobno do wojny nie było kluczy, zamków ani kłódek. Jak gospodarz wychodził z domu, stawiał na drzwiach miotłę na znak, że go nie ma. Dopiero kiedy zaczęły się zsyłki, przyszły rozboje, kradzieże, pijaństwo.

DZWONIĘ PO SAMOLOT

Po kilku dniach Stefan stwierdził, że nie ma co dłużej siedzieć w Noszulu – trzeba tacie załatwić paszport. Ojciec miał szczęście – wciąż pozostawał obywatelem polskim. Wyglądało to tak: jeśli po opuszczeniu łagru ktoś przyjął obywatelstwo radzieckie, to było mu lepiej – mógł się poruszać w granicach Republiki Komi. Jednak potem nie miał, jak się okazało, żadnej szansy powrotu do Polski. Ojciec na szczęście obywatelstwa nie przyjął. Przez to nie wolno mu było ruszyć się na krok z Noszulu. Ale teraz miał szansę powrotu do Polski. Choć nie wierzył, że się to uda. „Synek, nie ma możliwości powrotu”, mówił. Stamtąd jeszcze nikt nie wyjechał.

Stefan musiał wydostać się z Noszulu. Samochód już żaden nie jechał. Pozostawała przeprawa czółnem na drugą stronę rzeki, a stamtąd autem do

Obiaczewa, gdzie znajdowało się lotnisko polowe.

Lotnisko to był pas ziemi i budka. Stefan zapytał o najbliższy samolot do Kirowa. Kobieta z budki wytłumaczyła, że tu nie ma „kiedy?”. Jak ktoś chce lecieć, to ona dzwoni po samolot i trzeba czekać. Po kilku godzinach przyleciał kukuruźnik.

– Przeżycie było niesamowite – opowiada Stefan Dacenko. – Pierwszy raz leciałem samolotem. Pilot z przodu był w reniferowym, futrzanym kombinezonie, a ja w popelinowym płaszczu i z gołą głową. Zmarzłem okropnie. Bałem się. Jak tylko wystartowaliśmy i samolot przechylił się, myślałem, że wypadnę z kabiny. Stefan siedem godzin kurczowo trzymał się ławeczki. Kompletnie ogłuchł. Pilot od czasu do czasu pytał: „Choroszo?”. Stefan odpowiadał: „Choroszo” – bo co miał mówić? Samolot trzeszczał, jakby się miał rozpaść. Czasem spadał 10 metrów w dół. Z góry widać było tajgę poprzecinaną rzekami, strumieniami.

Wylądowali w Kirowie. Pilot zajrzał na tylne siedzenie, czy mu Stefan nie zwymiotował. Ale Stefan okazał się gierojem.

W Kirowie kupił bilet na pociąg Pekin–Moskwa. Każdy wagon miał swojego konduktora-kelnera, który sprawdzał bilety, przynosił herbatę i pościel do spania. W przedziale Stefan jechał z radzieckim wojskowym. „Jaki twój stopień? – zapytał Stefana. – Bo masz same pagony, bez gwiazdek”.

Polak powiedział, że młodszy lejtnant, tak jak jego towarzysz podróży. Wojskowy tylko się uśmiechnął, bo jak się później okazało, Stefan źle odczytał jego stopień – był pułkownikiem. Zapytał, dlaczego Stefan nie nosi munduru. A Stefan przekonywał, że w Polsce jak wojskowy jedzie na urlop, to nie nosi munduru, tylko płaszcz z pagonami.

Wojskowy zaproponował, że w Moskwie podwiezie Stefana do polskiej ambasady. Pod dworcem czekała już na niego służbowa wołga z kierowcą. Stefan zajechał więc pod ambasadę z pełną pompą, pilnujący milicjanci salutowali.

STARIK CHCE WYJEŻDŻAĆ?

Ambasada obiecała wystawić ojcu paszport konsularny – w Noszulu na wszelki wypadek zrobili tacie zdjęcia, więc Stefan miał co wkleić do paszportu. Ale to jeszcze nie oznaczało, że ojcu uda się wrócić do Polski. Potrzebował radzieckiej wizy wyjazdowej. Kobieta w ambasadzie powiedziała, że Stefan po tę wizę musi jechać do Syktywkaru, stolicy Komi: „Tam niech się pan zgłosi do pułkownika Sukorina. Tylko niech pan nie mówi, że przyjechał z prośbą, bo nie wiadomo, czy pan w ogóle coś załatwi. Niech pan się powołuje na wszystkich: ambasadę, rząd".

Stefan w Moskwie czekał dwa dni na paszport. Potem większym samolotem, na 30 osób, poleciał do Syktywkaru. Na miejscu odnalazł NKWD i pułkownika Sukorina.

– W sowieckim prawitielstwie powiedzieli, że pan wszystko załatwi.

– Tak wam skazali? Znają moje nazwisko? Nu, choroszo. Składajcie podanie, zdjęcia. Może za miesiąc, dwa, trzy wyślemy odpowiedź.

I znowu tłumaczenie, że Stefan nie może tyle czekać, że musi mieć dla ojca wizę jutro, pojutrze. Bo mu się urlop kończy.

– Niech ojciec napisze podanie o wizę wyjazdową – powiedział pułkownik.

Stefan przeraził się – znowu trzeba by jechać do Noszulu. Ale wymyślił:

– Ojciec starik, niepiśmienny, ja za niego napiszę.

– Jak on starik, to po co chce gdzieś wyjeżdżać? Niech tu już mieszka.

Stefan tłumaczył, że ojciec w Polsce ma dzieci, żonę, rodzinę. Pułkownik uległ. Dyktował i pisał na brudno, a Stefan przepisywał podanie.

Zakwaterowali go w zabytkowym hotelu, w apartamencie miał sypialnię i gabinet ze skórzanymi fotelami. Po trzech dniach zadzwonił telefon: jest wiza wyjazdowa.

DO POLSKI

Ojciec tymczasem stracił już nadzieję, że syn wróci. Potem nie chciał wierzyć, że uda się wyjechać. Mówił: „Mnie władze miejscowe nie

puszczą”. Ale skoro Syktywkar pozwalał, to władze miejscowe nie miały już nic do gadania.

Załatwili samochód, by dojechać do najbliższej stacji kolejowej – to już był początek drogi do Polski.

– Załadowaliśmy tobołki ojca – opowiada Stefan. – Usiadłem z tyłu, na pace, w szoferce zmieścił się tylko ojciec i kierowca. Jedziemy. Bagaż się obluzował, więc walę w szoferkę. Kierowca pomógł mi przymocować liny, wszyscy poszliśmy na bok za potrzebą. Chaszcze przy drodze po pas, po paru metrach nie było widać drogi.

Wrócili do auta i jadą dalej. Po jakichś dwóch, trzech godzinach znowu stają. Na górę zagląda kierowca i pyta:

– A ojciec gdzie?

– Jak to, gdzie? W szoferce.

Ale w szoferce ojca nie było. Kierowca myślał, że ojciec po ostatnim postoju wsiadł z synem na pakę, a Stefan sądził, że tata wrócił do szoferki. Co robić? Na wąskiej drodze nie mieli jak zawrócić olbrzymią ciężarówką. Postanowili czekać – a nuż ojciec nadejdzie? Wreszcie zobaczyli – jedzie beczkowóz. Ojciec miał szczęście, że się nim zabrał. Dojechał spłakany, myślał, że kierowca specjalnie Stefana wywiózł, żeby go okraść.

– Kiedy dotarliśmy do miasta, musiałem ojca prawie za rękę prowadzić – wspomina Stefan. – Jedenaście lat spędził w tajdze.

W Moskwie wsiedli do pociągu do Polski – bez żadnych przygód przekroczyli granicę. Na dworcu w Białej Podlaskiej ojciec dostał zapomogę dla repatriantów.

A potem ich okradli i drugi raz się zgubili. Stefan ładował bagaże do pociągu, ojciec pilnował reszty. Kiedy skład ruszył, Stefan wskoczył w ostatniej chwili do wagonu – mało brakowało, żeby wpadł pod koła.

Wskakiwał niepotrzebnie. Pasażerowie, widząc, że syn i ojciec nie zdążą wsiąść, wyrzucili ich bagaże.

I tak na stacji został ojciec z bagażami, ale bez pieniędzy i biletu, a w pociągu Stefan z biletami, ale bez ojca.

Odnaleźli się w Warszawie. Na Dworcu Wschodnim ojciec przez kilka godzin siedział na wózku bagażowym ze swoimi dwiema walizeczkami.

Dalej obyło się już bez przygód. Dotarli do Kalisza, do domu.

– Ojciec nie wiedział, jak się zachowywać – wspomina Stefan. – Przyjechał do domu po 11 latach. Wszyscy wydorośleli. Moje dwie siostry

były już mężatkami.

Antoni Dacenko przeżył w Kaliszu jeszcze 20 lat. Wciąż był piekarzem. Nigdy nie chciał rozmawiać na tematy polityczne.

A Stefan też rzadko opowiadał historię swoich poszukiwań. Znała ją tylko rodzina i kilkoro bliskich znajomych.

– Bo czy to w ogóle jest dziś dla kogokolwiek ciekawe? – zapytał, kiedy wodziliśmy palcem po mapie.

Stefan ze Związku Radzieckiego oprócz ojca przywiózł jeszcze dwie ślubne obrączki. Oboje z żoną, wówczas narzeczoną, noszą je do dziś.

POSTSCRIPTUM

Premier Jerzy Buzek w 2001 roku – w rocznicę agresji Związku Radzieckiego na Polskę 17 września 1939 roku – oficjalnie podał adres internetowej bazy danych o Polakach represjonowanych na Wschodzie: www.indeks.karta.org.pl.

W internetowej bazie danych do 2013 roku udostępniono biogramy około 316 tysięcy biogramów wywiezionych Polaków, ponadto przygotowano wersje robocze kolejnych 1,2 miliona. Zweryfikowane ukazywały się wcześniej w kilkunastu „papierowych” tomach wydanych przez ośrodek KARTA[15], między innymi „Uwięzieni w Borowiczach”, „Aresztowani Lwowa i Drohobycza”, „Więźniowie łagrów w rejonie Workuty”.

Dane do „Indeksu represjonowanych” zaczęto zbierać w 1988 roku.

– Do „Karty”, podziemnego czasopisma, niezajmującego się na ogół historią, przyszedł tekst o Polaku, który po wielu latach spędzonych w Gułagu wrócił do Polski w 1977 roku – opowiada Zbigniew Gluza, szef ośrodka KARTA. – W Polsce odtrąciła go rodzina, nigdzie już nie mógł znaleźć własnego miejsca. Zaczęliśmy szukać świadectw ludzi, którzy wrócili „stamtąd”. To było dla nas odkrycie – Gułag nie był zamierzchłą przeszłością, obok nas żyli ludzie, którzy go przeżyli, ale od dawna o tym nie mówili – opowiada Zbigniew Gluza.

Przy piśmie „Karta” powstało wówczas Archiwum Wschodnie. Po 1989 roku zaczęli się masowo zgłaszać Polacy, którzy szukali swoich bliskich zaginionych na Wschodzie. Pytali: czy wiecie coś o losie mojego dziadka,

ojca, wujka? Do „Karty” napisało ponad 40 tysięcy osób. Wówczas „Karta” postanowiła zaprzestać poszukiwań konkretnych osób – przekraczało to możliwości stowarzyszenia. Zaczęto szukać w poradzieckich archiwach zbiorczych materiałów, na podstawie których udałoby się spisać listy represjonowanych. Przy tworzeniu „Indeksu” współpracowało z ośrodkiem KARTA stowarzyszenie „Memoriał”, które prowadziło w poradzieckich archiwach kwerendy, poszukuje miejsc łagrów, straceń, więzień, grobów. W ten sposób powstało właśnie kilkanaście tomów z listami represjonowanych.

Ogłaszając uruchomienie internetowej bazy danych, premier powiedział: „Korzystanie z tej bazy jest możliwe także poza granicami naszego kraju, co dla naszej diaspory, dla milionów Polaków na świecie jest niezwykle ważne”. O ośrodku KARTA mówił: „Niezależnie jaka opcja polityczna będzie rządziła Polską, zawsze tego typu badania, tego rodzaju zbiory będą istotne”. Dodał: „Chodzi o znalezienie wszystkich osób i podanie do publicznej wiadomości biogramów tych, którzy byli prześladowani na Wschodzie. Jest to zadanie olbrzymie”.

W ośrodku KARTA nigdy nie słyszano o żadnym Polaku, który w 1956 roku wyruszyłby do Związku Radzieckiego na poszukiwanie zaginionego członka rodziny – tak jak to zrobił opisywany Stefan Dacenko. Podobna historia zdarzyła się tylko jeszcze w czasie wojny. Pułkownik Aleksander Klotz z polecenia polskiego podziemia wyruszył, wraz ze swoją łączniczką Eleonorą Wandą Ptaszek, na poszukiwanie uwięzionego przez NKWD pułkownika Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. Wysłannicy przebyli w sumie 28 tysięcy kilometrów przez Lwów, Czelabińsk, Taszkient, Baku, Syktywkar, Irkuck, Charków i znowu Lwów. Podróż i swoje dzieje opisał sam Aleksander Klotz w książce „Zapiski konspiratora 1939–1945”[16].

ROZDZIAŁ 15

KTO WYMYŚLIŁ BLOKI?

PIOTR LIPIŃSKI

Budowanie z cegieł przypomina układanie klocków. Z wielkiej płyty – stawianie domku z kart. Pierwszy w kraju blok z wielkiej płyty powstał w Nowej Hucie, kolejne – na warszawskim osiedlu Jelonki. Dlaczego wszyscy w PRL-u chcieli mieszkać w blokach?

W PRL-u żyło się bardzo rodzinnie. Choć nikt na to nie miał ochoty.

Dzieci czasami wyprowadzały się od rodziców, gdy kończyły 40 lat. Bo w PRL-u brakowało nie tylko mięsa, cukru, benzyny i czekolady. „Na kartki" były również mieszkania. Żeby wreszcie przeprowadzić się do swojego „M", należało najpierw dostać przydział.

Mieszkań brakowało do samego końca PRL-u. W 1989 roku, niedługo przed wyborami 4 czerwca, „Kurier Szczeciński" donosił, że jeszcze kilka lat wcześniej 20 tysięcy osób czekało nie na przydział mieszkania, ale na przydział do jakiejś spółdzielni, w której mogliby później spędzić resztę życia, czekając na lokal. Problem wreszcie rozwiązano – powstała spółdzielnia mieszkaniowa Warszewo i przygarnęła oczekujących na przyjęcie do jakiejś spółdzielni. Niestety domów od tego nie przybyło. Nazwa spółdzielni wzięła się od terenów, na których zamierzano zacząć budowę bloków. Ale dopiero w bliżej nieokreślonej przyszłości.

BYLIŚMY GRUZOWISKIEM

Mieszkanie było największym marzeniem obywatela PRL-u. Bez znajomości w partii i urzędach trzeba było czekać na własne „M” nawet kilkanaście lat. Władza postawiła na przemysł ciężki, zaniedbując budownictwo. Ale zaraz po II wojnie światowej z wielkim entuzjazmem rozpoczęto odbudowę zniszczonego kraju.

– Mnie się śniło nieraz w nocy, zrywałem się w nocy i mówiłem: Matko Boska! Przecież odbudują Warszawę, a mnie tam nie ma! – wspomina towarzysz Albin Siwak, najpierw przodownik pracy, a potem członek Komitetu Centralnego PZPR.

– Byliśmy jednym wielkim gruzowiskiem – dodaje Sylwia Czarnecka, wieloletnia pracowniczka budownictwa. – Domy stawiano z cegły rozbiórkowej, nie było cementu, był tylko piasek.

Bito rekordy, które chętnie uwieczniała Polska Kronika Filmowa. Cała Polska w kinach oglądała, jak szybko można budować domy. Ale pod optymistyczną propagandą kryła się skrzecząca rzeczywistość.

Zdzisław Szybisz, technik budowlany, zapamiętał, że dla celów propagandowych typowano budynki zwane „szybkościowymi”. Zapewniano im najlepsze zaplecze – ciągłe dostawy materiałów, fachowców. Potem na ich przykładzie pokazywano, jak szybko rośnie nowa Polska. Ale inne budynki – te, których nie zakwalifikowano do „szybkościowców” – rodziły się powoli i w bólach.

Zdzisław Szybisz jeździł werbować pracowników do budownictwa w Warszawie. Kiedyś wyruszył do Puław. Po dziesięciu dniach poszukiwań znalazł chętnych do pracy rolników. Przywiózł ich do Warszawy, przenocował w świetlicy przy ulicy Krochmalnej. Rano poszedł do zjednoczenia i powiedział:

– Mam ludzi, ale ja już do nich nie pójdę, bo gotowi mnie obić. Spali na podłodze, są głodni i spragnieni. Co mam teraz zrobić?

– Jechać z powrotem i dalej werbować – usłyszał.

SZTANDAROWA BUDOWA

– Te wszystkie rekordy, o których zresztą Andrzej Wajda nakręcił „Człowieka z marmuru”, to była norma przedwojenna dla wysoko kwalifikowanych murarzy – opowiada dziennikarz Stefan Bratkowski. – 32 tysiące cegieł podczas jednej zmiany to nie był żaden rekord, ale norma, której wymagano od zawodowców.

– 95 procent ludzi wtedy nic nie miało w domu – wspomina Albin Siwak. – Nie miało radia, pralki, telewizora. Na to wszystko trzeba było zarobić. W akordzie się zarabiało dwa, trzy razy tyle, co normalnie. Ja dzisiaj słyszę, że zmuszano tych ludzi do pracy, znęcano się… Nikt nikogo nie zmuszał. Jak ktoś nie chciał tak ciężko pracować, to przychodził i mówił: nie mam siły, nie mam zdrowia. Normalnie odchodził z pracy.

Sztandarową budową tamtych lat był kombinat Nowa Huta. Powstał jako nowa część Krakowa. Polacy podejrzewali, że władza postanowiła stworzyć nową robotniczą dzielnicę, aby zrównoważyć wpływy inteligencji w Krakowie. Twierdzono nawet, że była to zemsta za przegrane w Krakowie referendum 1946 roku[17].

Obok kombinatu powstały nowe domy dla robotników. O zdecydowanie lepszej architekturze niż późniejsze PRL-owskie blokowiska.

NOWA HUTA JAK MODELKA

– Jest pan jednym z najstarszych mieszkańców Nowej Huty? – pytam.

– Wkrótce kończę 90 lat – opowiada Wiktor Pental. – A mój związek z Nową Hutą trwa już prawie 60 lat. – Przyzwyczaiłem się do niej jak do modelki, z którą żyje fotograf. Bo w Nowej Hucie mieszkam i fotografuję ją prawie całe życie.

Pierwszy raz o niej przeczytałem, kiedy wyszedłem z więzienia. Był początek lat 50. ubiegłego wieku. Posadzili mnie za przynależność do Armii Krajowej, byłem więc wrogiem ludu. Kiedy wyszedłem z więzienia, przeczytałem w gazecie, że pod Krakowem rośnie miejsce, w którym każdy znajdzie pracę i dom. A kiedy siedziałem w więzieniu, moją żonę

wyrzucono z naszego mieszkania do baraku. Przyjechałem więc na budowę Nowej Huty – i nagle z wroga ludu stałem się pracownikiem sztandarowej budowy komunizmu.

– Jak wtedy wyglądała Nowa Huta?

– Jeszcze w ogóle nie wyglądała. Tu gdzie teraz mieszkam, było pole, na którym rosło żyto. Zbudowano dopiero pierwszy dom, w nim były biura budowy. Dziś ten dom ma numer 14, a na fasadzie wisi pamiątkowa płyta: „W tym miejscu rozpoczęto budowę symbolu socjalistycznych przeobrażeń Polski Ludowej 1949–1969”.

Wiktor Pental nauczył się fotografowania jeszcze przed wojną, w drużynie harcerskiej. Kiedy tylko zamieszkał w Nowej Hucie, śledził jej dzieje z aparatem w ręku. Mieszkał w barakach przy zakładzie fotograficznym i po pracy fotografował. Ale nie każdy mógł wówczas wyjść na ulicę i pstrykać, co tylko zechce. Od razu pojawiał się milicjant, bo władza obawiała się szpiegów. Wiktor Pental zdobył specjalne pisemne pozwolenie.

Był absolwentem liceum pedagogicznego, więc powierzono mu organizowanie szkoleń dla murarzy. Zarabiał kilka razy mniej od nich. Władza najwyżej ceniła pracę robotników.

Jak na PRL, mieszkanie dostał bardzo szybko. Czekał tylko kilka miesięcy.

– Na 1 maja 1951 roku, na święto robotnicze, dostałem przydział – wspomina. – To był luksus – wysokie pokoje, bieżąca woda, w łazience wanna. Od tego w głowie się kręciło. Przecież robotnicy, którzy wprowadzali się do mieszkań, przyjechali z wiosek, w których chaty były kryte słomą, a w środku nie było podłóg, tylko klepisko.

– Ulubieńcami władzy stali się przodownicy pracy.

– Fotografowałem ich portrety. Ale kolejne rekordy bili chyba nie z miłości do władzy, ale dla pieniędzy – bo im więcej pracowali, tym więcej zarabiali. Najsłynniejszy przodownik pracy to Piotr Ożański – dziś tu niedaleko ma swój plac. Raz wykonał 802 procent normy – czyli osiem razy więcej niż przeciętny robotnik. Położył razem z kolegami 20 tysięcy cegieł. Ale podczas bicia kolejnego rekordu[18], kiedy chciał ułożyć 50 tysięcy cegieł, poparzył się cegłą leżącą koło ogniska służącego do podgrzewania lepiku do izolacji – władza próbowała udowodnić, że to był zamach na jego życie.

Ożański stał się pierwowzorem „Człowieka z marmuru” w filmie Andrzeja Wajdy z 1976 roku, gdzie został przedstawiony jako Mateusz Birkut, a postać tę zagrał Jerzy Radziwiłowicz. Ale swój plac miał tylko trzy lata. W styczniu 2006 roku na wniosek radnego z LPR-u Rada Miasta Krakowa nadała jego imię terenowi położonemu na osiedlu Willowym w Nowej Hucie, jednak w marcu 2009 roku uchwała Rady Miasta Krakowa została cofnięta głosami PO i PiS na wniosek radnego z PO.

– Przodownicy pracowali dokładnie czy tylko szybko?

– Naprawdę wszyscy wykonywali swoją pracę sumiennie. Bo przecież budowali dla siebie. A w gazetach przedstawiano ich jako bohaterów pracy socjalistycznej.

– Podobno komuniści wymyślili robotniczą Nową Hutę, aby ukarać inteligencki Kraków za to, że przegrali w nim referendum w 1947 roku.

– Ale komuniści się przeliczyli. Pewnie mieli nadzieję, że z robotników zrobią nowy rodzaj ludzi. Że na przykład dzięki Nowej Hucie oderwą robotników od religii. Nie udało się. Robotnicy po pracy szli do kościoła.

– Nowa Huta to miał być taki raj na ziemi?

– I to słynny na cały świat. Nawet Stalin o niej mówił. I jeszcze przekonał francuskich komunistów do tego raju – przyjechali do pracy w Nowej Hucie. Jak tylko zobaczyli ten raj, to czym prędzej uciekali. Najdłużej jeden wytrzymał półtora roku.

Rygor był wojskowy – junacy mieszkali w namiotach, pobudka była o piątej rano. Śniadanie i do ciężkiej pracy. A po południu, po obiedzie – do nauki. Bo przecież wielu nie potrafiło czytać ani pisać.

Dyscyplinarz odnotowywał nawet jednominutowe spóźnienie. I nie obchodziło go, że robotnik dojeżdża kilkadziesiąt kilometrów i spóźnił się przez autobus.

– Skąd się brali polscy robotnicy?

– Z całej Polski. Przyjeżdżali junacy – kilkunastoletni chłopcy. Na dłużej mało kto zostawał – młodzi robotnicy uciekali do rodzinnych wiosek. Najwięcej chyba zostało takich, którzy już wcześniej mieszkali w okolicznych wsiach i tu przynajmniej mieli pracę.

– Po ciężkiej pracy głównie pili wódkę, bo nie mieli nic lepszego do roboty?

– Jasne, że pili, ale teraz młodzi piją chyba jeszcze więcej. Organizowaliśmy im rozrywki, zawody motorowe, występy Mazowsza[19].

Często fotografowałem artystów, bo tu każdy chciał przyjechać, pokazać się w Nowej Hucie. A jak junacy po wódce narozrabiali, to ich zaraz milicja uciszyła. Porządek był większy niż teraz. Ulic pilnowały milicja i ORMO, łapali nawet, jak ktoś przechodził na czerwonym świetle. A dziś pan popatrzy na pobazgrane mury: „HWDP”, „Cracovia ponad prawem”. Ale na moim osiedlu w Nowej Hucie – to najstarsze tu osiedle – wciąż jest bardzo rodzinnie. Każdy tu mówi sobie „dzień dobry”, nawet jak zna się tylko z widzenia. Ale już na młodszym osiedlu, gdzie mieszka moja córka – też w Nowej Hucie – nikt nikogo nie chce znać. Nie chcę się stąd wyprowadzać. Niby to kombinat Nowa Huta, a wokół jest przecież mnóstwo zieleni. Wystarczy spojrzeć na drzewa za oknem. Sadzono je w tym samym czasie, co budowano domy – 60 lat temu. I jakie wysokie urosły, wyższe niż domy.

WSPÓLNE ŁAZIENKI I ŚLEPE KUCHNIE

Po wojnie lokale powyżej pięciu izb i 110 metrów kwadratowych trafiły pod państwowy zarząd. W praktyce oznaczało to, że nie właściciel takiego mieszkania, ale urząd kwaterunkowy decydował, kto w nim zamieszka.

Po okupacji sytuacja mieszkaniowa była fatalna. W pierwszej połowie lat 50. ubiegłego wieku na cztery zawarte małżeństwa przypadało zaledwie jedno nowe mieszkanie.

– Od 1951 roku właściwie nie było już lokali wyjętych spod publicznej gospodarki – opowiada historyk Krzysztof Madej. – O każdej izbie decydowało państwo.

Władysław Gomułka stwierdził, że gdyby jedną trzecią tego, co społeczeństwo przeznacza na wódkę, wydawano na mieszkalnictwo, to problem mieszkań zostałby rozwiązany.

– To stwierdzenie było kwiecistym wprowadzeniem do czegoś, co określano jako nowa polityka mieszkaniowa – komentuje historyk.

Józef Tejchma, członek Biura Politycznego PZPR, wspomina:

– Za Gomułki próbowano wydobyć Polskę z niżu mieszkaniowego. Nawet pojawił się absurdalny pomysł budowy bloków ze wspólnymi łazienkami na korytarzach i ślepymi kuchniami.

Premier Józef Cyrankiewicz zapamiętał, że Gomułka bardzo dziwił się, dlaczego wszyscy chcą mieć osobne łazienki, a nie mogą zadowolić się wspólnymi.

W pewnym momencie wprowadzono rozporządzenie, żeby budować bloki bez piwnic. Ludzie się zdenerwowali i podnieśli bunt, bo takie mieszkania co prawda były tańsze, ale mniej wygodne. W końcu postanowiono pogłębić niemal już gotowe budynki.

Ponoć jednak pomysł taniego budownictwa to „zasługa" Zenona Kliszki, bliskiego współpracownika Władysława Gomułki. I sekretarz chętnie podchwycił ideę, bo znany był z zamiłowania do oszczędności. Sam dzielił papierosy na pół i palił w szklanej fifce.

CAŁOWAŁAM PODŁOGĘ

Do 1965 roku inwestorem było przede wszystkim państwo. Budownictwo komunalne, zwane też kwaterunkowym, służyło głównie najbiedniejszym. I tym, którzy zasłużyli się władzy: milicjantom, działaczom partyjnym, artystom. Rozwijało się też budownictwo spółdzielcze. Choć z przedwojenną spółdzielczością niewiele miało wspólnego. W gruncie rzeczy spółdzielnie stały się państwowymi urzędami zarządzającymi budownictwem.

– Na początku spółdzielczość działała na zasadach wolnego rynku – opowiada historyk Krzysztof Madej. – Co miesiąc trzeba było spłacać kredyt na mieszkania. W latach 60. średnia pensja wynosiła 2,5 tysiąca złotych, a z tego na ratę przypadało 700 złotych.

Przydział mieszkania był wielkim świętem w życiu każdego Polaka.

– Kiedy moja mama dostała z pracy przydział mieszkania – opowiada Sylwia Czarnecka, długoletnia pracowniczka budownictwa – to był taki luksus, że całowałam podłogę.

W grudniu 1970 roku ze stanowiska I sekretarza partii odszedł Władysław Gomułka, a jego miejsce zajął Edward Gierek. Zaczął się nowy okres w budownictwie.

Pod koniec lat 60. budowano w Polsce 150 tysięcy lokali rocznie. Dekadę później już około 230 tysięcy. Ale mimo tego w kolejce po

mieszkanie nadal czekało ponad 1,5 miliona chętnych.

– Nieraz w jednej izbie mieszkało po piętnaście i więcej osób – wspomina Albin Siwak. – Polska potrzebowała wyciągnąć ludzi z tych nor. Było olbrzymie ciśnienie na władze polityczne, że mieszkań wciąż jest mało i mało. Gdyby budować tradycyjnie, z cegły, to nawet jakby pół Polski chwyciło za kielnię, to w tych czasach nie zdążyłoby wybudować tyle, ile potrzeba.

Wymyślono więc bloki. Z gotowych płyt zamiast cegieł.

ZBUDUJEMY DRUGĄ POLSKĘ

– To oznaczało, że zbudujemy w ciągu zaledwie kilku lat tyle samo mieszkań co powstało do tej pory od zakończenia wojny – mówi Józef Tejchma. – Zbudujemy drugą Polskę mieszkaniową.

To właśnie miał na myśli Edward Gierek, gdy przemawiał:

„Idzie o wielką sprawę, o to, żeby w okresie życia jednego pokolenia zbudować drugą Polskę”.

Albin Siwak zapamiętał, że Gierek, gdy tylko został I sekretarzem, zebrał budowlańców i zapytał, co należy zrobić, aby im pomóc. Po spotkaniu zlikwidowano mnóstwo zbędnych przepisów. Gierek postawił na budownictwo z wielkiej płyty, bo uznał, że w ten sposób szybko powstanie dużo mieszkań.

Wielką płytę wymyślono w okresie międzywojennym na zachodzie Europy. Pierwsze większe konstrukcje powstały w latach 30. we Francji, Szwecji i Holandii. Płyty z betonu pozbawionego tynków odlewano w fabrykach. Idea związana była z pomysłem „maszyny do mieszkania” Le Corbusiera. Ściśle wyliczonej na podstawie wzrostu przeciętnego człowieka.

Budowanie z cegieł przypomina układanie klocków. Z wielkiej płyty – stawianie domu z kart.

W Polsce pierwszy blok z wielkiej płyty powstał w Nowej Hucie w latach 50. ubiegłego wieku. Kolejne wyrosły w 1958 roku na warszawskim osiedlu Jelonki.

Ale boom na ten rodzaj budownictwo wybuchł właśnie w latach 70. ubiegłego wieku, w epoce Edwarda Gierka. W tym samym czasie na Zachodzie rezygnowano z tej technologii.

– To budownictwo było fatalne – uważa architekt Piotr Sembrat. – Fabryki domów to najgorsze, co sobie można wykombinować.

– Opinia o wielkiej płycie była bardzo zła – wspomina Piotr Wasylkowski, wieloletni dyrektor przedsiębiorstw budowlanych. – Bo co to jest wielka płyta? To samo co żelbetowy dom, tylko dwa razy droższy w stanie surowym, bo trzeba najpierw materiał przywieźć do fabryki, która wykona płyty, a potem to wszystko znowu zawieźć na budowę.

– A dlaczego do Polski przyszła wielka płyta? – dodaje. – Po prostu nie mieliśmy fachowców. Młodzież nie garnęła się do budownictwa, w którym pracuje się cały rok i jest się uzależnionym od warunków atmosferycznych. Wielka płyta dawała możliwość pracy w zamkniętym zakładzie.

Albin Siwak nie lubił wielkiej płyty:

– W moim odczuciu nie jest to zdrowe budownictwo. Bo to jest po prostu lity beton.

– To w ogóle nie była architektura – uważa architekt Piotr Sembrat. – Nie było nic do roboty dla architekta. Ucierpiała na tym urbanistyka.

– Standard wykończenia tych mieszkań nie był niestety najwyższy – przyznaje Józef Niewiadomski, minister budownictwa w latach 1986–1987. – Ale było to mieszkanie, było ciepło, była woda, łazienka. W ogóle był niesamowity pęd, wszyscy chcieli do bloków.

– Były okresy, kiedy budowaliśmy, wiedząc, że trzeba będzie poprawiać – mówi Piotr Wasylkowski. – Albo stawiamy na ilość, albo na jakość. Niestety nie byliśmy w stanie wywiązać się z zaplanowanej ilości przy zachowaniu dobrej jakości.

SYSTEM ZACZĄŁ SIĘ WALIĆ

Do spółdzielni mieszkaniowych należeli kandydaci oraz kandydaci na członków spółdzielni. Pierwszą wpłatę wnosili w zależności od wielkości mieszkania, przy czym nie były to wielkie kwoty. Ani władza, ani spółdzielnie nie podawały informacji, ile faktycznie kosztuje mieszkanie.

Tymczasem pierwsza wpłata wynosiła wartość zaledwie czterech, pięciu metrów kwadratowych mieszkania.

– Dekada lat 70. to zadekretowany przez państwo monopol spółdzielczości – opowiada historyk Krzysztof Madej. – To nie tak, że ludzie pokochali mieszkania spółdzielcze, po prostu innych nie było.

– Po koniec lat 70. ten system budownictwa zaczął się walić – dodaje. – Wprowadzono instytucję kandydata na członka spółdzielni. Niektórym dzieciom już od poczęcia zakładano książeczki mieszkaniowe. Państwo miało już mnóstwo zobowiązań wobec obywateli, tylko nie mogło się z nich wywiązać, bo sytuacja w budownictwie była pochodną fatalnej kondycji całej gospodarki.

Jeszcze gorzej działo się w latach 80. ubiegłego wieku. Budowano nawet dwukrotnie mniej niż dekadę wcześniej. Coraz częściej oszukiwano – nagle w grudniu oddawano wiele budynków, bo trzeba było wykonać plan, bo czekano na premie. A w styczniu zaczynano remontować.

– Budownictwo z roku na rok upadało wyraźnie w oczach – opowiada Albin Siwak. – Aż padło jak ta zagłodzona szkapa.

STOSUNEK BIZNESOWY A NIE UCZUCIOWY

Dziś PRL-owskie budownictwo stało się atrakcją dla zagranicznych turystów.

– Zakochał się pan w Nowej Hucie?

– Założyłem firmę Crazy Guides, która organizuje wycieczki po Nowej Hucie. Czyli mam stosunek biznesowy, a nie uczuciowy – odpowiada Michał Ostrowski.

– Kiedy pan pierwszy raz trafił do Nowej Huty?

– Całkiem niedawno. Mam 31 lat, od urodzenia mieszkam w Krakowie. I jak dla każdego Krakusa Nowa Huta zawsze była dla mnie ziemią zakazaną. Miejscem, gdzie nie ma nic ciekawego, a co najwyżej można dostać w zęby. Kilka lat temu przeczytałem artykuł o renesansowych założeniach Nowej Huty – bardzo mnie to zainteresowało. Wsiadłem w autobus i pojechałem tam pierwszy raz. Nowa Huta zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Zawsze pociągała mnie absurdalna, symetryczna

architektura – jakieś osiedla na planie koła albo pięcioramienne place. Nowa Huta jest właśnie symetryczna, jej socrealizm nawiązuje do renesansu. Czułem się tam, jakbym był w innym świecie, który nie ma nic wspólnego z Krakowem – a to przecież jego dzielnica.

– I pomyślał pan, że skoro pana zafascynowała Nowa Huta, to powinna też zaciekawić Amerykanów, Anglików, Chińczyków?

– Pomysł na wycieczki to był przypadek. Pięć lat temu obwiozłem moim „maluchem" obcokrajowców po szeroko pojętym nieturystycznym Krakowie. Pokazałem im robotnicze osiedle, na którym mieszkałem, w moim domu była kiszka, ogórek, piwko. Byli zachwyceni. Namawiali mnie, żebym zrobił z tego biznes. Generalnie pomysł był taki: objazd starymi autami i wizyta u jakiegoś „lokalsa", który opowie coś ciekawego.

– Teraz to się nazywa Communism Tour?

– To hardcorowa nazwa, bo samo hasło Nowa Huta niewiele mówi turystom. Moi przewodnicy pakują ich do trabantów, mamy ich już kilkanaście, i ruszają do Nowej Huty. Jeździmy trabantami, bo to z jednej strony siermiężny samochód, a z drugiej rozpoznawany na całym świecie. Myślałem wcześniej, żeby jeździć „maluchami" – ale to przecież samochód, który powstał nie w komunie, tylko we Włoszech.

– Co pokazujecie w Nowej Hucie?

– Staramy się, żeby poczuli klimat PRL-u. Pokazujemy plac Centralny w Nowej Hucie, czasami kombinat. Idziemy do restauracji Stylowa, bo tam zachowali się i klienci, i personel niczym z lat 80. ubiegłego wieku. Idziemy też do mieszkania w Nowej Hucie, które trochę wystylizowaliśmy na lata 80., żeby turyści obejrzeli typową meblościankę. Mamy w tym mieszkaniu nawet wynajętego nowohuckiego robotnika, pana Wiesława.

– To prawdziwy robotnik?

– Nie, też taki trochę wystylizowany, chociaż on z natury ubiera się jak w latach 80. Najważniejsza jest sama charakterystyczna twarz pana Wiesława, kiedy polewa ciepłą wódkę. Turyści są zachwyceni tym klimatem! Jedna cecha podobała mi się w PRL-u. Że obok siebie, w jednym bloku, mieszkali profesor, robotnik, taksówkarz, ubek. Według mnie ten miks dobrze wpływał na wychowanie młodych ludzi.

– Jasne, syn profesora miał się od kogo nauczyć pić wódkę. A turyści coś z tego rozumieją?

– Z rozumieniem bywa różnie. Chińczycy często niczego nie rozumieją, bo w ogóle słabo mówią po angielsku. Dla nastoletnich Amerykanów główną atrakcją jest przejażdżka trabantem. Czasami mamy Anglików, którym zależy głównie na zabawie, zabieramy ich na retrodyskotekę, czyli dansing w Stylowej. Ale mamy też klientów, którzy zadają wiele pytań, są bardzo zainteresowani PRL-em. Dużo chcą się dowiedzieć Skandynawowie – ze względu na socjalny charakter ich państw. Mieliśmy też członków włoskiej i portugalskiej partii komunistycznej, nie wiem, czy wyleczyli się ze swoich przekonań. Anglicy często pytają, czy komunizm był tak okrutny, jak w Związku Radzieckim. A w ogóle najczęstsze pytanie turystów to: czy w Polsce Ludowej mieszkało wielu Rosjan?

– Daje im się wytłumaczyć siermiężność PRL-u?

– To wcale nie jest takie proste. Najpierw myślałem, że wystarczy pokazać im mieszkanie w Nowej Hucie i od razu zobaczą, jak ubogi był komunizm. Tymczasem reakcje okazały się zaskakujące – starsze angielskie małżeństwo zauważyło, że u nich w latach 50. mieszkania wyglądały podobnie jak te w Nowej Hucie. Bo te najstarsze mieszkania w Nowej Hucie mają co prawda łazienki bez okien, lecz pokoje są przestronne, spore kuchnie, parkiet. Wielu turystów myślało, że zobaczy tu syf, a tymczasem bloki są szare, ale czyste. Inni zauważyli, że trabant jest rzeczywiście mały i ciasny – ale oni przecież też mieli mini morrisa. Oczywiście na Zachodzie do wyboru było także mnóstwo innych samochodów, nie tak jak w PRL-u, ale też produkowali coś takiego plastikowego jak trabant. Pralkę Franię też mieli, tylko pewnie wcześniej i szybciej z niej zrezygnowali. Ciekawie wypadają porównania ze współczesnością. Mówimy turystom, że kiedyś w każdym mieszkaniu stała meblościanka. A dziś wszyscy meblują się w IKEA.

– A kiedy jedziecie trabantami do Nowej Huty, to jej mieszkańcy nie czują się mieszkańcami skansenu?

– Rzeczywiście, niektórzy starsi mogą poczuć się nieco urażeni. Ale staramy się nie wywoływać zbytniej sensacji, chociaż zainteresowanie wzbudza już przejazd kawalkady trabantów. Mieszkańcy Nowej Huty to ludzie, którym kiedyś dano nadzieję, a potem jej pozbawiono. To właśnie staram się przekazać naszym turystom. Że robotnicy wywodzili się z przedwojennej strasznej biedoty, że przemawiały do nich komunistyczne obietnice nowego ładu. Po wojnie poszliby nawet na układ z diabłem,

gdyby obiecał im lepsze życie. Dlatego komuna miała poparcie tych robotników z Nowej Huty, bo rzeczywiście dała im pracę, dała mieszkania. Ale potem tą nadzieję odebrała. Pozbawiła ludzi wolności. Przyszło olbrzymie rozczarowanie. I mówimy też turystom jedną z najważniejszych rzeczy – że to Polacy pierwsi obalili komunizm.

ROZDZIAŁ 16

JAK UPADAŁ PRL?

PIOTR LIPIŃSKI

W ostatnich dniach istnienia PRL-u gazety donosiły o wielu zagadkowych wydarzeniach. Jak dziś je wytłumaczyć?

Tego dnia nikt jeszcze nie wiedział, że szynka będzie w każdym sklepie bez kartek. Ani że zniknie Związek Radziecki.

8 maja 1989 roku rano na ulice Szczecina nie wyjechało 13 autobusów i osiem tramwajów. Co tydzień w poniedziałki zaskakująco wielu kierowców i motorniczych zapadało na zdrowiu, udając się na zwolnienia.

O godzinie piątej rano w sklepie nocnym przy alei Wojska Polskiego pojawiły się świeże bułki i chleb, jednak nie cieszyły się zbytnim powodzeniem. Klienci kupowali głównie wódki i wina, zwane popularnie „bełtami”.

Prasa donosiła, że z autobusu linii 464, jadącego z Bolesławia do Huty Katowice, wypadł mężczyzna, który wypił za dużo alkoholu. Przytomność odzyskał dopiero w szpitalu w Olkuszu. Jego kolega od kieliszka miał mniej szczęścia – zmarł na przystanku.

Nocą w Elblągu okradziono sklep spożywczy. Łupem włamywaczy padło wino.

Rozpoczynał się nowy tydzień.

PAN A NIE OBYWATEL

8 maja 1989 roku – niespełna miesiąc przed wyborami 4 czerwca, które z Polski komunistycznej uczyniły kapitalistyczną – ukazał się pierwszy numer opozycyjnej „Gazety Wyborczej”. Kosztował 50 złotych. Otwierało go oświadczenie Lecha Wałęsy, że od porozumień Okrągłego Stołu nie przybyło ani pieniędzy, ani chleba. Ale przybyło nadziei.

Pod datą 8 maja 1989 roku ówczesny premier Mieczysław F. Rakowski zanotował w swoim dzienniku: „Opozycja w badaniach opinii publicznej ma zdecydowaną przewagę nad nami. Zaczynam czarno widzieć przyszłość. Jeśli nadal będziemy tacy niemrawi i bez polotu, to przegramy wybory”.

8 maja 1989 roku oprócz „Gazety Wyborczej” wystartował – jak co roku – Wyścig Pokoju. Dzięki niemu wiemy, że Polska graniczyła z Czechosłowacją, NRD oraz ZSRR. Trasa zmagań kolarskich zawsze zahaczała o niektóre z tych państw.

Do żadnego z tych krajów już nie pojedziemy. Nie obejrzymy też Wyścigu Pokoju.

Podobnie jak z naszymi sąsiadami historia postąpiła z ówczesnymi partiami politycznymi. Legalne były trzy: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, Zjednoczone Stronnictwo Ludowe oraz Stronnictwo Demokratyczne. Przy czym ZSL i SD pełniły funkcję dzieci i ryb, które głosu nie mają. Dziś już nie zapiszemy się do żadnej z tych partii, a sądząc z obecnej sceny politycznej, nawet wtedy nikt do nich nie należał.

Pogoda na początku miesiąca była smętna. Prasa narzekała: „Za oknem szaro, ponuro, termometry wskazują zaledwie kilka stopni powyżej zera. I to ma być maj?”.

Nieco złowieszczo wyglądały hasła w krzyżówkach. Ta w „Kurierze Szczecińskim” podpowiadała: „Poziomo: 1) pomoc wpływowej osoby, 5) przywódca kliki, 11) niechęć, wstręt”.

Tego dnia wszystko jeszcze było możliwe – nikt nie wiedział, jak potoczą się losy Polski. Nadchodzące wybory mogli wygrać komuniści. Ale Polska była już między szarą rzeczywistością socjalizmu a kolorową obietnicą kapitalizmu. Ten rozkładał się na ulicach na polowych łóżkach handlarzy.

Według tygodnika „Polityka” Biuro Prezydialne Polskiej Akademii Nauk zaleciło, aby w oficjalnej korespondencji używać zwrotu „pan” a nie „obywatel”.

NIE BĘDZIEMY ŁADNIE UCZESANI

Najwięcej o 8 maja 1989 roku dowiemy się z ówczesnej prasy. Znaczna część tytułów pozostawała organem PZPR i nosiła dopisek: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Dopiero potem dzięki proletariuszom ten dopisek zniknął.

Dzienników tworzonych na bieżąco przez Polaków niestety jest bardzo mało. Ludzie w PRL-u niechętnie zapisywali swoje myśli. Nigdy nie wiedzieli, kiedy ich słowa zostaną obrócone przeciwko nim samym. Szczerość to wada, a nie zaleta w socjalizmie.

Andrzej Mieczkowski, nauczyciel z Tucholi, na początku maja w niepublikowanym dzienniku (w zbiorach Ośrodka Karta) napisał:

Wokół wyborów czuć większe zainteresowanie, niż to bywało dawniej. Cóż to jednak za wybory, kiedy miejsca w Sejmie już rozdzielono między partie i teraz chodzi jedynie o to czy posłem zostanie Kowalski, czy Malinowski. Podobno dopiero następne wybory mają być w pełni demokratyczne.

„Głos Pomorza” donosił, że najważniejszy atut kandydata na senatora Aleksandra Kwaśniewskiego „to jego młodość”.

„Sztandar Młodych” przytoczył słowa Wojciecha Jaruzelskiego:

„Nie przyrzekamy, że będziemy grzeczni i ładnie uczesani”.

Tomasz Jastrun pod pseudonimem Witold Charłamp zanotował w swoim „Dzienniku zewnętrznym” (publikowanym w „Kulturze”) słowa usłyszane przy okazji kampanii wyborczej:

„I co z tego, drogi panie, że system szlag trafia, kiedy wszystko w ruinie. Za mojego, za pańskiego, a nawet za życia pańskich dzieci nic dobrego w tym kraju nie będzie”.

Jaka więc była Polska owego dnia, w przededniu wolności?

NIE ZABRAKNIE PAPIERU TOALETOWEGO

8 maja 1989 roku w porannej prasie dyrektor lubelskiej RSW „Prasa–Książka–Ruch” informował, dlaczego nie można kupić maszynek do golenia:

„Brak w kioskach żyletek wynika z ich masowego wykupu przez klientów”.

„Express Wieczorny” grzmiał potępiająco:

„Wielu sprzedawców nadal ukrywa deficytowe towary przed klientami!”.

W Gdańsku zakończyła się wystawa mebli. Nagrodzono najładniejsze, czyli te, których nie dawało się nigdzie kupić. Polacy mogliby je nabyć, gdyby były… eksportowane.

„Głos Wybrzeża” tłumaczył zawiłości gospodarki socjalistyczno-kapitalistycznej:

„Meblarze twierdzą, że jedynym dla nich, a i dla klientów, ratunkiem jest zwiększenie eksportu. Tylko dewizy pozwolą pokonać bariery: materiałową i wynikającą ze starzenia się parku maszynowego”.

Socjalistyczny przemysł nie radził sobie nawet z produkcją długopisów. „Słowo Polskie” przypominało kontrolę we wrocławskim Arpisie. Na sześć badanych partii długopisów zakwestionowano jakość aż pięciu. W jednych wysechł tusz, w innych nie wysuwały się wkłady.

Wkrótce jednak poprawić się miała sytuacja na kolei. „Dziennik Bałtycki” radośnie zapowiadał zmiany pod tytułem: „Wars rozpieści nas”. Jak informowało pismo, w najbliższym sezonie w wagonach sypialnych nie powinno już zabraknąć szklanek, ręczników papierowych, pościeli, koców, a nawet papieru toaletowego.

NIEWOLNICA TV

Rzadko kto w ówczesnej Polsce posiadał pilota do telewizora. Co trudno uznać za problem, bo do wyboru były raptem dwa kanały.

Dość łatwo przedstawić niemal cały ówczesny program telewizyjny; był krótki. Na 8 maja kanał pierwszy proponował kolejno:

17.15 – Studio Sport – I etap Wyścigu Pokoju

18.30 – Relacja z posiedzenia VII Plenum NK ZSL

18.50 – Dobranocka „Kozioł muzyk”.

Po tym programie dzieci szły spać.

Po dzienniku Teatr Telewizji. Potem jeszcze Kronika Wyścigu Pokoju oraz spotkanie ze Zbigniewem Michałkiem, członkiem Biura Politycznego. Wówczas był wystarczająco ważny, aby pokazywała go telewizja, lecz po latach okazał się zbyt mało istotny, żeby zasłużyć na osobny wpis w Wikipedii.

O godz. 23.10 – Język niemiecki.

Po tym programie szli spać dorośli. Telewizja kończyła nadawanie audycji i rozpoczynała wyświetlanie obrazu kontrolnego.

Program drugi różnił się tym od pierwszego, że nie kończył się, a zaczynał lekcją niemieckiego. Potem jeszcze pokazywał kroniki filmowe, Dni Muzyki Organowej, a na koniec „Komentarz dnia”. Socjalistyczny rachunek sumienia.

Małgorzatą Kożuchowską była wówczas Lucella Santos, odtwórczyni głównej roli w tasiemcowej telenoweli „Niewolnica Isaura”. Telewizja właśnie zakupiła nowy, 170-odcinkowy serial z brazylijską aktorką. Rozgrywał się jak zwykle na XIX-wiecznej plantacji. Sceneria okazała się wystarczająco imperialistyczna, aby podobała się władzy.

WIZA CENZORSKA

W celu obejrzenia nowego filmu Polacy udawali się na targowisko. Na nim kupowali albo wymieniali kasety wideo. Żadna nie przeszła PRL-owskiej cenzury, a to już czyniło z każdej rzecz pożądaną.

„Gazeta Robotnicza” opisywała giełdę pod Halą Ludową. W weekend odwiedziło ją kilkaset osób. Można było zdobyć leciwego „Ben Hura”. Ale były też kreskówki Disneya i sensacyjny „Mad Max III”. Nie brakowało pornografii. Pewna pani wzbudziła powszechną wesołość, dopytując, czy „Boskie anielice” to film religijny.

W kinach największym przebojem był „Dirty Dancing”, co w ówczesnej polszczyźnie znaczyło „Wirujący sex”.

8 maja prasa doniosła, że wkrótce w kinach pojawi się najsłynniejszy „półkownik”, film „Przesłuchanie”. Nie należy go mylić z wojskowym pułkownikiem. Cywilny „półkownik” to obraz, który zatrzymała cenzura. W majowy poniedziałek kilka gazet napisało, że „Przesłuchanie” – film legenda Ryszarda Bugajskiego z roku 1982 – uzyskało wreszcie „wizę cenzorską”.

„Kurier Polski” relacjonował spotkanie autorskie z okazji pierwszej legalnie wydanej książki Stefana Kisielewskiego, zatytułowanej „Podróż w czasie”. Popularny „Kisiel” opowiadał:

– Całe życie głoszę jedną i tę samą tezę. „Uważam, że”, a dalej to już tak leci jak w moich felietonach: (Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 2, 3, a często i 6 Dz U nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz U nr 44 poz. 204)[20] A ja po prostu uważam, że powinno się wprowadzić kapitalizm.

Dodawał:

– Jestem za ludźmi, którzy chcą oddać się działalności gospodarczej indywidualnie i, jak mawiam, mają już powyżej uszu wiary, że herbata od długiego mieszania stanie się słodsza.

Wyjaśniał:

– A dlatego uparcie opisuję komunizm i jego meandry, że dla mnie jest to najdziwniejsze psychologiczne zjawisko. Potrafi u normalnych ludzi przerobić zdrowy rozsądek na obłęd. *Exemplum*: Adam Ważyk. Ten herold socrealizmu w 1956 ukłonił mi się do ziemi.

„Kisiel” wówczas zdziwił się:

– Pan przecież nie dostrzegał mnie przez 10 lat. Co się stało?

– A… – odpowiedział Ważyk – bo byłem w domu wariatów.

WYRÓB DOLAROPODOBNY

Większość Polaków była milionerami. Niestety tylko złotówkowymi – cena dolara sięgała czterech tysięcy złotych.

Według „Polityki”, którą Polacy mogli przeczytać w poniedziałek 8 maja, na kupno telewizora Helios należało przeznaczyć 320 dniówek. Na samochód Polonez – osiem lat pracy. Na jajko – 15 minut.

Na wartości traciły tak zwane bony towarowe, czyli wyrób dolaropodobny. Można nimi było płacić w polskich sklepach Peweksu, ale nigdzie za granicą. Przez wiele lat gazetowe ogłoszenia w kolumnie „Kupię” zaczynały się od: „Aaaktulnie bony”.

Polska Żegluga Bałtycka tymczasem zrezygnowała ze złotówek. Zgodnie z nowym zarządzeniem dyrekcji w promowych barach, kawiarniach i restauracjach można było płacić tylko szwedzkimi koronami. Rozporządzenie dotyczyło również podróżujących Polaków, co wzbudziło żywy protest poniedziałkowych gazet.

Prasa donosiła, że na giełdzie komputerowej oprogramowaniem handlują nawet dwunastolatki. Narzekała na nieco zawyżone ceny komputerów Atari i Spectrum. Jedną z Amig można było kupić za ponad tysiąc marek niemieckich.

Powoli rozwijał się niewielki, prywatny biznes. Ale napotkał pierwszą istotną barierę: byli już handlarze, ale często nie mieli jeszcze czym handlować. Wśród ogłoszeń z 8 maja 1989 roku pojawił się anons: „Sklep »Upominki« poszukuje towarów”.

ŻÓŁCIĄ I NIEWYBREDNYM JĘZYKIEM

Bywają problemy, które łączą Polaków ponad ustrojami.

W dziale ogłoszeń jednej z gazet znalazł się anons:

„Nie pijącego blacharza samochodowego do spółki przyjmę”.

Prasa z początku maja 1989 roku donosiła, że:

„Nagła krew człowieka zalewa, gdy w dziale monopolowym zamiast Żytniej, Wyborowej, Luksusowej widzi »szronione« butelki fińskiej lub Smirnoffa”.

Klienci w sklepach pomstowali:

„Specjalnie nie dają wódki do sklepów, aby ludzie kupowali w Pewexie… Ale pensji w dolarach płacić nie chcą”.

Podobne w treści, pisane „żółcią i często niewybrednym językiem” listy napływały do redakcji „Expressu Wieczornego”.

Alkohol źle wpływa na pamięć. Gazety zademonstrowały sztukę zapominania. Tylko dwa tytuły 8 maja poinformowały o śmierci

I sekretarza KC PZPR. Najwyraźniej polscy komuniści chcieli zapomnieć, że w 1956 roku na krótko na czele partii stał Edward Ochab.

Być może nie wszyscy też pamiętają, że już 8 maja 1989 roku w gazetach pojawiły się reklamy środka wzmacniającego pamięć Buerlecithin. To jednak da się wytłumaczyć faktem, że był do nabycia jedynie w sklepach Peweksu.

PAN ARUŚ I KONFRONTACJA

Polacy jak zwykle bali się Rosji.

Plastyk z Gliwic Janusz Stokłosa w swoim niepublikowanym dzienniku (archiwum Ośrodka Karta) zanotował w maju:

Sąsiad Jurczyk wyszedł z miotłą aby pozamiatać ścięte gałązki i wynieść na śmietnik. Nadszedł pan Aruś i wdał się z Jurczykiem w rozmowę (…).

Jurczyk: – Teraz dojdzie do konfrontacji.

– Jak teraz „Solidarność" upadnie, to już się nie podniesie – wtrąciłem i Jurczyk przyznał mi rację.

– A ja myślę, że Rosjanie nie mają wyjścia i będą chcieli rozpętać wojnę – powiedział pan Aruś.

Tymczasem w Moskwie Eduard Szewardnadze przekonywał dziennikarza „Time", że nie wyobraża sobie, aby niepokoje w państwach Układu Warszawskiego wymagały interwencji zbrojnej.

Na wszelki wypadek Polacy sposobili się jednak do emigracji.

„Polityka" opublikowała reportaż Elżbiety Isakiewicz „Pielgrzymka". Dotyczył paszportów. Jak donosił tygodnik, wkrótce 12 milionów obywateli będzie miało ten dokument w kieszeni albo w szufladzie. Było to czymś niezwykłym – dotąd po powrocie z zagranicy należało go oddać w urzędzie. A przed każdym kolejnym wyjazdem uprzejmie prosić o wydanie, co nie zawsze spotykało się z pozytywnym odzewem.

Wolność okazała się pożądana jak szynka. Już na początku roku pod biurami paszportowymi ustawiły się kolejki. W podwarszawskim Pruszkowie listy liczyły kilkaset osób. Obowiązywały nocne dyżury. A ponieważ wieczorami zamierała komunikacja autobusowa, ludzie

wypożyczali samochody od znajomych, żeby potwierdzić miejsca w kolejce. Ktoś przyjechał nawet furmanką.

Ludzie, nauczeni doświadczeniem, rozumowali: nie wiadomo, jak długo ta odwilż potrwa.

Kilka tygodni wcześniej swoje próby zdobycia dokumentu opisywał w niepublikowanym dotąd pamiętniku urzędnik Ministerstwa Rolnictwa Jan de Virion (archiwum Ośrodka Karta):

Próbowałem załatwiać paszporty w Biurze Paszportowym Milicji Obywatelskiej. Tłok ogromny, kolejka ustawiła się długo przed otwarciem biura, nie ma gdzie usiąść i poczekać. Trudno nawet czytać stojąc bo wszyscy ludzie kłębią się i ciągle przepychają. Złość człowieka ogarnia, tym bardziej, że załatwianie posuwa się wolno i otwierając biuro poinformowano, że tak dużej ilości interesantów nie załatwią pewno do końca urzędowania.

Na podaniu należało nakleić znaczek opłaty skarbowej. Ale tego nie dawało się kupić w biurze paszportowym. Po znaczek należało pójść do sklepu muzycznego. Ten oprócz znaczków sprzedawał też telewizory.

TŁUCZKI DO MIĘSA

Socjalistyczna turystyka międzynarodowa polegała na handlu.

Poniedziałkowa prasa sporo miejsca poświęciła weekendowej akcji walki z przemytem na polskich granicach. Groziła nam utrata znaczących ilości kryształów oraz obrusów.

Związek Radziecki zawsze przodował w surowcach. Jego mieszkańcy przybywali na polskie bazary celem sprzedania złotych pierścionków, obrączek oraz łańcuszków. Tymczasem polskie autokary wyruszały do Berlina Zachodniego z żywnością w tak dużych ilościach, że prywatni eksporterzy dostawali stempel uniemożliwiający kolejny wjazd. Do Niemiec wędrowały alkohole, lniane obrusy, wiklinowe kosze oraz narzędzia.

„Głos Robotniczy” alarmował, że w weekend poprzedzający 8 maja 1989 roku celnicy zawrócili z granicy 2,5 tysiąca „pseudoturystów”. Walkę z przedsiębiorczymi Polakami toczono w ramach akcji „Bariera”.

„Kurier Lubelski” opisywał zatrważające przykłady przemytu. W bagażu pewnego mężczyzny odkryto 74 kilogramy pierza, a ktoś inny przemycał 25 tłuczków do mięsa. W trosce o socjalistyczną praworządność pierze i tłuczki skonfiskowano.

TELEFONICZNA RULETKA

Wkrótce w rejestrze zawodów miał się pojawić nowy: krupier. Casinos Poland, przygotowując się do otwarcia swojej jaskini hazardu, ogłosiło po raz pierwszy w historii PRL-u konkurs na krupierów.

Na razie od urzędniczej ruletki zależało, kto dostanie telefon. Żeby zostać podłączonym do linii telekomunikacyjnej, należało złożyć podanie i poczekać kilka tygodni albo miesięcy. Co i tak nie gwarantowało, że uda się gdzieś dodzwonić. „Dziennik Bałtycki” alarmował: „Od 4 miesięcy abonent telefonu numer 475–545 czeka na naprawę swego nieczynnego aparatu, Dopiero po ukazaniu się notatki na naszych łamach zjawiła się ekipa naprawcza, ale efektów nadal nie widać”.

W Warszawie wciąż z trudem komunikował się Mokotów ze Śródmieściem. Władza od dawna miała kłopoty, aby porozumieć się z ludźmi.

MAŁA KRAINA SZCZĘŚLIWOŚCI

Pani Irena, która odpowiedziała na mój apel o wspomnienia z 8 maja (ukazał się w „Dużym Formacie”[21], na Facebooku i Twitterze), zapamiętała ten dzień jako jeden z najszczęśliwszych w swoim życiu. Pracowała wówczas jako przedszkolanka. Opisała swój powrót do domu:

Po popołudniowej wizycie u lekarza przybiegłam do naszej małej Krainy Szczęśliwości z dymiącym piecem i szczurami pod podłogą. Przybiegłam – a może przyfrunęłam – otumaniona swoim wielkim szczęściem! Okazało się, że jestem w ciąży. Mój mąż szalał z radości. I nic nie zakłócało naszego szczęścia – nawet to, że wyprawka dla przyszłego niemowlaka kupowana

była w specjalnym sklepie, z przydziału, bodajże na zaświadczenie o ciąży od ginekologa.

Córka urodziła się… 13 grudnia. Podczas porodu słychać było z radia wspomnienia dotyczące stanu wojennego.

1989 to był pierwszy rok małżeństwa pani Ireny. Zapamiętała:

Mieszkaliśmy z mężem w jednym pokoju u teściów. Własne mieszkanie było tak nierealne, że nawet nie pozwalaliśmy sobie na marzenia o nim. Zaczynaliśmy wspólne życie praktycznie od zera. Jedynym naszym meblem była kanapa, kupiona „po znajomości”, na zapleczu jedynego w naszym mieście, straszącego pustkami, sklepu meblowego. W kolejce po telewizor mój młody mąż stał – na zmianę z moim ojcem – TYDZIEŃ!

PILNIE OFICERA MARYNARKI

Nie wszystko jednak 8 maja 1989 roku było całkiem inne niż 8 maja 2014 roku.

Główny Urząd Statystyczny przeprowadził badania młodzieży między 15 a 29 rokiem życia. 60 procent ankietowanych jako najskuteczniejszy sposób osiągnięcia dobrobytu wskazało pracę za granicą. 27 procent – korzystne małżeństwo. 17 procent – wyższe wykształcenie i wysokie kwalifikacje.

Spółka Gabor organizowała dla wyjeżdżających kursy języka niemieckiego. Zajęcia dla zaawansowanych obejmowały słownictwo z branży okrętowej, mechanicznej oraz budowlanej.

„Kurier Polski” publikował anonse:

Polski inżynier, zamieszkały we Francji, 35 lat, bardzo przystojny szuka atrakcyjnej partnerki – cel matrymonialny.

Wdowa, 44-letnia blondynka dobrej prezencji, wykształcona pozna Polaka zamieszkałego w Ameryce. Cel matrymonialny.

Atrakcyjna dwudziestosiedmiolatka pilnie pozna oficera marynarki handlowej.

ORGAZM NA KARTKI

Na początku maja 1989 roku ukazała się nie tylko „Gazeta Wyborcza”. W kioskach pojawił się również nowy tygodnik „Rondo”. Pod względem formatu i redaktora naczelnego nawiązywał do „Rzeczywistości”, która właśnie zniknęła z rynku. Przez lata 80. prezentowała punkt widzenia najbardziej „betonowej” części partii komunistycznej.

Ale teraz redakcja „Ronda” postanowiła uczyć kapitalizmu. W pierwszym numerze zachęcała do zapraszania biznesowych kontrahentów nie do teatru, a na kolację ze striptizem. Na śniadanie dla biznesmena zalecała jajko na twardo oraz pomidory z cebulką albo parówki z chrzanem.

„Orgazm, który wywołałeś dziś u mnie, oceniam na trójkę z plusem” – rozpoczynał się w tym piśmie „reportaż literacki”. Partia najwyraźniej otwierała się na erotyczne igraszki. Dotąd seks w prasie był dawkowany z rzadka, bo cenzura zatrzymywała nie tylko teksty niepoprawne polityczne, ale też obyczajowo. Gdyby to było tylko możliwe, PRL-owska władza zapewne przydzielałaby orgazm na kartki. A Polacy z zazdrością patrzyliby na świat, w którym byłby dostępny bez ograniczeń.

W poniedziałek 8 maja „Dziennik Polski” opisał największego psa na świecie. Siedmioletni rasowy brytan ważył 149 kilogramów i mieszkał w Londynie. Każdego dnia zjadał 5 kilogramów mięsa wołowego.

I właśnie to ostatnie gazeta uznała za najważniejsze. Wybiła w tytule: „Dwie kartki dziennie!”. Bo pies zżerał codziennie dwa razy więcej mięsa, niż Polakom należało się miesięcznie na kartki.

O KSIĄŻCE

Do napisania książki „Absurdy PRL-u” zainspirował nas serial „Zagadki tamtych lat”, realizowany przez nas w 2009 roku dla Programu 1 TVP. Powstało dziewięć 30-minutowych dokumentów telewizyjnych. W każdym opowiadaliśmy nieznane historie, które wydarzyły się w PRL-u.

Serial znalazł swoją wierną widownię oraz zdobył prestiżowe nagrody. Odcinek „Co się stało z polskim Billem Gatesem?” otrzymał Nagrodę Prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich na Festiwalu Mediów „Człowiek w Zagrożeniu” w Łodzi. Odcinek „Kto pokazał tyłek Jaroszewiczowi?” został uhonorowany nagrodą dziennikarską Grand Press za najlepszy reportaż telewizyjny w 2009 roku.

Historie opowiedziane w serialu postanowiliśmy przedstawić w rozszerzonej wersji książkowej. Dodaliśmy do nich kolejne opowieści. Są one tak jak w serialu – czasem śmieszne, czasem straszne. W ten sposób powstała książka, która jest efektem wielu lat naszej dziennikarskiej pracy.

Pisząc o PRL, opieraliśmy się na setkach dokumentów i rozmów, które czasem przeprowadzaliśmy dosłownie w ostatniej chwili – wielu rozmówców już nie żyje. Wykorzystaliśmy reportaże Piotra Lipińskiego publikowane w „Gazecie Wyborczej”: „Mięso, a w środku rzeźnik” (otrzymał wyróżnienie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz nominację do nagrody Grand Press), „Greenhorn w imperium”, „Niewolnicy PRL” oraz „Orgazm z przydziału”. A także reportaże Michała Matysa: „Potrzebowali bohaterki” w „Gazecie Wyborczej” oraz „Pani Walewska i Brutal”, „Fabryka Przyjemności Pana Jana” i „Smutny koniec motyla” publikowane w miesięczniku „Puls Biznesu Weekend”.

Powstanie tej książki zawdzięczmy wielu ludziom, którzy bezpośrednio i pośrednio pomogli nam w jej napisaniu. Chcielibyśmy podziękować przede wszystkim zespołowi, z którym realizowaliśmy telewizyjne „Zagadki tamtych lat” – w pierwszej kolejności Sebastianowi Czechowi,

który w doskonały sposób łączy zawody dziennikarza i operatora, oraz Szymonowi Krawczykowi, świetnemu dziennikarzowi, który potrafił odnaleźć w archiwach unikatowe relacje telewizyjne z czasów PRL-u. Pomagali nam również inni dziennikarze – wśród nich Katarzyna Kawecka i Rafał Pisera, operatorzy: Jerzy Bęben i Jacek Szatański, oraz montażyści: Urszula Murasiewicz-Dziubałon, Krzysztof Kudelski, Paweł Peroński, Mariusz Potopianek i Ryszard Wiencek.

Osobne podziękowania należą się szefom i redaktorom Domu Wydawniczego PWN, którzy docenili nasz sposób opowiadania o PRL i zachęcili nas do napisania tej książki.

Piotr Lipiński i Michał Matys

BIBLIOGRAFIA

Książka „Absurdy PRL-u” oparta została na telewizyjnym cyklu dokumentalnym „Zagadki tamtych lat”, którego pomysłodawcą i autorem był Michał Matys. Do współpracy zaprosił między innymi Piotra Lipińskiego, od lat opisującego absurdy PRL.

Dziewięcioodcinkowy cykl półgodzinnych dokumentów emitowany był na antenie Programu 1 TVP od 15 stycznia do 18 czerwca 2009 roku. Widzowie mogli obejrzeć powtórki w kanałach TVP3 (obecnie TVP Info), TVP Polonia oraz TVP Historia (link: http://www.tvp.pl/historia/cykle-dokumentalne/zagadki-tamtych-lat).

Odcinek 1 „Dlaczego w PRL brakowało cukru? ”, reż. Michał Matys, TVP1, premiera 15 stycznia 2009 godz. 14.00.

Odcinek 2 „Kto obrabował bank na Jasnej? ”, reż. Szymon Krawczyk, TVP1, premiera 29 stycznia 2009 godz. 14.00.

Odcinek 3 „Skąd się wzięli badylarze?”, reż. Rafał Pisera, TVP1, premiera 12 lutego 2009 godz. 14.00.

Odcinek 4 „Kto pokazał tyłek Jaroszewiczowi? ”, reż. Michał Matys, TVP1, premiera 26 lutego 2009 godz. 14.00.

Odcinek 5 „Siedem rolek pożądania”, reż. Piotr Lipiński, TVP1, premiera 26 marca 2009 godz. 14.00.

Odcinek 6 „Kto zjadł mięso? ”, reż. Sławomir Koehler, TVP1, premiera 9 kwietnia 2009 godz. 14.00.

Odcinek 7 „Co się stało z polskim Billem Gatesem? ”, reż. Piotr Lipiński, TVP1, premiera 23 kwietnia 2009 godz. 14.00.

Odcinek 8 „Skąd się wzięły bloki? ”, reż. Sebastian Czech, Szymon Krawczyk, TVP1, premiera 7 maja 2009 godz. 14.00.

Odcinek 9 „Motopompa na czterech kółkach”, reż. Katarzyna Kawecka, TVP1, premiera 21 maja 2009 godz. 14.00.

Na podstawie scenariuszy trzech odcinków powstały reportaże, które po zmianach znalazły się w książce:

Lipiński Piotr, „Królowa PRL”, „Duży Format” nr 15, magazyn reporterów „Gazety Wyborczej”, 19.01.2009, s. 12.

Lipiński Piotr, „Polski Bill Gates i świnie”, „Duży Format” nr 92, magazyn reporterów „Gazety Wyborczej”, 20.04.2009. s. 13.

Matys Michał, „Motopompa na czterech kółkach”, „Puls Biznesu Weekend” nr 13, lipiec 2012, s. 16.

W książce wykorzystano także po dokonaniu zmian następujące reportaże:

Lipiński Piotr, „Mięso, a w środku rzeźnik”, Magazyn nr 23, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 10.06.1999, s. 6.

Lipiński Piotr, „Greenhorn w imperium”, „Duży Format” nr 21, magazyn reporterów „Gazety Wyborczej”, 22.05. 2003, s. 21.

Lipiński Piotr, „Niewolnicy PRL”, „Duży Format” nr 104, magazyn reporterów „Gazety Wyborczej”, 06.05.2010, s. 2.

Lipiński Piotr, „Orgazm z przydziału”, „Gazeta Wyborcza” nr 105, 08.05.2014, 25 lat „Gazety Wyborczej”, s. 2.

Matys Michał, „Fabryka przyjemności pana Jana”, „Puls Biznesu Weekend” nr 10, kwiecień 2012, s. 18.

Matys Michał, „Pani Walewska i Brutal”, „Puls Biznesu Weekend” nr 8, luty 2012, s. 21.

Matys Michał, „Potrzebowali bohaterki”, Magazyn nr 43, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 24.10.1997, s. 34.

Literatura

Bednarski Waldemar Wojciech, Bednarski Mariusz Dariusz, „Powszechna Organizacja »Służba Polsce« na Ziemi Tomaszowskiej 1948–1955”, Tomaszowskie Towarzystwo Regionalnego im. doktora Janusza Petera, Tomaszów Lubelski 2006.

Bratny Roman, „Lot ku ziemi”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.

Budrewicz Olgierd, „Opowieść pachnąca czekoladą”, Agencja Reklamowa Padjas, Kraków 2004.

Dąbrowska Maria, „Dzienniki”, Czytelnik, Warszawa 1988.

Górski Eugeniusz, „Ekonomiczne problemy przestępczości w gospodarce mięsnej”, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, wydawnictwo do użytku

wewnętrznego.
„Indeks Represjonowanych. Tom IV. Uwięzieni w Borowiczach”, Ośrodek KARTA.
„Indeks Represjonowanych. Tom VI. Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza”, Ośrodek KARTA.
„Indeks Represjonowanych. Tom X. Więźniowie łagrów Workuty”, Ośrodek KARTA
Kieszczyński Lucjan, „Pamiętnik z lat młodzieńczych wrzesień 1936 – styczeń 1945”, Towarzystwo Naukowe im. A. Próchnika, Warszawa 1996.
Klotz Aleksander, „Zapiski konspiratora 1939–1945”, Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego Księgarnia Akademicka 2001.
Kowalik Helena, „Warszawa kryminalna. Najgłośniejsze procesy ostatniego 10-lecia”, Muza, Warszawa 2010.
Lesiakowski Krzysztof, „Strajki robotnicze w Łodzi 1945–1976”, IPN Oddział w Łodzi 2008.
Lipiński Piotr, „Geniusz i świnie”, Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2014.
Matys Michał, „Łódzka fabryka marzeń”, Rytm, Warszawa 2011.
Messner Zbigniew, „Kuglarze i księgowi”, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1993.
„Opozycja i opór społeczny w Łodzi 1956–1981”, red. Krzysztof Lesiakowski, IPN, Warszawa 2003.
Rakowski Mieczysław F., „Dzienniki polityczne”, Iskry, Warszawa 2005.
Seidler Barbara, „Ludzie i paragrafy”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988.
„Staroświecki sklep”, zbiór wspomnień pod red. Juliana Tuwima, Warszawa 1938.
„Strajki łódzkie w lutym 1971. Geneza, przebieg i reakcje władz”, wybór, wstęp i opracowanie Ewa Mianowska, Krzysztof Tylski, IPN, Warszawa-Łódź 2008.
Szuba Ludwik Stanisław, „Powszechna Organizacja »Służba Polsce« jako narzędzie pracy i indoktrynacji młodzieży w latach 1949–1955”, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, Lublin 2006.

Turlejska Maria, „Rok przed klęską”, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1969.
Tyrmand Leopold, „Cywilizacja komunizmu”, Słowo, Warszawa 1985.
Zacharski Marian, „Rosyjska ruletka”, Zysk i S-ka, Poznań 2010.

Artykuły prasowe

Borkiewicz Andrzej, „Przepis na wspólnotę”, tygodnik „Panorama”, 24.04.1988.
Curyło Czesław, „Lizanie przez szybę”, „Express Wieczorny”, 21–23.12.1984.
Glajzer Andrzej, „Prawdy i legendy. Syrena Sport”, „Automobilista” nr 1, 2010, s. 14.
Goślińska Małgorzata, „Wódka zdrożała o złotówkę. W zamian powstał piękny park”, „Gazeta Wyborcza Katowice”, 11.06.2010.
Gregori Giorgio, „Grosse novità a est e a ovest”, „Il Giorno”, 30.05.1960, s. 12.
Kącki Marcin, „Umyłem sobie celę”, wywiad z Aleksandrem Gawronikiem, „Duży Format” nr 131, magazyn reporterów „Gazety Wyborczej”, 6.06.2012, s. 16.
Klinger Klara, „Goździk – kultowy kwiat PRL”, „Dziennik”, 5.03.2010.
Kłopotowski Andrzej, „Złapać turystę na... bimber”, „Gazeta Wyborcza Białystok”, 31.03.2008.
Kochanowski Jerzy, „Gra w zielone”, „Polityka” nr 11, 4 listopada 2009, s. 74.
Lipiński Piotr, „Wyścigowe skarpety”, Magazyn nr 39, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 26.09.1997, s. 40.
Matys Michał, „Smutny koniec motyla”, „Puls Biznesu Weekend” nr 12, czerwiec 2012, s. 16.
„Model samochodu Syrena Sport”, „Modelarz” nr 11, listopad 1961, s. 22.
Morawska Irena, „Mieszanka wedlowska”, „Gazeta Wyborcza” nr 716, 22.10.1991, s. 13.
Mozołowski Andrzej, „Zrozumieć znaczy wybaczyć”, „Polityka”, 3.03.1979.
Skoczyński Władysław, Glajzer Andrzej, „Podróż sentymentalna przystanek S-17”, „Automobilista” nr 7, 2002, s. 18.

Solska Joanna, „Pewex dla ubogich”, „Sztandar Młodych”, 17.11.1982.
Stankiewicz Michał, „Patrzę pod nogi”, wywiad z Romualdem Stachowiakiem, „Prestiż” Magazyn Szczeciński nr 6, październik 2013, s. 37.
Szczepańska Michalina, „Miliony na pomidory”, „Puls Biznesu”, nr 35, 19.02.2013, s. 10.
Zadworny Adam, „Badylarz walczy o honor”, „Gazeta Wyborcza”, nr 47, 25.02.2008, s. 7.

Czasopisma

„Dziennik Polski”, maj 1989.
„Express Wieczorny”, roczniki 1959, 1964 oraz maj 1989.
„Gazeta Robotnicza”, maj 1989.
„Gazeta Wyborcza”, maj 1989.
„Głos Wybrzeża”, maj 1989.
„Kulisy”, rocznik 1998.
„Kultura”, maj 1989.
„Kurier Polski”, rocznik 1964 oraz maj 1989.
„Perspektywy”, rocznik 1972.
„Polityka”, rocznik 1989.
„Poradnik Pracownika Służby Polsce”, rocznik 1949.
„Prawo i Życie”, rocznik 1965.
„Rondo”, rocznik 1989.
„Słowo Polskie”, maj 1989.
„Sztandar Młodych”, maj 1989.
„Trybuna Ludu”, roczniki 1965, 1971.
„Wiadomości Służby Polsce”, rocznik 1949
„Życie Warszawy”, roczniki 1964, 1973.

Źródła filmowe

Ciechoński Leszek i Pytlakowski Piotr, „Śmierć w majestacie prawa”, TVP2, 1996.
Dziennik Telewizyjny, 1.06.1984.
Polska Kronika Filmowa, 1953, 1956.

Relacja TVP z VII Zjazdu PZPR, 8–12.12.1975.
Relacja TVP ze spotkania Edwarda Gierka, I sekretarza KC PZPR z aktywem partyjnym w Mielcu, wrzesień 1976.
Relacja TVP Łódź ze spotkania premiera Piotra Jaroszewicza z aktywem partyjnym w Teatrze Wielkim w Łodzi, 14.02.1971.
„Z tyłu sklepu”, występ kabaretu TEY na XVIII Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, TVP, czerwiec 1980.

Źródła internetowe

http://www.bimber.imaco.com.pl/muzeum-bimbrownictwa.php
http://www.czerwiec76.ipn.gov.pl/c76/multimedia-1/radio/2413,Wystapienie-premiera-Piotra-Jaroszewicza-z-24061976-r.html
http://www.mularski.pl/index.php?str=2&idm=129&ids=49#begin
http://powrotlegendy.pl/misja
http://www.spodlady.com/
http://www.stalin.tv/absurdy/skargi.html
http://turystyka.wp.pl/title,W-Rzymie-Polacy-kupuja-w-Peweksie,wid,15555456,wiadomosc.html?ticaid=113363

Przypisy

[1] Więcej o cyklu telewizyjnym „Zagadki tamtych lat” w zakończeniu książki.

[2] Leopold Tyrmand to znany pisarz, ideowy przeciwnik komunizmu. Miłośnik jazzu. Symbol „bikiniarzy”, młodzieżowej kontrkultury, która krzykliwymi kolorami wyróżniała się z szarzyzny stalinizmu.

[3] Centralizm demokratyczny to w praktyce system, w którym decyzje zapadają wyłącznie na najwyższym szczeblu. Przymiotnik „demokratyczny” był tylko ozdobnikiem, który sugerował, że sami członkowie partii wybierają ów najwyższy szczebel.

[4] Związek Młodzieży Polskiej – organizacja utworzona po II wojnie światowej, której celem była indoktrynacji młodzieży. Wzorowano ją na radzieckim odpowiedniku – Komsomole, czyli Komunistycznym Związku Młodzieży

[5] Zachowano oryginalną pisownię.

[6] Przemysław Gintrowski zmarł w 2012 roku. Rozmowa z nim była przeprowadzona pod koniec 2008 roku.

[7] Słynna amerykańska aktorka, którą książę Rainer III poślubił.

[8] Wszystkie rozmowy odbyły się w 2009 roku podczas zdjęć do filmu dokumentalnego.

[9] W latach stalinizmu po ukończeniu studiów otrzymywało się skierowanie do konkretnego zakładu pracy.

[10] Bohater artykułu i filmu inżynier Jacek Karpiński zmarł 21.02.2010 we Wrocławiu.

[11] Badania przeprowadzono w 2011 roku, udostępnione przez firmę Miraculum.

[12] NKWD – Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. To radzieckie służby odpowiedzialne za stalinowskie represje. Składały się z między innymi z milicji kryminalnej, wywiadu i kontrwywiadu, doraźnego sądownictwa, nadzoru obozów pracy.

[13] Od lat 30. do 50. XX wieku na terenie Republiki Komi działały GUŁ-agi, czyli obozy pracy przymusowej. Skazywano na nie przestępców kryminalnych i politycznych. Wielu pod wyimaginowanymi zarzutami. Niektóre z tych obozów dziś jeszcze działają jako więzienia albo kolonie karne.

[14] Po raz pierwszy rozmawialiśmy w 2003 roku. W 2012 roku powstał scenariusz filmu dokumentalnego o Stefanie Dacenko. Film miał się znaleźć w kontynuacji telewizyjnego cyklu „Zagadki tamtych lat”. Niestety do tej pory nie powstał.

[15] Ośrodek KARTA – pozarządowa niezależna organizacja zajmująca się dokumentowaniem represji wobec Polaków.

[16] Książka ukazała się w 2001 roku nakładem Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego Księgarnia Akademicka.

[17] Podczas referendum Polakom zadano trzy pytania. Komuniści nawoływali do głosowania trzy razy „tak”. Opozycja z Polskim Stronnictwem Ludowym dla odróżnienia się od nich proponowała przy pierwszym pytaniu („czy jesteś za zniesieniem Senatu?”) odpowiedź „nie”. Komuniści ponieśli porażkę, ale sfałszowali wyniki. Szczególnie niekorzystny rezultat odnieśli w Krakowie.

[18] Bicie rekordu nastąpiło we wrześniu1950 roku, dla uczczenia 33. rocznicy Rewolucji Październikowej.

[19] Podobne sceny możemy zobaczyć w znanym polskim serialu „Dom”, według scenariusza Jerzego Janickiego i Andrzeja Mularczyka, a w reżyserii Jana Łomnickiego.

[20] Takim tekstem w nawiasach niektóre gazety zaznaczały ingerencje cenzury. Ów oficjalny tekst pojawiał się w miejscach, które usunęła cenzura. Kisiel przytaczając go podczas spotkania, żartuje, że niemal całe jego teksty były skreślane.

[21] „Duży Format” nr 95, wydanie z dnia 24/04/2014, str. 7.

Polacy żartowali, że w sklepach brakuje papieru toaletowego, bo jest... w kiełbasie. Wszyscy polowali na „girlandy” papieru. *Na zdjęciu: Chris Niedenthal uwiecznił wózek z cenną zdobyczą stojący przed wystawą sklepową, Wrocław 1982 roku.*

Fot. Forum/Chris Niedenthal

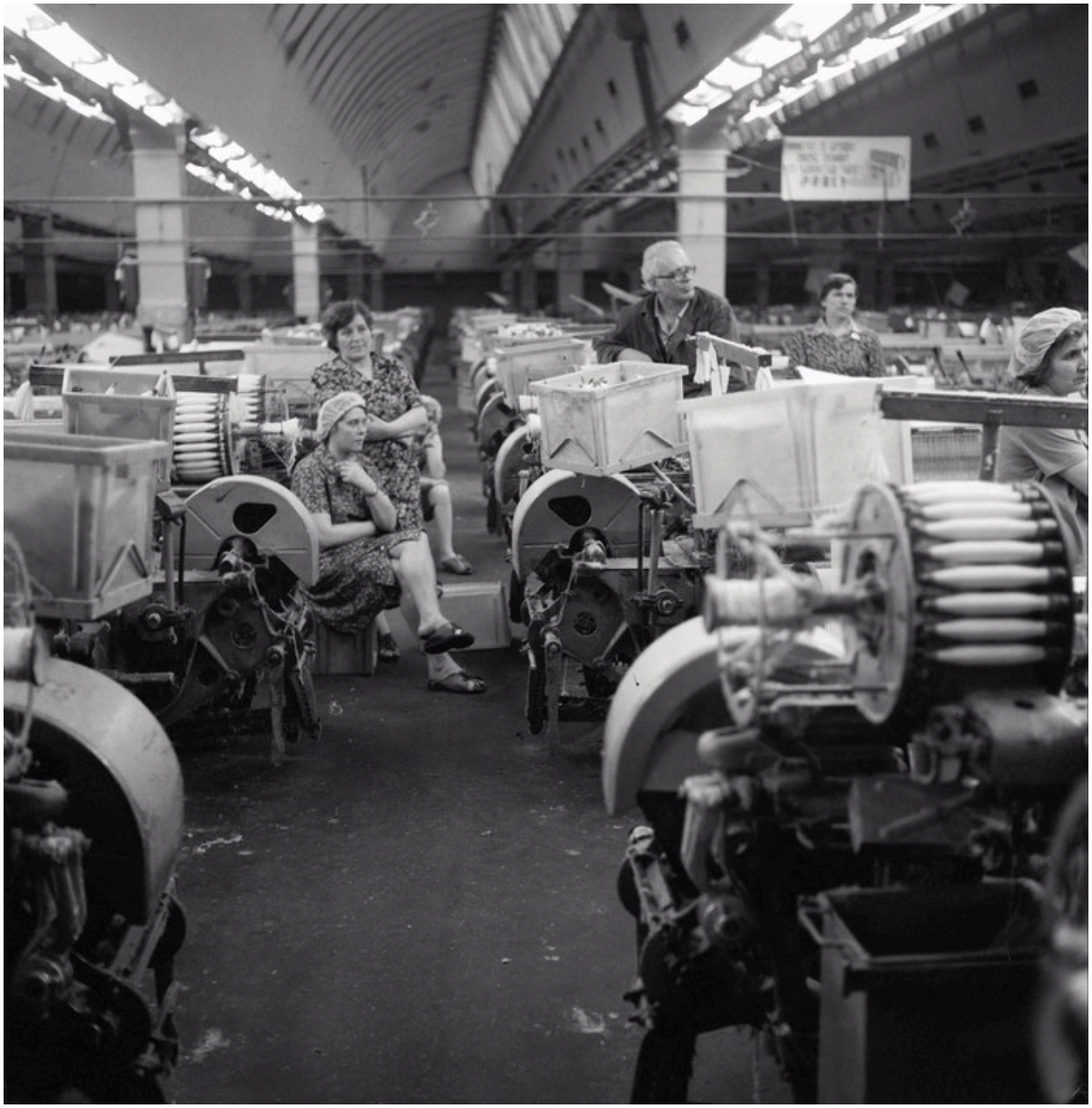

Kiedy łódzkie włókniarki zastrajkowały, pewna tkaczka pokazała premierowi pupę. Ten musiał czmychać jak niepyszny. *Na zdjęciu: Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Juliana*

Marchlewskiego podczas czterogodzinnego strajku ostrzegawczego w marcu 1981 roku.

Fot. PAP/CAF/Andrzej Zbraniecki

Dyrektor warszawskiego Miejskiego Handlu Mięsem, został skazany na śmierć w 1965 roku za udział w tzw. aferze mięsnej. Po roku 1956 był to w PRL jedyny wykonany wyrok śmierci za przestępstwo gospodarcze. *Na zdjęciu: Stanisław Wawrzecki podczas procesu.*

Fot. PAP/CAF/Bolesław Miesza

Mięso w PRL-u miało moc szczególną – obalało rządy. Choć żeby je kupić, trzeba było godzinami stać w kolejkach. *Na zdjęciu: ludzie przed sklepem mięsnym, przy ulicy Nowy Świat w Warszawie, lata 80.*
Fot. Forum/Tomek Sikora

W PRL-u krążył dowcip: przychodzi milicjant do sklepu Peweksu, przeskakuje przez ladę i już po drugiej stronie prosi ekspedientkę o azyl. *Na zdjęciu: sklep sieci Pewex – uosobienie luksusu, Warszawa 1985 roku.*

Fot. East News/Wojtek Laski

Pierwszy oficjalny kantor wymiany dolarów otworzył Aleksander Gawronik w 1989 roku, były funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa i współpracownik wywiadu. W 1990 roku znalazł się na pierwszym miejscu na liście najbogatszych Polaków według tygodnika „Wprost”. Potem skazano go za wyłudzanie podatków. *Na zdjęciu: Aleksander Gawronik (w okularach) po opuszczeniu więzienia w październiku 1992 roku w Warszawie.*

Fot. East News/REPORTER/Jacek Domiński

Przedwojenna polska działaczka komunistyczna Włada Bytomska na wolności ukończyła siedem klas. Resztę wykształcenia zdobyła w więzieniu. *Na zdjęciu: tablica nagrobna Władysławy Bytomskiej na cmentarzu komunalnym na Dołach w Łodzi, widok współczesny.*

Fot. Wikipedia

Dom pod Orłami był świadkiem najbardziej krwawego i tajemniczego napadu na bank w dziejach PRL-u. Zginęło dwóch strażników. Bandytów nigdy nie złapano. *Na zdjęciu: Dom pod Orłami przy ulicy Jasnej 1, u zbiegu ulic Przeskok, Władysława Kniewskiego (obecnie ulica Złota) i Władysława Hibnera (obecnie ulica Zgoda) w Warszawie, przełom lat 60. i 70.*

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Junacy stali się niewolnikami PRL-u. Ponad milion młodych ludzi zagoniono do przymusowej, ciężkiej pracy bez wynagrodzenia, zrzeszając ich w hufcach Służby Polsce. *Na zdjęciu: junacy pracujący na terenie osiedla mieszkaniowego Mirów, Warszawa 1950 roku.*

Fot. Forum/FoKa

E. Wedel to najbardziej znany polski zakład cukierniczy. Po wojnie i nacjonalizacji w 1949 roku zmieniono jego nazwę na Zakłady Przemysłu Cukierniczego „22 lipca”, dla upamiętnienia daty manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. *Na zdjęciu: stoisko firmowe Wedla w Spółdzielczym Domu Handlowym Sezam, Warszawa, 1969 roku.*

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Nowe polskie auto powstało na fali odwilży politycznej po śmierci Stalina. Wiadomość, że ma ono wejść do produkcji, wywołała entuzjazm wśród pracowników FSO. Spontanicznie nadali mu nazwę Syrena. *Na zdjęciu: samochody Syrena Sport (z przodu) oraz Syrena Mikrobus (z tyłu) z próbnymi tablicami rejestracyjnymi na torze testowym. W tle widoczne budynki FSO na Żeraniu, Warszawa 1961 roku.*

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

„Komputery Jacka Karpińskiego miałyby pewnie większą szansę na produkcję, gdyby konstruktor należał do partii” – uważa jeden z wysokich działaczy PZPR. *Na zdjęciu: konstruktor ze swoimi współpracownikami.*

Fot. Archiwum Doroty Karpińskiej

Mieszkanie było największym marzeniem obywatela PRL-u. Ale bez znajomości w partii i urzędach na własne „M” trzeba było czekać nawet kilkanaście lat. *Na zdjęciu: blok mieszkalny przy ulicy Puszczy Solskiej 4 na Osiedlu Jelonki w Warszawie podczas końcowego etapu budowy, Warszawa 1974 roku.*

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

POLECAMY:

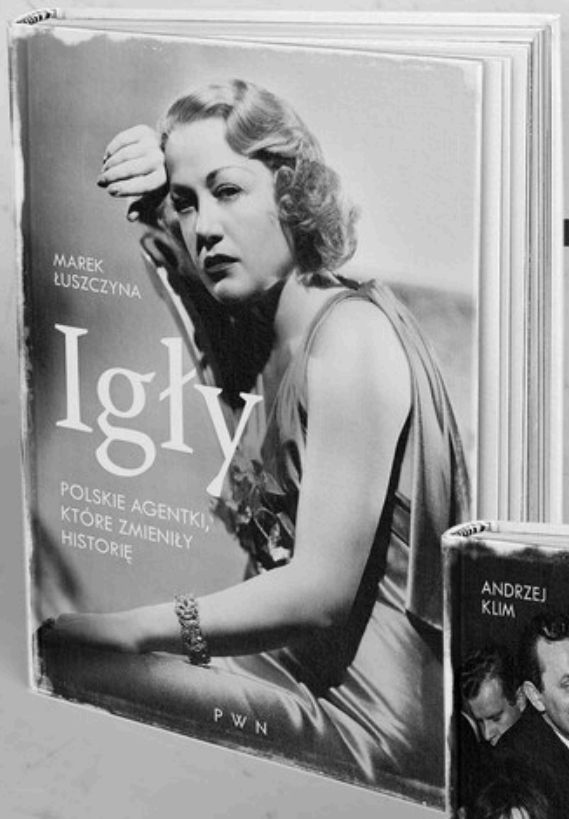

Igły

Dyskretne, sprytne, bezwzględne i precyzyjne – niczym szpieg ze słynnej powieści Kena Folleta.

Seks, sztuka i alkohol

Bohema artystyczna, awangardowe kluby, szykowne kobiety i tętniące życiem kawiarnie – barwny świat lat sześćdziesiątych.

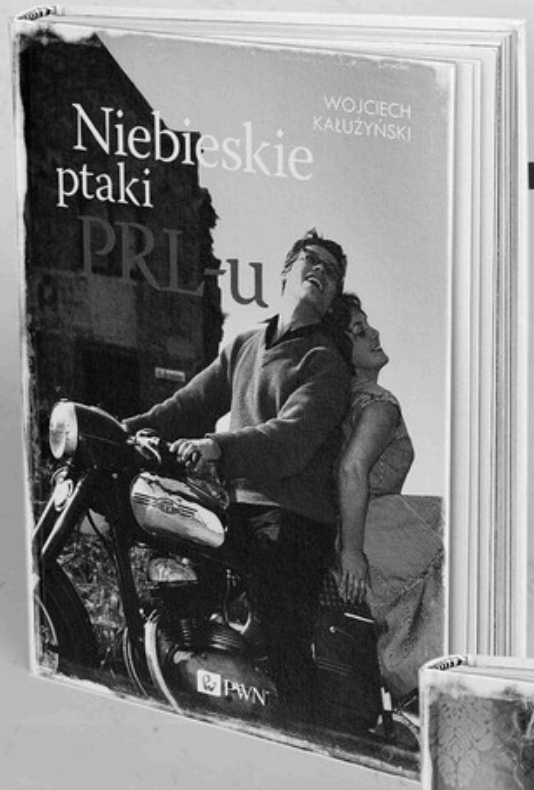

Niebieskie ptaki PRL-u

Hłasko, Tyrmand, Himilsbach, Głowacki, Osiecka i inni – historie barwnych outsiderów peerelowskiej szarzyzny.

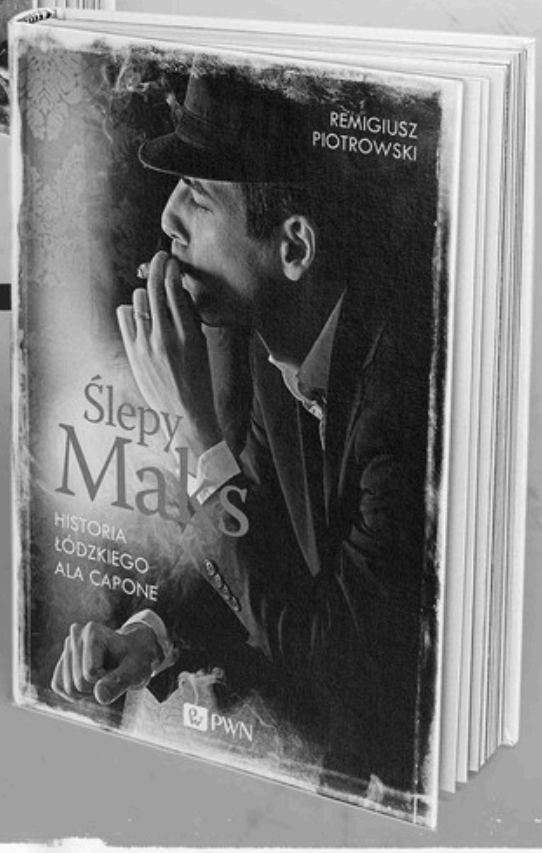

Ślepy Maks

Ślepy Maks - legendarny Robin Hood z Bałut, żydowski Janosik, król mrocznego półświatka Łodzi lat 20. i 30. dwudziestego wieku.